

WSPOMNIENIA
O TRZECIM PUŁKU UŁANÓW

BYLEGO WOJSKA POLSKIEGO.

SPISAL

L. SZUMSKI

OFICER TEGOŻ PUŁKU.



W KRAKOWIE,

Nakładem księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.
W Drukarni »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1892.

K-30/89

Hh



102533

Niniejsze „Wspomnienia o pułku trzecim ułanów byłego wojska polskiego“ wyszły po raz pierwszy w r. 1882 z pod pras drukarskich. Obecnie przez autora uzupełnione i poprawione, podajemy powtórnie do rąk czytającej publiczności.

Wydawcy.

WSTĘP.

Jazda wojska polskiego za czasów Wielkiego Księcia Konstantego, który był wówczas naczelnym wodzem, składała się z dziewięciu pułków i dwóch szwadronów żandarmeryi, a mianowicie: z pułku gwardyi strzelców konnych, który stawał garnizonem zawsze w Warszawie, pod dowództwem generała Kornatowskiego; z czterech pułków strzelców konnych, rozłożonych po lewym brzegu Wisły, sztab tej dywizyi stawał w Łowiczu; z czterech pułków ułanów, rozłożonych garnizonem po prawym brzegu Wisły, której to dywizyi sztab stawał w Lublinie.

Dowódcą całej jazdy wojska polskiego był generał Aleksander Roźniecki, stale w Warszawie zamieszkały, a jak powszechnie utrzymywano, główny naczelnik tajnej policyi, i dlatego chociaż jako zdolny generał, ogólnie był pogardzany.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Dywizya ułanów wojska polskiego z czasów W. Księcia Konstantego, składała się z czterech pułków, a każdy pułk z czterech szwadronów, prócz szwadronu rezerwowego, rozłożoną była w województwach Lubelskiem i Podolskiem i w części Mazowieckiego. Dowódcą dywizyi ułanów był generał Jan Waysenhoff, który ze swym sztabem stawał zwykle w Lublinie; szefem sztabu dywizyi, był podpułkownik Andrzej Strowski.

Dywizyę składały dwie brygady.

Pierwszą brygadę składały pułki: 1-szy, którego dowódcą był pułkownik Jan Tomicki, i pułk 3-ci, pod dowództwem pułkownika Korytowskiego.

Dowódcą brygady pierwszej był generał Tadeusz Suchorzewski.

Drugą brygadę ułanów składały pułki: 2-gi, pod dowództwem pułkownika Józefa Dwernickiego, i pułk 4-ty pod dowództwem pułkownika Andrzeja Ruttie.

Dowódcą brygady drugiej był generał książę Adam Wirtemberski.

Jak się wyżej powiedziało, dywizya ułanów składała się z 4 pułków, a każdy z tych pułków miał szwadron rezerwy, które to szwadrony zebrane z całej dywizyi, składały jakoby pułk rezerwowy.

Sztab pułku rezerwy stawał zwykle w Siedlecach, przytem muzyka pułkowa, lazaret, komora ubiorów i różnych

efektów pod zarządem kapitana Smolikowskiego, starego Napoleońskiego żołnierza, z którym trzeba się było o najdrobniejszą rzecz targować, bo zwykle żartami wszystko zbywał.

Dowódcą całej rezerwy był podpułkownik Mateusz Nayman, który się zaliczał do pułku 3-go ułanów; adjutantem przy nim był porucznik Krzyzewski. Szwadron rezerwy pułku 3-go ułanów stawał zwykle przy sztabie w Siedleach; komendantem szwadronu, był kapitan Dembicki, ozdobiony krzyżem legii honorowej, był on cokolwiek wskutek rany na jedną nogę kulawy; podpułkownik Nayman jeszcze bardziej kulawy, ten był jeszcze w legionach we Włoszech udekorowany krzyżami zasługi wojskowej.

Szwadron każdy w rezerwie dzielił się na dwa oddziały: konny i pieszy. Komendantem oddziału konnego był stale porucznik Gumowski, inni oficerowie ciągle się zmieniali, byli ci oficerowie z różnych pułków kawalerii na reformie, za karę do rezerwy przysłani, na pewien czas. Oficer za karę na reformie będący, brał tylko pół pensyi, byli pomocą w uczeniu rekrutów. Wachmistrzem szwadronowym był Kozłowski; głównym instruktorem tak oddziału konnego, jako też pieszego, podchorąży Niewęglowski, któremu był dodany do pomocy podoficer Jeliński. Ci wszyscy wyżej wymienieni, tak oficerowie, jako też i niższych stopni, byli to starzy wojskowi, wszyscy udekorowani. Było także prócz tych starych niedobitków, dla których mieliśmy wielką cześć, jeszcze kilku młodszych podoficerów zdatnych, bo w rezerwie była praca ciężka ze zmianą corocznie rekrutów i przybywających ochotników.

Szwadron rezerwy każdego pułku składał się mniej więcej ze stu żołnierzy, a to zależało od tego, jak wielu z wysłużonych żołnierzy, którzy mieli otrzymać dymisyę, zdeklarowało się pozostać w pułku na drugą kapitulacyę, o co się zwykle w każdym pułku starano, by nadal dobrych żołnierzy utrzymać. Szwadrony innych pułków rezerwy stawały w bliskości Siedlec, by się od sztabu nie bardzo od-

dalać, w miasteczkach Lukowie, Łosicach i Węgrowie. Corocznie na wiosnę oddziały konne ze wszystkich pułków zbierały się do Siedlec, tym sposobem złożył się szwadron, który mieścił się w stajniach skarbowych za miastem, gdzie był także wielki plac mustry i kryta ujeżdżalnia. Tu douczano rekrutów, którzy w jesieni mieli odejść do pułków, a miejsce ich zastąpią już przeuczeni z oddziałów pieszych, a tychże wzięci świeżo rekruci. Była to więc ciągła a nie bardzo przyjemna zabawka dla uczących i nie możnaby tego dla starych niedobitków uważać za odpoczynek, a przecież słusznieby się im takowy, po tylu trudach i wielu odniesionych w tylu wojnach ranach, należał.

Na wiosnę oddziały piesze ze wszystkich szwadronów rezerwy wychodziły na służbę do Zamościa, ponieważ piechota, tamże w koszarach stojąca, odchodziła w tym czasie każdorocznie do obozu za Warszawą, gdzie się z nią bawil po swojemu W. Książę Konstanty, zamęczając ją ciągłemi mustrami. W Zamościu zostawał natenczas batalion Weteranów czynnych i jakiś oddział Weteranów Inwalidów, ten więc słaby posterunek wzmacniano rezerwą ułanów, która stawała w pobliskich wioskach, i z kolei na wartę posyłano wyznaczone oddziały. Służba ta była nad wszelki wyraz przykra i uciążliwa, bo przypadła na każdego co trzeci dzień. Jeżeli warta przypadła na nas z kolei na głównym odwachu i innych posterunkach, jak przy głównych bramach, gdzie były mosty zwodzone, przy zabramkach, arsenałach, prochowni, była uciążliwa, bo jako w fortecy, trzeba było ciągle mieć się na baczności, by tylko w odstępach jakiś rond przechodził, który prowadził najczęściej wyższy oficer, a szczególnie w nocy, by się przekonać, że jest wszędzie porządek. Zaraz po capstrzyku, żołnierz stojący na szyldwach na głównym odwachu, za uderzeniem każdego kwadransa na wieży ratuszowej, winien był się odezwać, zapytując przeciągle o ile mu głosu starczyło: Kto ... idzie?!... i ten głos obchodził całą wokół fortece, bo każdy szyldwach powtarzał

i trwało to śpiewanie nieznośne aż do rannej pobudki. Komendantem twierdzy Zamościa był wówczas generał Hurtig, wielki służbista.

Warta przy więźniach przychodziła na nas z kolei, i ta była jeszcze przykrzejszą. Przed godziną szóstą, przychodząc ze wsi oddalonych od fortecy, musieliśmy być przed więzieniem. Każdy żołnierz był uzbrojony w pistolet, nabity ostrym ładunkiem, zatknięty w szlufkę przy pendencie, i pałasz; tak się zwykle chodzić na wartę. O wyznaczonej godzinie, dozorey więzienni, przy okoleniu żołnierzy z dobytymi pałaszami, wyprowadzali więźniów z kazamat, którzy ze składu wzięwszy taczki i potrzebne do roboty narzędzia, stanęli w odstępach we dwa szeregi; każdy z tych skazańców, od kajdan na nogach miał łańcuch do trzech łokci długi, na końcu z kłódką, którą dozorey więzienni każdego do tacek zamykali, po dokonaniu czego więźniowie do przeznaczonego miejsca szli na robotę przez wartę otoczeni.

Na placu pracy, nie należało do wart wglądać, czyli więźniowie robili pilnie lub nie, bo do tego byli dozorey, pilnować tylko, by za oznaczoną linię nie przekraczali. Straż przy tych pospolitych zbrodniarzach była bardzo wstrętną, bo fizyognomie napiętnowane zbrodnią, odpychały; a jeszcze przykrzejszą była służba, gdy trzeba było przy tych więźniach trzymać wartę w kazamatach, gdzie się oddychało jak mówiono powietrzem zepsutem, do omdlenia.

Ale nad wszelki wyraz bolesne, gdy się strzegło więźniów politycznych, do których pod najsurowszą karą zbliżyć się nie było wolno nikomu, a i eż także przy robocie byli do tacek zamknięci, a w dodatku ich męczarni, mieli niektórzy kulę armatnią 12 funtową, inni 6 funtową na plecach łańcuchem do kajdan przykutą; było to z wyroku: do kuli i tacek. Patrząc na tych nieszczęśliwych, niewysłowny żal ścisłał serce i lzy cisnęły się do oczu, bo całą winą tych nieszczęśliwych było, że ukochali swój kraj rodzinny. Ten nigdy nie zapomniany bolesny widok, wzniecał w nas wie-

czną nienawiść do wrogów. Nie dziw, że się pragnęło, by jak najprędzej dostać się do pułku, bo tu już każdy z nas poznał eokolwiek owo słodkie, ułańskie życie, a jak my kadeci mawialiśmy między sobą „blyszczącą biedę.“ Wspomnę o nieszczęściu, jakie nawiedziło Zamość. Objężdżał Polskę sławny akrobata Kolter; właśnie będąc w Zamościu, kiedy wychodził po linie na wieżę, a schodząc z tejże, dostrzegł ogień i pospiesznie zszedłszy, uwiadomił publiczność, która pobiegła z ratunkiem. Wystąpiło wojsko, i pomimo największego ratunku z narażeniem życia, jako w fortecy, jednakże kilkadziesiąt domów w rynku spłonęło.

Wróciwszy z Zamościa, mustrami nas kadetów nielitościwie męczono, o wiele więcej niż rekrutów, a jak mówiono, że to dla naszej korzyści, bo wkrótce będziemy odesłani do pułków, co zwykle z kadetami po służbie jednego roku następowało, a że ja wszedłem w służbę wojskową we wrześniu 1824 r. do rezerwy, rok zatem służby ukończyłem w jesieni 1825 roku.

Zwykle, każdorocznie po mustrach dywizyjnych, tak szaserów jako też ułanów, jeden z pułków przychodził na służbę do Warszawy i stawał w koszarach Mirowskich, a właśnie w tym roku pełnił tę służbę pułk 3-ci ułanów przez zimę aż do zebrania się na mustry dywizyjne na wiosnę pod Łęczną. W jesieni zaś późnej po mustrach, gdy pułki rozchodzić się miały do swych garnizonów, pułk 1-szy ułanów z roku 1825/6 z kolei był przeznaczony na służbę do Warszawy, które to dwa pułki stanowiły wówczas brygadę pierwszą. Kaprysem W. Księcia było, że tak w piechocie, jakoteż w kawaleryi, numera pułków parzyste i nieparzyste stanowiły brygady.

Pułk 3-ci wrócił do Międzyrzecza, gdzie stawał sztab pułku i do okolicznych miasteczek zwykle przez szwadrony zajmowanych, któremi były: Terespol, Biała i Łomazy, w których to miasteczkach zmiany szwadronów w każdej jesieni następowały, bo nie wszędzie były stajnie skarbowe, miesz-

czące cały szwadron; w Łomazach takowej nie było, konie mieszczono po małych stajenkach, nadzór był trudniejszy, dlatego komendanci szwadronów ściśle pilnowali się kolei.

Przesłużwszy, jak się wyżej powiedziało, rok w rezerwie, odesłany byłem wraz z innymi do pułku. W sztabie byłem przeznaczony do szwadronu 2-go, którego komendantem był kapitan Feliks Kleszczyński; żartowało ze mnie gronko kadetów znajomych, mówiąc, że chociaż się zima zbliża, mogą być pewnym, że mi tam będzie nie tylko ciepło, ale niekiedy nawet za gorąco, bo on kadetów nie lubi; przeznaczono do szwadronu 2-go przybyłych do skompletowania 14, a między tymi było nas 2 kadetów: Rutkowski i ja; reszta przeuczona w rezerwie rekruci.

Szwadron 2-gi wówczas stał w miasteczku Białej, a gdyśmy doń przybyli, zameldowano o tem kapitanowi, który wkrótce nadszedł, by przybyłych przeznaczyć do plutonów. Z nim przybyli także oficerowie komenderujący plutonami, po odbiór sobie przeznaczonych. Była więc sposobność wszystkich poznać. Kapitan, wysoki, silnie zbudowany, lat około 40 mieć mogący, blondyn, twarz cokolwiek ospą poznaczona, zarost nieobfity, Napoleoński żołnierz — zmierzył przybyłych, stojących w szeregu, wzrokiem bystrym a surowym. Dwóch nas kadetów stało na skrzydle, zatrzymał się przed nami i z gniewem powiada: „po co mi tu tych dzieciaków nasyłają, ja tu nie mam piastunek, by was za rączkę prowadzić, mnie tu potrzeba do służby żołnierzy.“ Pomyślałem sobie, nie zły początek, potrzeba będzie siły wyteżać, by sprostać temu słodkiemu ułańskiemu życiu, którego już przedsmak zaznałem, będąc w rezerwie, a szczególnie w Zamościu. Przeznaczony zostałem do 4-go plutonu, którego komendantem był podporucznik Kotowicz, młody, przystojny brunet, z twarzą jakąś smętną, dobre na mnie zrobił wrażenie, a że sam przechodził nie dawno też kolezystą drogę, był wyrozumiały, bo serce miał dobre, chętnie mnie przyjął i dodał otuchy. Gospodarzem w plutonie był podoficer Walezewski; mając

mnie poleconego przez Kotowicza, szczerze się mną zainteresował, dodał starego żołnierza, by mi był pomocą po za służbą, za co mu wynadgradzałem z culagu. Jako ochotnik miałem własne umundurowanie, ale cienkiego sukna nosić nie było wolno, jedynie dla odznaczenia jako kadet, galonki tylko przy kołnierzu, w szeregu jednakże nosił z nas każdy lancę jako prosty żołnierz i od wszelkiej służby nie był wolny, jedynie od sznorwachu mógł się uwolnić, jeżeli dał za siebie innego, którego z własnej kieszeni wynadgradził. Była to służba w stajni, która z kolei na każdego przypadła, jedynie można się było na tę nie bardzo przyjemną służbę kadetowi dostać za karę. Zastępstwo w innej służbie nie miało miejsca; zawsze nam kadetom to powtarzano, że ten tylko będzie dobrym oficerem, kto był dobrym żołnierzem. Przy protekcyi oficera, zobowiązywałem starych żołnierzy, by na każde wystąpienie wszystkie efekta były czyste, na mustrze tak konnej jak pieszej szło mi dobrze; uważałem, że jakoś kapitan więcej zaczął na mnie zwracać uwagę. Właśnie mieliśmy strzelać z pistoletów do tarczy. Z kolei plutony na plac występowały; przyszła kolej i na nasz pluton 4-ty, ostrzegł mnie poprzednio dodany mi żołnierz, że koń mój nie dość jeszcze ostrzelany, strzałów się boi, bym to miał na baczności. Pluton stanął na placu, z kolei żołnierze z szeregu wyjeżdżali do strzelania, czułem, że się koń podemną trzęsie. Gdy przyszła na mnie kolej, koń do tarczy przystąpić nie chciał, w tył się cofając; zrobiłem większe pół wolty, i teraz nie żalowałem mu ostróg, skoczył naprzód po strzale, zwrócił się nagle i dał szczupaka, ale jakoś szczęśliwie dostawiłem do szeregu. Kapitan, który przy strzelaniu z oficerami stał na boku, widział to wszystko, i był to moment dla mnie rozstrzygający, jak mi to mówił porucznik Kotowicz, i odtąd ciągle zwracał na mnie uwagę przy każdej mustrze pieszej lub konnej, a w kilka miesięcy po owem strzelaniu do tarczy, przedstawił do awansu na podoficera, i już awansowanego posłał do szkoły pułkowej, z której

następnie szło się do szkoły podchorążych a z teje awansowało się na oficerów, bardzo szczęśliwie jeżeli po trzech latach, to zależało od zdolności, dobrego prowadzenia się i wielkiej pilności.

Przybywszy do Międzyrzecza, gdzie zwykle stawał sztab naszego pułku, przy którym w tym roku był szwadron 3-ci z kolei na służbie, a komendantem tego szwadronu był kapitan Janowicz i temu oddaną była szkoła podoficerów pod zarząd, jak zwykle bywało który kapitan ze szwadronem był na służbie w sztabie, bywał komendantem szkoły, tylko dodawano do pomocy stale porucznika Januszkiewicza.

Że szwadron 3-ci w pułku był flankierski, z całą więc pasją oddawał się tej mistrze. Zdany to był i bardzo pilny oficer, nie folgując sobie, zamęczał i nas nielitościwie zrana w ujeżdżalni, po południu, jeżeli tylko była pogoda, szkoła szwadronu, i pomimo mrozu najczęściej flankierowanie pieszo, i tak nas tem męczył, że już nawet we śnie te sygnały flankierskie w uszach nam brzęczały; dlatego czekaliśmy z upragnieniem wiosny i powrotu do szwadronów, by od tej manii flankierowania się uwolnić, co zwykle przed mustrami dywizyjnymi, chociaż i tu nie było odpoczynku.

Ze szkoły pułkowej podwójną odnosiło się korzyść, wojskowo-taktyczną, jako przygotowawczą do szkoły podchorążych, jak również zaznajomienie się młodych podoficerów, którzy byli zebrani ze wszystkich szwadronów tego pułku, a byli to przyszli oficerowie.

W szkole pułkowej prócz jazdy w ujeżdżalni, uczono wołyżowania, jak również strzelania do tarczy z konia i pieszo, robienia bronią na koniu i pieszo, fechtowania, — była więc zabawka całą zimę.

Z wiosną zbierała się dywizya pod Łęczną; stawaliśmy zwykle po wsiach po największej części nad rzeką Wieprzem położonych, a że jest to rzeka głęboka, jak tylko nie było wielkiej mustry, by nam się nie przykryło, o co jak się zdaje bardzo byli troskliwi, chociaż ta troskliwość nie była

nam pożądaną, zajmowano nas pływaniem. W każdym szwadronie urządzonem być musiało miejsce na szkołę pływania. Jeżeli w szwadronie nie było zdolnego instruktora, posyłano go z innego szwadronu, a nawet niekiedy z innego pułku. Taka była o nas gorliwość, chociaż to jedynie dlatego, byśmy ciągle byli zajęci i ani chwili nie mieli wolnej, bo taki z góry był rozkaz, a nasz pułkownik go dobrze rozumiał i z całą gorliwością go wykonywał.

W jesieni powróciwszy z pod Łęczny, z kolei do każdego szwadronu przychodziła kuźnia pułkowa wraz z kowalami do kucia koni, bo wszystkie konie musiały być przekute; że mieliśmy konie stepowe Ukraińskie, nie wszystkie się z łatwością kuć dały, niektóre z nich żołnierze pokłase musieli, inne w klatkach brali na pasy — było z tem nie mało kłopotu i nie obeszło się bez wypadku pokaleczenia kowala albo żołnierza. Przy takim kuciu koni był zawsze oficer z kolei i kandydat na oficera podchorąży, by się z tem obeznał.

Zaledwie się ukończyło kucie koni, przysłano do szwadronu szwalnię z krawcami do pasowania mundurów na przybyłych rekrutów z rezerwy do szwadronu; brano miary na nowe ubrania, które co dwa lata były odmieniane, jako to: umundurowanie kompletne paradne, przymundur kompletny stajenny, płaszcz, i na każdego żołnierza osobiście dopasowane, a to z rozkazu W. Księcia, by żołnierz kształtnie wyglądał.

Następnie w tym samym czasie odbywała się lustracya efektowa okulbaczenia i omusztuczenia koni, jednych naprawa, uznanych za niezdatne odmiana, i tu się trzeba było dobrze pilnować, bo z magazynierami była sprawa nie łatwa, a tu chodziło o cały rok aż do przyszłej jesiennej lustracyi.

Największa jednakże trudność była zawsze przy lustracyi broni, która była bardzo zniszczoną.

Przy organizacyi wojska polskiego przez W. Księcia, przyzwolonej przez Kongres Wiedeński, kadry, które wróciły z Francyi, miały broń zniszczoną w ciągłych wojnach Napo-

leńskich, widział to W. Książę i ciągle się u cesarza Aleksandra domagał, by broń była zmienioną; ale widać że i tam zapasów nie było, i szło w odwłokę. Ta którą mieliśmy, było to kalectwo. Palasze, u których gardy były stalowe, niejednaki, klingi zcieńczone przez ostrzenie i ciągle czyszczenie i polerowanie i po większej części nitowane. Brakowano co gorsze i zastępowano nie wiele lepszymi z reperacyi; również groty u lanc, zużyte podczas wojen ciąglem ostrzeniem, zaledwie grotami nazwać było można; wszystkiego jednakże czystość była wzorowa. Dopiero w roku 1829 w zimie, zatem przed nastąpić mającą koronacyą cesarza Mikołaja na króla polskiego, nadesłano pułkowi nowe palasze z mosiężną gardą i groty do lanc oprętowne z fabryki Tula w Rosyi, zapewne w przewidywaniu jakiejś wojny, by w niej użyć i wojska polskiego, a tymczasem użycia jej do mustry; jednakże nie o wiele później nietylko do mustry i parad na Saskim placu owa broń się przydała.

Wieleby się jeszcze dało powiedzieć z owych czasów, ale toby tylko starych kolegów jako wspomnienie interesować mogło, ale tych już śmierć wymiotła, a dla młodszych są bez interesu. To pewna, że u nas wszędzie i we wszystkim była wzorowa czystość i wielki porządek; słowem, było to wojsko piękne, doskonale wymustrowane, ale pod każdym względem bardzo kosztowne, a które W. Książę po swojemu miłował i przed obcymi niem się chlubił.

Dywizya ulanów wychodziła corocznie na wiosnę z garnizonów, zbierała się i stawała po wsiach w około Łęczny na mustry dywizyjne. Przy tem zebraniu corocznie przerzucano pułki po różnych miejscowościach, z których niektóre były bardzo przyjemne, jak np.: Zawieprzyce, Kijany, Łańcuchów. W ostatnim roku na zebraniu zajmował nasz pułk piaski Biskupice, gdzie stał sztab pułku, a nasz szwadron 2-gi stał w Malgwi. Na mustry dywizyjne pod Łęczną przy-

jeźdzał zazwyczaj Wielki Książę Konstanty. Jeżeli wszakże bywał on na takichże mustrach Szaserów pod Łowiczem, wówczas przyjeżdżał w jego zastępstwie jeneral jazdy Różniecki. Manewra odbywały się wraz z artylerją konną. Wykonywało się najtrudniejsze a szalone obroty; żadnego też roku nie obeszło się bez wypadków śmierci zatratowania i niejednego ciężkiego kalectwa.

Ponieważ zebrana cała dywizya ulanów i artylerya około Łęcznej, potrzebowała znacznego okręgu do umieszczenia, bo konie robią największą trudność, musiały niektóre pułki od placu mustry znacznie być oddalone, i właśnie nasz pułk w ostatnim roku najdalsze zajmował stanowisko, co przy zebraniu użyło wielce żołnierzy i niszczyło bardzo konie.

Nadeszły rozkaz z pułku do wystąpienia na manewra, obejmował zwykle najdrobniejsze szczegóły. Już z tego widziano, kto będzie na manewrach, bo, jeżeli w paradzie, to W. Książę; jeżeli zaś w starszych mundurach, z zapiętymi rabatami i w kaskach ceratą krytych, to jeneral Różniecki. Wówczas w olstrach nie dwa, ale jeden mieścił się pistolet, a drugie olstro służyło za schówkę zapasów na posiłek po trudach, a były to trudy nie lada, bo z mustry wracało się około wieczora ze zmęczeniem nie do opisania.

Z powodu, że znacznie oddaleni byliśmy od placu mustry, dlatego nakarmiwszy konie, wychodziło się z miejsca zaraz z północy, a ze wschodem słońca stawało się na placu w oznaczonym miejscu. Po otwarciu szeregów, zsiadało się z koni, żołnierze otrzepywali z prochu siebie, konie i efekta. Szczęście, jeżeli była pogoda, bo w przeciwnym razie czyściło się z błota. W oznaczonej godzinie wszystko stawało w szeregach w porządku.

Jak się wyżej powiedziało, jeżeli przyjazd W. Księcia nastąpił, to trwożył wojsko, bo znany jego niestaly humor i niczem niehamowana porywczność, była nadzwyczajnie przykrą. Prawie zawsze jednakże odjeżdżał zadowolony, bo się o to usilnie starano.

Inaczej rzecz się miała z Roźnieckim, który jako generał jazdy, sam tylko przyjeżdżał na mustry. Znienawidzony ten w wojsku Perekińczyk, brudny na duszy i ciele, w ubiorze zaniedbany, zawsze prawie po bezsensownych nocach przygrze w karty i pijatyce, nie trzeźwy, ufny w protekcję W. Księcia, i dlatego najbrutalniejszy impertynent, zamęczał i konie i ludzi. Niejednokrotnie dywizya zebrana długo czekała na placu, kiedy on wprost z nocej hulanki siadał na konia. I dlatego wśród największego upału odbywały się manewra, które rano odbyć się mogły. Winienem tu zanotować próbki brutalności, jakiej się Roźniecki niejednokrotnie z oficerami dopuszczał, i dlatego ludzie honorowi uznali, że taki spodlony nizekzemnik nikogo obrazić nie mógł.

Przy defilowaniu powiedział jednemu, zwróciwszy mowę niby do konia: „Oj koniu! koniu! jakiego ty osła na sobie nosisz!“ Innemu zaś, który był istotnie słaby, a jednakże dla kompletu tylko wystąpił, chociaż mu to doktor odradzał: „Wisisz waćpan na tym koniu, jak pies na płocie!“ Takie i tym podobne brutalności raniły serca, ale trudna była rada, bo wiadano, kim był, a takim wówczas wszystko było wolno. Ci jednak, tak boleśnie dotknięci oficerowie, z wielkim żalem kolegów, podali się do dymisji.

Raz także, pułki zebrane na placu czekały na owego opileca, a konie niecierpliwiły się długim stanieniem, a jeszcze i robactwo im dokuczało, nadjechał przecież, i jak zwykle, objeżdżał pułki. Właśnie, kiedy przejeżdżał przed naszym pułkiem, a pułkownik go przeprowadzał, z szeregu wysunął się koń i w największym pędzie uniósł żołnierza. Roźniecki się zatrzymał, zdjął stosowany kapelusz i pokłoniwszy się nim, zaintonował: „A kiedy odjeżdżasz, bądźże zdrow!“ Naraz, zwróciwszy konia, zawołał: „Pułkowniku! co to znaczy? Jak może taki koń znajdować się w szeregu?“ Po wypadku bowiem, jakiemu uległ Generał Sokolnicki zabity przez konia, który się także uniósł z szeregu, mógł być Pułkownik pociągnięty do wielkiej odpowiedzialności.

Pułkownik zmieszany tłómaczy się, że to koń młody i pierwszy raz się uniósł, a tą razą mówił prawdę i zaręczył, że go zaraz każe wyranżerować. „A jak się teraz luka w szeregu wypełni?“ — zapytał Roźniecki. Co do luki w szeregu, jakoś temu można było łatwo zaradzić, a co do reszty, jakoś i tę sprawę zapewne jeszcze tego wieczora przy zielonym stoliku między sobą załatwili, jak się to zwykle wówczas działo.

Po mustrach dywizyjnych, w końcu września, pułki wracały na zimowe leże.

Pułk 3-ci ułanów rozłożony był w Podlaskiem i zajmował miasteczka: Międzyrzecz, Białą, Terespol, Łomazy, a że podczas naszej bytności na teraz pod Łęczną, Białą przez pożar w znacznej części zniszczoną została i szwadron w niej pomieszczonym być nie mógł, przeznaczono nam na stację miasteczko Sławatycze nad Bugiem.

W Międzyrzeczu stawał zawsze sztab pułku, a mianowicie dowódzca pułku, pułkownik Michał Korytowski, podpułkownik Bogusławski, major Chmielewski, kapelan pułkowy X. Klemens Szymanowski, lekarz sztabowy Flajszerowski, audytor pułkowy Aleksander Grodzki, przytem jeden szwadron służbowy, muzyka, lazaret, infirmarya, wszystkie zakłady rzemieślnicze, składy mundurów i wszelkich efektów pułkowych. Niekiedy major Chmielewski stawał przy szwadronie stojącym w Terespolu. Przy sztabie pułku w Międzyrzeczu mieszkał także zawsze generał Tadeusz Suchorzewski, dowódzca brygady 1-szej, to jest pułku 1-go i 3-go, przy którym był adjutantem kapitan z gwardyi cesarza Napoleona, Kotkowski. Szwadronami w pułku komenderowali kapitanowie: 1-szym Czyżewski, 2-gim Kleszczyński, 3-cim Janowicz, 4-tym Żółkiewicz.

Szwadrony zajęły przeznaczone garnizony; szwadron 2-gi, który miał stać w Białej, gdzie były stajnie skarbowe, plac mustry i kryta rajtszula, z powodu zniszczenia przez



pożar miasta, z wielkiem niezadowoleniem kapitana, musiał maszerować do Sławatycz.

Tu wszystko trzeba było stworzyć. Konie umieszczono po małych stajenkach, i jedna zaledwie znalazła się stajnia, w której umieszczono cały pluton. Nie było placu mustry, nie było rajszuli, wszystko to niecierpliwilo kapitana, a był nim, jak się wyżej powiedziało, Feliks Kleszczyński, bardzo zdolny oficer, ale nadzwyczaj surowy.

Szwadron ten nazywano w pułku szwadronem karnym, a biada temu, kto się w tę prasę dostał, bo literalnie godziny nie było wolnej, a w tym właśnie szwadronie ja od wejścia do pułku służyłem. Plutonami komenderowali: 1-szym Brzoska, 2-gim Strzyżewski, 3-cim Długoszewski, 4-tym Kotowicz, do którego się zaliczałem.

W tym-to czasie odchodzili każdorocznie wysłużeni żołnierze z dymisją, a zastępowali ich przecużeni z rezerwy, gdzie znowu w tym samym czasie nadchodzili rekruci, jak się to wyżej powiedziało.

Odsyłano wymustrowane konie spokojne do nauki rezerwistów, a do pułku nadchodziły remonty z Ukrainy, gdzie odkomenderowani oficerowie Kownacki i Sz wajkowski, takowe w Berdyczowie dla pułku zakupywali.

I w tym właśnie czasie ogłoszono w rozkazie dziennym awans na oficerów: Wrońskiego, Roli, Górskiego i mnie. Trudno sobie wyobrazić radość, jakiej doznaliśmy, że już przecież będzie można odetchnąć swobodniej. Mnie wieszowano, że tak prędko dosłużył się stopnia. Ależ przecież służyłem już lat przeszło sześć, a zdawało mi się, że to są wicki, tak ciężką była u nas służba, szczególnie w kawaleryi.

Ponieważ awansu w tym roku spodziewałem się, miałem więc prawie wszystko przygotowane, a konia ustąpił mi kapitan, bo mu przyprowadzono młodego z Ukrainy; słowem, w tygodniu mogłem już na Saski plac wystąpić.

Że awanse w pułku były trudne, przyczyną tego było, bo szwadrony były nawet nad potrzebę oficerami obsadzone.

Szwadron każdy w czasie pokoju miał 8-miu oficerów, 2-eh kapitanów, jeden komenderował szwadronem, 2-gi za rotowy, 4-ech oficerów jako komendanci plutonów, 2-eh za-rotowych, dla komendy plutonów oddawał kapitan, których uznał za pilniejszych, pomimo starszeństwa, a o co się leniwie nie ubiegali, bo nie mieli tyle pracy i żadnej odpowiedzialności.

Nadszedł rozkaz z pułku, by porucznik Wincenty Długoszewski wraz z przeznaczonymi do szkoły podchorążych podoficerami, stawił się w sztabie pułku, z kąd z całym oddziałem odejść miał do Warszawy. Wskutek tego oddano mi po nim pluton 3-ci.

W nowej miejscowości, gdzie szwadron umieszczono, konie były rozrzucone po małych stajenkach, zatem dozór był trudniejszy, dla podoficerów praca cięższa; oficerowie też spacer mieli ciągly, a w późnej jesieni nie bardzo przyjemny. Jakoś, zdaje mi się, drugiego czy trzeciego Grudnia, zatrąbiono na alarm. Wszystko się zbiegło, w stajni, która stała wśród rynku i mieściła cały pluton; załamała się w niej powała, obciążona furazem. Żołnierze jęli się do ratowania koni, zbiegło się także wiele ludzi z miasta do pomocy.

Konie jakoś szczęśliwie wyprowadzono i tylko dwa cokolwiek podrapane były. Wynoszono dalej różne efekta, a kapitan, który bynajmniej nigdy cierpliwością nie grzeszył, teraz zgniewany, na wszystkich się miotał: na burmistrza, że w słabym budynku umieścił konie; na porucznika Brzoskę, którego pluton mieścił się w tej stajni, jak mógł na to pozwolić, by obciążano furazem słaby budynek. Gdy się to dzieje, ukazał się podoficer z 4-go szwadronu, który spostrzegłszy zebranych oficerów, a wśród nich kapitana, nad wszystkich wzrostem górującego, podjechał i osadził konia. Gdy kapitan się zwrócił, dostrzegł jeźdźca na spienionym koniu.

— Co to jest? — zapytał. — Jak pan śmiałeś tak zmęczyć konia?

Podoficer odpowiedział, że miał rozkaz największego pośpiechu. Trzeba wiedzieć, że był-to u nas grzech ciężki

zmęczyć konia w marszu, i tylko przez ścisły post o chlebie i wodzie, w zimnej komorze, mógł być odpokutowanym.

Podoficer wręczył depeszę. Kapitan odebrał takową zniecierpliwiony, szybko rozerwał pieczęć i począł czytać.

Uważaliśmy, że przy czytaniu twarz mu się mieniła, wreszcie odezwał się do nas: „Panowie, coś jest nadzwyczajnego; w tej chwili wychodzimy, strąbić żołnierzy na apel; zapowiedzieć, że za dwie godziny szwadron ma stanąć na placu do marszu gotowy. Podwód żadnych, wszystko ma być zabrane, owies w sakwach, siano w furąsznurach na na dwa dni, torby do żywienia koni, — a teraz konie nakarmić!“ Bardzo nas zdziwiło, że tak bardzo konie furązem obciążono, ale taki był wyższy rozkaz z pułku.

Rozbiegliśmy się po plutonach. Zwołani na apel żołnierze otrzymali najsurowszy rozkaz, by wszystko na oznaczony czas było gotowe. Nie zapomniał jednakże w tym momencie kapitan o podoficerze, oraz o zmęczonym koniu i kazał go wziąć do swojej stajni, bo konie namiętne lubił.

Okolo godziny 3-ciej po południu zatrąbiono „na koń!“ Szwadron zebrał się w rynku, dowódca przejechał przed frontem i zakomenderował: „Rotami od prawego marsz!“ Trębacz wyplacił sygnałem wszelkie pretensye i opuściliśmy miasteczko z wielkiem zdziwieniem mieszkańców, nie wiedząc jeszcze, gdzie idziemy i jaka być może przyczyna takiego pośpiechu.

Zwykle przed marszem wysyłano naprzód za kwaterami, wychodzono rano a nie pod noc, jak teraz. Wszystko to nasuwało różne myśli, a to tem więcej, że już od jakiegoś czasu chodziły głuche wieści, iż się zbrojono przeciw Francyi, by tam po Lipcowej rewolucyi zrobić po swojemu despotyczny porządek.

W dniu tym powietrze było moeno chłodne, posępne i wkrótce mrok zapadł. Maszerowaliśmy już prawie całą noc moeno zziębnięci. Dlatego podjechaliśmy do kapitana, który zadumany przed szwadronem maszerował, robiąc mu uwagę,

że konie bardzo zmęczone, czyby cokolwiek nie pozwolił wytchnąć.

— Właśnie o tem myślałem — odpowiedział. — Nie spóźnimy się na oznaczoną godzinę, byle tylko upatrzeć stosowny plac.

Jakoż wkrótce zatrzymał szwadron.

— „Otworzyć szeregi — z koni!“ — zabrzmiała komenda.

Kazaliśmy konie karmić w torbach po obozowemu; a było z tem dosyć trudności, i tu już starzy żołnierze byli nauczycielami; kapitan tymczasem podjechał pod karczmę i kazał żołnierzom zziębniętym dać po półkwatku wódki.

Największą trudność stanowiło pojenie koni, bo w rzece pić nie chcieli; ale za to później, te nasze zepsute pieszczochy ze wszystkiem się godziły.

Przed godziną 8-mą rano stanęliśmy w Międzyrzeczu. Zastaliśmy tam już wszystkie szwadrony gotowe, czekające na nas tylko, jako najdalej stojących. Zaledwie sformowaliśmy się, nadjechał generał Suchorzewski, a przy nim adjutant Kotkowski, jakoś uśmiechnięty. Po zwykłym przez generała powitaniu, rozeszła się komenda: „Trzema w prawo zajdź, marsz!“ Trębacz, jak zwykle, wyplacił sygnałem ułańskie długi i wszelkie pretensye.

Ruszyliśmy traktem ku Siedlcom. W powozie ukazał się także pułkownik Korytowski z podwiązaną twarzą; jakoś mu fluksya serce, zęby i słuch zainflamowała. Widział on zapewne co się stało, a był to zwolennik Roźnieckiego, szczerze do Moskali przywiązany, a jak utrzymywano, że nadesłany rozkaz od Rządu Narodowego do pułku całą dobę przytrzymał, ruszyliśmy dopiero, gdy drugi rozkaz otrzymał generał Suchorzewski. Podpułkownik Bogusławski prowadził pułk. Spotkaliśmy w drodze aptekę polową, ambulansę, kuźnię polową, kasę i kancelaryę pułkową.

Z tego wszystkiego widocznem było, że wychodzimy zupełnie, ale dlaczego tak nagle i dokąd, jeszcze nam nie

powiedziano, tylko głuche wieści obiegały i to bardzo sprzeczne jedne z drugimi.

Kiedy już oddaliliśmy się blisko milę od Międzyrzecza, zatrzymano pułk, kazano w czystym polu sformować czworbok ze szwadronów; w środku stanęli: generał Suchorzewski i jego adjutant, podpułkownik Bogusławski, major Chmielewski i zały korpus oficerów różnych stopni.

Wówczas przemówił podpułkownik, że w Warszawie wybuchło powstanie, że wojsko nasze zmusiło Wielkiego Księcia do opuszczenia stolicy i kraju wraz z gwardyami, i że wraca on na Brześć Litewski do Rosyi, dlatego pospiesznie z drogi jego ustąpić winniśmy, by nas nie zgarnął, — a czego od nas kraj żąda, odczytanem zostanie z nadesłanej depechy.

Tu adjutant generała, Kotkowski, odczytał wezwanie od Rządu Narodowego w gorących słowach, wzywające pułk do Warszawy dla obrony kraju i zawiadamiające, że dyktaturę przyjął generał Chłopicki. Na wieść tę rozległ się okrzyk radości, niedający się opisać; bo chwili tej opisać, ani zapomnieć byłoby niepodobna, gdyby życie trwało nawet wieki.

Rozsunęły się szwadrony, kazano zsiąść z koni, a że czas naglił, po obozowemu pospiesznie popaść konie; szwadrony, które tej nocy daleki marsz zrobiły, koniecznie tego potrzebowały. Zalecono pośpiech, popas więc trwał niedługo i wkrótce zatrąbiono „na koń!”.

Marsz odbywał się gwarno i wesolo. Przed Siedlcami muzyka pułkowa grała marsza zwykłego pułkowego, następnie kilkunastu podoficerów śpiewało marsz Dąbrowskiego. Śpiew ten nie wytrzymałby krytyki, jednakże w chwili ogólnego rozgorączkowania, wywołał on zapal nie do opisania. Cała ludność miasta wyległa i witała przybywających z największą radością.

Jeden szwadron, który był na służbie w sztabie pułku i stosunkowo niedaleki marsz zrobił, stanął w rynku; kazano mu zsiąść z koni i cokolwiek popaść, a trzy szwadrony

pomaszerowały za miasto, gdzie były stajnie skarbowe i wielki plac mustry, na którym się rozłożyły.

Wszystko na tym placu zastaliśmy przygotowane do karmienia koni: siano, owies i wodę w różnych naczyniach. Oddano to wachmistrzom szwadronowym do rozdzielenia między plutony; znalazła się także beczka wódki i tytoń dla żołnierzy. Był w tem dowód, że się pułku spodziewano, zatem o wypadkach w Warszawie już poprzednio wiedziano.

Kto to wszystko przygotował wówczas, nie wiem; ale pewna rzecz, że był to wojskowy, który znał dobrze potrzeby żołnierza. Jedzenia tyle dla żołnierzy naniesiono, że dwa pułki, nie jeden, można było pożywić.

Wyżsi oficerowie pozostali w mieście, gdzie przygotowano posiłek; młodsi zaś, zarządziwszy porządek w szwadronach, powrócili do miasta do wspólnego stołu.

Zjazd z okolicy był liczny, stało wiele powozów, a widocznym było przy powitaniu, gdyśmy wchodzili do miasta, że panie nasze nigdy i nikomu wyprzedzić się nie dadzą, chociaż bez wątpienia niejedną pierś ścisła obawa o najdroższe osoby ojca, męża, brata, którzy w wojnie udział wzięść mieli. Z dumą przecież powiedzieć możemy, że są to Westalki, w których sercu ogień święty miłości Ojczyzny wszystkie inne uczucia zagłusza.

W domu na przyjęcie przeznaczonym, w kilku pokojach zastawiono stoły różnemi mięsiami, jako najstosowniejszemi do przyjęcia zbrojnej drużyny; a co prawda, głód nam się mocno czuć dawał, po pospiesznym marszu prawie dwudziesto-cztero-godzinnym. Powitani uprzejmie przez gospodarzy, wzięliśmy się pospiesznie do pokrzepienia się, uwolniwszy się tylko od kaszkietów i mieszcąc się, gdzie kto mógł i jak mógł. W użyciu różnych trunków, których nie brakowało, wszystkie ogólnie byli skromni, bo chwila za nadto była uroczystą.

Gdyśmy już posileni opuszczać mieli salę, jako wetywniesiono na tacach prześlicznie upięte kokardy dwukoloro-

we, t. j. czerwone z białem, oraz trójkolorowe, t. j. szafirowe i czerwone z białem. Dwukolorowe rozebrano zaraz, byli jednakże niektórzy, co wzięli niebacznie jedne i drugie. Zaraz ich nazwano nietoperzami, dlatego, że między ptakami dla skrzydeł zechcą być ptakami, a między zwierzętami myszą. Mieli więc między kolegami za swoje.

Spieszno nam było do szwadronów. Pożegnawszy uprzedzonych gospodarzy, zdążyliśmy szybko na plac, a to tem więcej, że szwadron, który stał w rynku, już odmaszerował. Powróciwszy na plac, zastaliśmy wszystko w porządku; żołnierze byli zadowoleni, że dobrze nakarmili konie i sami się pożywili, a cokolwiek podchmieleni, rozmawiali z mieszczanami, między którymi byli i znajomi, bo tu zwykle stawała rezerwa pułku, przez którą prawie każdy żołnierz przechodził, jak się to poprzednio powiedziało.

Wypoczynek trwał około trzech godzin. Należał on się i koniom i ludziom pospiesznym marszem zmęczonym. Wkrótce pokazał się nasz kapitan, a obszedłszy szwadron, zastał wszystko w porządku. Bardzo był z tego zadowolony, a rzadko się to dawniej trafiało; wypadki w Warszawie zupełnie go zmieniły.

Odtąd mieliśmy oznaczone stacje spoczynku; poszły rozkazy od właściwej władzy, by wszystko było przygotowane pod najsurowszą odpowiedzialnością, chociaż tego rygoru nie było potrzeba, bo wszyscy i wszędzie z największą gotowością wszystkiego dostarczali.

Jakoż wkrótce wszyscy komendanci szwadronów kazali munsztuczyc konie, nadszedł także sztab pułku, zatrąbiono „na koń!” i w tym samym porządku puściliśmy się w dalszą drogę.

Ponieważ szwadron nasz zrobił najdalszy marsz, przeto z porządku wypadło, że zajmiemy najbliższą stację na spoczynek, jednakże w tak pospiesznym marszu, jaki odbywaliśmy, dopiero w miasteczku Kaluszynie zatrzymano szwadron. Miejsцина ta była własnością starego niecnoty generała

Roźnieckiego. Chętnieby tu żołnierze zrobili byli jaki wybryk, ale kapitan surowo tego zakazał, z uwagi, że w ten sposób żołnierz się demoralizuje.

Dnia 5-go Grudnia przed południem stanęliśmy na Pradze, wchodząc z muzyką. Przyjęto nas z uniesieniem największej radości, bo chodziły pogłoski, że Wielki Książę, wracając do Rosyi na Brześć litewski, zgarnął nasz pułk po drodze. Była ta wieść bardzo do prawdy podobną, dlatego to tak cieszone się z naszego przybycia. Pułk sformował się na placu i wysłano doniesienie do Warszawy, że czeka dalszych rozkazów. Wkrótce z wielkiem naszym zdziwieniem dowiedzieliśmy się, że mamy tąż drogą wrócić do Siedlec, - z kąd uda się pułk na posterunek do Węgrowa.

Rozkaz ten ogólnie wywołał niezadowolenie. Po co było forsownemi marszami robić przeszło 20 mil drogi, kiedy można nas było w Siedleach zawiadomić o naszym przeznaczeniu. Kazano zsiąść z koni i po obozowemu popaść, rozesłano natychmiast stojkowych posłańców z zawiadomieniem, że pułk temizsamemi stacyami powraca. Praga pożywiła żołnierzy; my zmartwieni, że czuć jakiś nieład w rozporządzeniach, z gościnności poczciwych Prażanów mało korzystaliśmy i żalowaliśmy biednych koni, które się bez potrzeby niszczyło.

Była może godzina 2-ga po południu, kiedy po dwóch godzinach spoczynku zatrąbiono „na koń!” Wracaliśmy nocą do tych samych stacyj, z których wyszliśmy. Witano nas z wielką pociechą, bo się obawiano, że wojsko cofnie się za Wisłę, a mieszkańcy na łup Moskałom zostawieni będą. I tak się, niestety, później stało.

Wróciwszy do Siedlec, zastaliśmy wszystkie nasze tabory zgromadzone, które natychmiast do Węgrowa wysłano. Postarano się o wysłanie rozporządzenia, by po etapach przygotowano potrzebny furaz dla koni i jakietakie umieszczenie; pod wieczór ruszyliśmy w dalszy pochód; w Sokółowie miał stanąć sztab i jeden szwadron, reszta po wsiach w okolicy, ale bardzo blisko.

W dniu następnym zająć miały, jako posterunek, szwadrony miasteczka Mokobody i Mordy; Węgrów zajął sztab pułku i jeden szwadron; dla naszego szwadronu przeznaczono miasteczko Sterdyń. Pułkownik Korytowski, jako chory, zdał komendę pułku z wyższego rozkazu Bogusławskiemu, i już go więcej nie oglądaliśmy; wyzdrowiał z owej choroby dopiero po upadku powstania i jako jenerał w służbie rosyjskiej sformował żandarmeryą w Królestwie Polskiem. Adjutant pułkowy, porucznik Majewski, przeszedł z awansem do innego pułku; powołano z naszego szwadronu porucznika Strzyżewskiego na adjutanta, a po nim komendę plutonu 2-go objął Łacki.

Po zajęciu oznaczonego posterunku, najpierw ustanowiono stacje kresowe, by rozkazy pułkowe i raporta szwadronowe szybko przechodzić mogły. Zaczęła się służba ciężka patrolów; podczas zawięci śnieżnych, nad granicą rosyjską do Jabłonny, Kamieńczyka, Ciecchanowca i Nura, każdy szwadron miał na trakcie ustawioną placówkę, która przejeżdżających od granicy badała. Podano ze wszystkich szwadronów zażalenie, że żołnierze na czas zimowy byli źle ubrani, opuszczając pośpiesznie a niespodziewanie garnizony, szczególnie, że mają stare płaszcze i liche obuwie, z prośbą, by to wszystko przedstawiono jak najspieszniej wyższej władzy. Nasz kapitan najgorliwiej tę sprawę popierał; jakoż wkrótce nadesłano żołnierzom krótkie kożuszki i dobre buty, również podali oficerowie do Rządu, że opuszczając garnizony bez podwód, wiele rzeczy w garnizonach po kwaterach pozostawić musieli, by im takowe podwodami odstawiono, na co jednakże długo musieliśmy czekać, i nie obeszło się bez straty.

Na takiej-to, jak powyżej określiłem, służbie, zeszedł czas do końca Stycznia. Gdy zaś wieści przez patrole donoszone potwierdzały zewsząd, że wojska rosyjskie koncentrują się nad granicą, z wyższego rozkazu ścisnęły się szwa-

drony około Węgrowa, a opuszczone stanowiska zajął inny pułk ku nam posunięty.

Jeden z naszych szwadronów zajął miasteczko Miedzną, przez co nasz posterunek w Sterdyni wzmoenił.

Nasz tylko szwadron został w miejscu, ku Bugowi naprzód wysunięty. Ciągłe patrole mijaly jedne drugie, rzadko już można było pod dach się schronić, a do tego zima była niestała, marzło i puszczało; Bug dotąd nie był jeszcze zamrznięty, dopiero z początkiem Lutego mrozy się wzmogły.

Nasz szwadron odbywał patrole do Nura i Ciecchanowca, które to miasteczka leżą za rzeką. Przewóz przez Bug promem na laskach jest we wsi Łęgu. Dokąd Bug nie był zamrzniętym, nie przedstawiał żadnej trudności w przeprawie; byłem też w Nurze i Ciecchanowcu parę razy z kolei z patrole, a dowiedziawszy się od burmistrza o wieściach z nad granicy, brano poświadczenia, które po powrocie przesłane były przez kresy do sztabu. W ten sposób odbywała się służba bez zmiany, tylko nakazano zwiększyć ostrożność placówek co do baczności widet.

Dnia 7-go Lutego, jak się mi zdaje, przyszła na mnie kolej patrolu do Nura, — jakoż pod wieczór już ruszyłem z plutonem. Jeszcze o dobre pół mili od przewozu w lesie Ceranowskim, przez który przechodziliśmy, slychać było huk lodów na Bugu. Uważałem, że nie łatwe będzie zadanie przeprowienia się przez rzekę, jeszcze wśród ciemnej nocy. Ale, że mus jest wielki pan, a w słowniku ułańskim nie było wyrazu: „nie można,“ obmyślałem środki, by wypełnić rozkaz. Winienem tu jeszcze dodać, w jakim porządku postępowały patrole: naprzód szła wysunięta szpica z dwóch żołnierzy i podoficera z dobytymi pistoletami, a za tą w niewielkim oddaleniu postępował oficer z oddziałem. Usłyszawszy z przeciwnej strony nadchodzący oddział, podoficer miał zawołać: „stój! kto idzie?!“ Gdy się oddział zatrzymał na to wezwanie, winien był zawezwać: „komendant oddziału naprzód! daj hasło!“ Po wymienieniu takowego, każdy z od-

działów we wskazanym kierunku postępował, a swoje patrole często się mijaly.

Inaczej rzecz się miała później, gdy się zdybało z nieprzyjacielem. Wówczas po wymianie strzałów pistoletowych, zamiast hasła, jeżeli siła była przeważniejsza, oddział robił obrót na lewo w tył i wracał z doniesieniem, a w takim razie szpica stanowiła aryergardę oddziału i wtedy już sam oficer ją prowadził. Tym razem jeszcze nie spotkaliśmy nikogo.

Wychodząc z lasu Ceranowskiego, przedstawił mi się widok niebardzo przyjemny: lody szły szalenie. Posłałem podoficera i żołnierza do zastępy wójta gminy, by go do mnie zaprosili, drugiego zaś podoficera i kilku żołnierzy po sołtysa, żeby zrobiono łówkę po wsi i spędzono ludzi, ilu można, z osękami i łuczywem do świecenia na przewozie. Równocześnie obsadzono przewoźników przy promie. Wkrótce dał się słyszeć tu i owdzie płacz kobiet, że ich mężów prowadzą na pewną zgubę.

Przyjechał zastępca wójta gminy i zaczął także argumentować, że jest to czyste niepodobieństwo myśleć o przewozie, i że nie można ludzi na pewną zgubę narażać. Na to krótko mu odpowiedziałem, że tak być musi, że w razie nieposłuszeństwa, każe użyć broni, a wtedy wzięto się bardzo energicznie do zebrania zdalnych ludzi i wkrótce zeszło się ich podostatkim; naniesiono żerdzi, osęk kutych i pozapalano na przewozie światła.

Żołnierze zsiadli z koni i z trudem wprowadzili je na prom, ludzie ze wsi wzięli się do lasek przewoźniczych, a jakaś część żołnierzy do rozpychania kry żerdziami. Z wielką trudnością dostałem się za rzekę, chociaż połowa plutonu została w Łęgu, bo nie można było obciążać promu. Z tych co się przeprawili, musiałem jeszcze zostawić podoficera i żołnierza na straży przy przewozie, by się ludzie nie rozbiegli, zanim powrócę. Z resztą tak uszczuplonego oddziału pospieszyłem do Nura nie bardzo oddalonego i stojącego na wyniosłym wzgórzu.

W miasteczku zastałem ludzi przygnębionych obawą, spodziewali się bowiem co chwila Moskali. Barmistrz przez całą noc na nogach, jak powiadał, że nikt tej nocy o spoczynku nie pomyślał. Obawa jest wielka, wojska nieprzyjacielskie skoncentrowane czekają tylko rozkazu do przejścia granicy, a może to każdej chwili nastąpić.

Wziąwszy, jak zwykle świadectwo, spieszyłem do przewozu, gdyż nowiny, z którymi wracałem, były nader ważne. Na przewozie zastałem wszystko w porządku, przewieźliśmy się też szczęśliwie. Potem krótko bardzo trwał popas koni, gdyż furaz zarekwirowany dostarczono; podziękowałem ludziom za trudy i chciałem ich uczęstować, ale zastępca wójta przygotował już i posiłek i napitek nie tylko dla żołnierzy, ale i dla przewoźników. Wszyscy byli ucieszeni, że się tak niebezpieczna przeprawa udała. Pożywiwszy się, wkrótce pospiesznym marszem wracaliśmy.

Wskutek tej mojej relacji, z nad granicy nadszedł jeszcze jeden szwadron z Węgrowsa dla wzmocnienia posterunku, bo patrole dniem i nocą ciągle się mijaly w drodze ku Bugowi i z powrotem.

Wzdłuż granicy były wówczas ustawione słupy alarmowe oblane smołą, a na wierzchu ich były jeszcze przy mocowane barylki także ze smołą. Istniał rozkaz, by w razie ukazania się w bliskości nieprzyjaciela, słupy te zapalano. W niektórych jednakże tylko miejscach rozkazu tego dopełniono, zapewne z obawy, by nieprzyjaciel nie mścił się za ostrzeżenie o jego nadejściu. Do wykonania potrzeba było zostawić żołnierzy.

Jakoś w parę dni po mnie, 9-go Lutego zdaje mi się, poszedł z patrolom porucznik Jabłuszewski z pierwszego szwadronu; powietrze było nieprzyjemne, zadymka, noc ciemna; zbliżając się ku lasowi Ceranowskiemu, miał się zetknąć Jabłuszewski z rekonesansem nieprzyjacielskim, a sam prowadził szpicę. Przy wymianie strzałów, ciężko ranny, dostał się do niewoli; zginął także żołnierz ze szpicy.

Podoficer z resztą plutonu powrócił i opowiadał, że szpicę obsypano gradem kul.

Wypadek ten zasmucił nas bardzo. Po powrocie podoficera z oddziałem, cały nasz szwadron pod komendą kapitana Kleszczyńskiego poszedł na rekonesans. Dowiedzieliśmy się po drodze od uchodzących przed Moskalami ludzi, że dwie sotnie kozaków, które uprowadziły rannego oficera, cofnęły się w lasy ku Bugowi, i że już znaczna część wojska nieprzyjacielskiego przez Bug się przepравиła.

Posuwając się naprzód, ujrzelśmy jakiś znaczny oddział kawaleryi, wychodzący z lasu. Oddział ten, dostrzegłszy nas, zatrzymał się, lecz kapitan widząc przeważne siły, które się już ukazały, a za nimi mogły być jeszcze większe w lesie ukryte, zatrzymał szwadron, a postawszy chwilę, by dokładniej rozpoznać siły, zakomenderował: „Trzema na lewo w tył!“ — i stępo wracaliśmy z powrotem, by zaraportować o posuwaniu się w kraj Moskali.

W drodze przez kresowego odebrał kapitan rozkaz, by nie zatrzymując się w Sterdyni, maszerował do Węgrowa.

Przechodząc, nie zastaliśmy już szwadronu 4-go w miejscu, gdzieśmy stali, a strwożeni mieszkańcy, widząc się opuszczonymi, chronili się, gdzie mogli. Miedzną opuścił już także stojący tam szwadron. W Węgrowie zastaliśmy już tylko jeden szwadron 1-szy, bo wszystkie tabory i sztab pułku odeszły do Liwa, gdzie i nam ciągnąć dany był rozkaz. Po dalekim jednakże marszu, kazano chwilę wypocząć i pożywić konie, szwadron zaś 1-szy miał pozostać w Węgrowie na posterunku; placówka była przed miasto wysunięta i rozstawiono widety. Żartowaliśmy z kolegów, że im dano przed innymi pierwszeństwo, by z kozakami czaj spijali.

Krótko trwał popas. Pospieszaliśmy do Liwa za innymi szwadronami, a jakaś gorączkowa niecierpliwość w przewidywaniu bliskiego starcia, wszystkich ośwładnęła. Dochodząc do Liwa już pod wieczór, ujrzelśmy przy moście kompanią piechoty z 8-go liniowego pułku. Widok-to był dla nas przy-

jemny, bo dawno już piechurków nie widzieliśmy, a chociaż w żarcie przymawiamy sobie, czuje się przecież w krytycznej chwili, że jesteśmy sobie potrzebni. Serdecznie się też powitaliśmy wzajemnie.

Do miasteczka dochodzi się przez długą groblę. Płynię tu rzeczyna Liwice, bardzo bagnista, do której dostęp jest dlatego trudny; mosty na rzece dotychczas przez naszą piechotę strzeżone, miały rozkaz, by po powrocie naszego szwadronu, jako ostatniego posterunku z Węgrowa, owe mosty miały być zniszczone. Przed miastem i w mieście stał jakiś pułk piechoty, którego w zmroku nie można było rozpoznać, dalej sześć dział pozycyjnych.

Przechodząc przez miasteczko, widzieliśmy oddziały różnej broni, świeżo nadchodzące, które się na oznaczonych stanowiskach ustawiały. Wśród ciemnej nocy zaledwie odszukaliśmy nasze szwadrony. Właśnie rozdawano furaz i żywność z furgonów przy świetle, kazano paść konie, rozpalano ognie, które inne oddziały już rozpałiły i wzięto się do gotowania po raz pierwszy w kociolkach. Starzy żołnierze byli w tej sztuce mentorami, a za to młodzi musieli robić wszelką posługę, jak starać się o drzewo, przynieść wody, która na szczęście była w bliskości. Słowem, zaczęło się słodkie obozowe życie z całym komfortem, bo już i oficerowie wspólny stół dzielili, a chociaż z innego kociołka, to przecież prawie te same specejały zajadali.

Okolo północy nadszedł ostatni szwadron naszego pułku, naciskany przez znaczne siły nieprzyjaciela, który zajął Węgrów.

Tu więc skoncentrował się cały pułk po kilkodniowym rozproszeniu po różnych posterunkach. Z naszego szwadronu podał się wachmistrz Kleczeński do sztabu niższego na oficera do furgonów, który-to stopień za wstawieniem się kapitana uzyskał. Wachmistrem w jego miejsce został podoficer Rutkowski; na podoficera awansował Zieliński. Zmiana ta zaszła w moim plutonie, a mnie sprawiła taką dogodność,

że po wachmistrzu Kleczeńskim dostałem dobrego służbowego konia, a bardzo go potrzebowałem.

Wszystko tu urządzono pospiesznie, by wszelkie tabory wysłać naprzód ku Dobremu, nim się dzień zrobi, bo się spodziewano, że zaraz zrana usłyszymy koncert działowy. W ciągu nocy nadchodzące oddziały różnej broni, a przeważnie piechoty, zajmowały oznaczone stanowisko na linii bojowej.

Naszemu pułkowi kazano stanąć w asekuracji przy działach, których było kilkanaście na linii. Z kawaleryi można było widzieć po jednym szwadronie 1-go i 4-go pułku ulanów i dwa szwadrony nowo uformowanej jazdy Mazurów, które nam się podobały. Brygadą naszą dowodził generał Rutie, były pułkownik 4-go pułku ulanów, zatem dobrze nam znany. Jakie pułki składały wówczas brygadę, nikt z nas nie wiedział, a para nie była stosowną, by się o tem dowiadywać.

Miasteczko Liw leży na wyniosłym wzgórzu. Linia nasza bojowa miała dominującą pozycję nad gościńcem, wiodącym z Węgrowa ku miastu, któreśmy zajmowali — i tu właśnie ustawioną była pół-bateria dział pozycyjnych. Rzeka zaś Liwiec przed miastem szła zakrętem, a brzegi jej są niedostępne z powodu bagien; ustawiono więc resztę dział tak, by na gościńcu od Węgrowa krzyżowo raziły. Za plecami naszymi była ściana lasu, gdzie majaczyły oddziały różnej broni, zapewne by utrzymać nieprzyjaciela w mniemaniu, iż tam mogą być skoncentrowane znaczne siły.

Przed południem pokazały się pierwsze kolumny nieprzyjacielskie od Węgrowa i zaczęły się rozwijać na prawo i lewo gościńca. Wkrótce długa linia bojowa wyciągnięta została, posuwając się zwolna naprzód. Przed tą linią wysuwały się małe oddziały, a rozumieliśmy, co znaczą te małe kupki, które wkrótce głośno do nas odezwać się miały. Nieprzyjaciel rozwinał już bardzo znaczne siły, a ciągle jeszcze od Węgrowa przybywały wojska. Gdy linia ta zbliżała się

ku miastu, które zajmowaliśmy, dwa bataliony nieprzyjacielskie, jeden z prawej, drugi z lewej strony gościńca, wysunęły się naprzód i kroczyły ku mostowi. Dotąd była uroczysta cisza, aż przerwał ją huk dział naszej pół-baterii, strzegącej gościńca. Strzały skierowane były do kolumn, które się zbliżały, a że były trafne, widać było po ruchu, jaki się w nich zrobił. Kolumny te zatrzymały się chwilowo, na całej linii nieprzyjacielskiej zrobił się ruch wielki, a kupki owe spiesznie posuwały się naprzód. Za drugim strzałem dział naszych, odpowiedziało na linii nieprzyjacielskiej kilka baterij, obsypując nas kulami.

Tu się zaczęły sztuki łamane, jak mówili Napoleończyki, jeźdźcy z końmi wywracali koziółki, a przyznać muszę, że się to nie bardzo nam podobało. Stare wygi napoleońskie, patrząc na nas młodych, uśmiechali się złośliwie z pod wąsa, a ta obserwująca galerya wzbudzała w nas energię.

Że naszym działom nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo, bo wojska walczące rozdzielala rzeka, kazano nam się cofnąć, by się nie narażać na niepotrzebne straty. Tu sama tylko artyleria mogła z korzyścią być użyta, ona też zwróciła ogień na działa nieprzyjacielskie. Dobra pozycja i wyższość naszej artylerii, niejedno działo nieprzyjacielskie wkrótce do milezenia zmusiły.

Linia tyralierów nieprzyjacielskich, w które się owe bataliony rozsypały, zbliżała się ciągle ku rzece, a zebrane w kompanie, posuwała się do grobli, chroniąc się za różne budowle, których rozbieranie już było przez nich rozpoczęte dla uzyskania materiału na zniszczone mosty; postarano się jednakże, by im ulżyć w tej pracy: kilka rzuconych granatów wypłoszyło ich z tych kryjówek, a budynki poszły z dymem.

Przed wieczorem odkomenderowano nasz szwadron, który drogą ku Dobremu się posunął. Uszliśmy z milę drogi w tym kierunku, kiedy w lesie nas zatrzymano, kazano zsiąść z koni, karmić konie i żołnierzom się pożywić. Rozpalono pospiesznie ognie i wzięto się do gotowania. Miejscowość była dogodna,

drzewo i woda znajdowały się w bliskości; tu staliśmy kilka godzin, nareszcie kapitan, zwoławszy nas oficerów, wyjaśnił plan wycieczki, a raczej napadu, jaki mieliśmy zrobić.

Rzecz się tak miała: w miasteczku Jadowie stać miał szwadron kawalerii nieprzyjacielskiej w rynku, placówkę miał wysuniętą przed miasto i rozstawione widety; chodziło zatem o to, by go z dwóch stron zaatakować. Kapitan dał rozkaz porucznikowi Brzosce, by zatrzymawszy się w ukryciu, później gościńcem zwolna postępował z plutonem jaknajciszej; kapitan zaś miał obejść dalej z tyłu ów posterunek z 3 ma plutonami, a gdy trębacz da sygnał do ataku, by równocześnie porucznik Brzoska galopem z frontu na placówkę uderzył. Przewodnik siadł na małego konika i zrównał się z kapitanem. Maszerowaliśmy jakąś wąską drożyną w las, mrok się zrobił zupełny, a że z lancami trudny marsz po lesie, kazano więc wzięść broń do flanku. Tak maszerowaliśmy około godziny, nareszcie ukazało się przecieź pole, a niedaleko luny ognisk w miasteczku. Pospieszaliśmy, ile było można. Jeszcze do miasteczka nie doszliśmy, gdy się już dały słyszeć strzały. Kapitan, nie chcąc narazić Brzoski na walkę o nierównych siłach, kazał zatrąbić do ataku. Galopem puściliśmy się do miasta, ale już szwadron wrogów był w zupełnej rozsypce. Jako lup, dostało nam się 17 koni i 3 ludzi, którzy, jak się zdaje, sami dobrowolnie oddali się w niewolę, bo podczas ciemnej nocy łatwo im się było schronić. Było w tem spotkaniu kilku żołnierzy nieprzyjacielskich rannych, czy zabitych, trudno było wśród nocy sprawdzić, czas też naglił do pośpiechu.

Nie zatrzymując się, otrzymał jeden pluton rozkaz zabrać powodowe konie i maszerować naprzód, a kapitan z 3 plutonami trzymał aryergardę na wypadek pościgu. Przewodnik prowadził najbliższą drogą do gościńca, z którego zeszliliśmy. Rano przyszliśmy pod Dobrę, znużeni całonocną poniewierką i stanęliśmy na oznaczonym dla pułku miejscu. Tu wzięto się spiesźnie do paszenia zmęczonych koni, a że

i furgony tu zastaliśmy, o furaz i żywność nie było kłopotu i spiesźnie je wybrać było można, bo szwadrony naszego pułku jeszcze nie nadeszły z pod Liwa.

Co do naszej nocej wyprawy, okazało się w sprawozdaniu, że porucznik Brzoska, maszerując zwolna ku miastu, spotkał patrol ztamtąd wysłany, a po wymianie strzałów, wiedząc, że nastąpi atak z przeciwnej strony, popędził za ustępującym patrolem, który razem z placówką w nieładzie wpadł do miasta. A gdy i z przeciwnej strony atak nastąpił, ujrzeli się Moskale otoczonymi, a nie namyślając się długo, wszystko poszło w rozsypkę.

A rozsypali się tak zrećznie dlatego, że stali tu we dnie, znali kierunek dróg i z tej przyczyny małe stosunkowo ponieśli straty. Z naszej strony było tylko dwóch żołnierzy lekko rannych.

Winieniem tu nadmienić, że cała ta nocna wyprawa mogła nas wiele straty kosztować, bo posterunek, na który napadliśmy, stanowił szwadron konno-litewskiego pułku ułanów, który tak mało różnił się w umundurowaniu, że nawet wśród dnia możnaby go wzięść za nasz pułk, i siedział na koniach także kasztanowatych, łatwo zatem mogło się wydarzyć, że wśród ciemnej nocy albo błędnych świateł, byłoby zaszło zamięszanie i swoi między sobą mogli się byli wykłuć; szczęściem więc było, że poszli w rozsypkę i nie przyszło do starcia.

Nadeszły nasze szwadrony zmęczone, ponieważ od dnia wczorajszego z koni nie zsiadały, pełniąc różną służbę obozową. Wzięto się przedewszystkiem do żywienia koni, kazano rozpalić ognie i gotować posiłek. Nie było czasu do stracenia, bo już w oddaleniu słyszeć się dawały strzały armatnie. Strata w dniu wczorajszym pod Liwem wynosiła 2 ludzi i 3 konie, w niepotrzebnej asekuracji, jak się to wyżej powiedziało.

Z nocej zdobyczy, której nam szecerze winszowano, rozdzielono po szwadronach konie, a wzięci do niewoli żoł-

nierze zaraz się do pułku zwerbowali. Że zaś mieliśmy straty w dniu poprzednim w zabitych, a nasz szwadron wskutek nocej wyprawy miał dwóch rannych, znalazły się luki do ich pomieszczenia. Odchodziły furgony, a nasi ranieni żołnierze prowadzili przy nich powodowe konie pod dozorem naszego dawnego wachmistrza, któremu także z tej zdobyczy dostał się koń, a właśnie bardzo go potrzebował. Usuwano się wszelkie pociągi pospiesznie, bo już i strzały ręcznej broni słyszeć się dawały; pokazywały się oddziały nasze różnej broni z lasu i zajmowały wskazane stanowiska. Przeszły dwa bataliony 8-go pułku liniowego przed nami, z którymi powitaliśmy się serdecznie, bo od początku byliśmy razem. Wszystkie siły ciągnęły na lewo i ustawiały się na polach Dobrego, a my trzymaliśmy lewe skrzydło. Wkrótce odezwały się w bliskości działa, a równocześnie batalionowy ogień. Nam dano sygnał: „Na koń!”

Pułk sformował się i stanął na linii. Pomiedzy dywizyonami naszymi stanęło sześć dział pozycyjnych. Ogień ręcznej broni na lewym naszym skrzydle stawał się coraz silniejszy; po batalionowym sypał się ciągle rotowy, a niekiedy słychać było: hura! Był to znak ataku na bagnety. Odezwały się także i nasze działa, by powstrzymać nadchodzące kolumny nieprzyjacielskie, które się szybko rozwiały. Wszczął się zacięty bój na całej linii, a szczególnie na lewym naszym skrzydle. Nadszedł szwadron 1-szy pułku 4-go ułanów i zajął nasze miejsce przy działach. Pułkowi nakazano ruch rotami w prawo i posunięcie się klusem na skrzydło.

Jakaś kawalerya nieprzyjacielska w oddaleniu się podsuwała, chociaż pola tu nie bardzo stósowne do użycia jazdy. Należało się mieć na ostrożności, a to tem więcej, że kolumna ta raz pokazywała się na polu, to chroniła się w lesie, wszelako zbliżając się ku nam.

Bój trwał ciągle zacięty, już i nasze prawe skrzydło zaczęły strzały armatnie dosięgać. Padł granat przed frontem, a pękawszy, zabił dwa konie i urwał nogi żołnierzowi.

Wkrótce padł drugi, zabił konia i żołnierza, kazano cofnąć się o paręset kroków i zwrócić do frontu, co się zwykle w takim razie robi, by zejść z celu. Padło jeszcze kilka granatów, ale te, albo przed, albo za frontem w oddaleniu pękały i nie zrzuciły nam już żadnej straty.

Piechota w tym dniu, co chwilę idąc na bagnety, cudów waleczności dokazywała. Odznaczyła się tu szczególnie brygada generała Skrzyneckiego, pułki 4-ty i 8-my, który sam osobiście ją prowadząc, okazał zdolność i osobistą odwagę. Z nocą bój ustał i nasi utrzymali plac bitwy; nieprzyjaciel poniosł wielkie straty i cofnął się z głównymi siłami do obozowania, tylko forpocztę jego pozostały na zajmowanym podczas dnia stanowisku.

Że piechota walczyła w tym dniu z największym wysileniem przeciwko przeważnie większym siłom nieprzyjaciela i była bardzo znużoną, kazano naszemu pułkowi na linii rozstawić szwadrony, wysunąć placówki i obstawić widetami. Nasz szwadron został w miejscu i stosownie do rozkazu rozstawił czaty. Strony więc walczące tak były sobie blizkimi, że każdy ruch wzajemnie dostrzedz było można. Po niejakiem czasie ukazały się luno ognisk obozowych z jednej i drugiej strony, w niewielkiej od siebie odległości; u nas skromne, z braku drzewa, z przeciwnej strony silne, bo stała w lesie.

My zaś, trzymający straż obozową, bez ogni stać musieliśmy przy koniach omunszuczonych, by na każdy alarm wsiąść na koń. Ciszę przerywał tylko jęk rannych, których znoszono w ambulansach i podwodach na ten cel sprowadzonych, albo zmiana rozstawionych czat. Tak nam zeszła noc długa o głodzie i chłodzie, bez snu, a była to już noc nie pierwsza.

Przededniem piechota zajęła nasze posterunki, a my cofnęliśmy się po za naszą trzecią linię dla pożywienia zgłodniałych koni i ludzi. Furgony na nas czekały, bez straty więc czasu wybrano furaz i żywność; wzięto się do popasu,

wiedząc z doświadczenia, że tu długo stać nie będziemy. Po bitwie pod Dobrem nie tak jednakże spieszo było Moskałom nowy bój rozpoczynać, ponieważ dnia poprzedniego, jak opowiadali jeńcy wzięci do niewoli, wielkie ponieść mieli straty i zrozumieli po tem pierwszym spotkaniu, że im nie tak łatwo pójdzie, jak to żołnierzom obiecywali, iż nie potrzebują się nawet bić, bo nas czapkami zarzuca. Sprawdziło się to później nieraz, gdyż po doznanej porażce zarzucali swemi czapkami i tornistrami nie nas, lecz gościńce, rejterując pospiesznie.

Dłuższy cokolwiek wypoczynek skrzepił konie i żołnierzy. Przed południem słyszeć się dały strzały i wkrótce rozpoczął się ogień żywy na całej linii. Nasi, przeważnie siłami naciskani, ustępowali ku Stanisławowu, stawiając na każdym kroku zacięty opór; trwało to do ciemnej nocy. Stanisławów wszakże utrzymali nasi. We dnie nie wiele byliśmy czynni, tylko w asekuracyi dział, tu przeważnie piechota zacięty bój prowadziła, za to z porządku rzeczy w nocy taka sama służba, jak dnia poprzedniego, nas czekała, to jest straż obozu. Był to już dla nas jakby chleb powszedni, wprawdzie gorzki, ale i do biedy przywyknąć się musi. Jak tylko bój się uciszył, zajęliśmy wskazane szwadronom stanowiska, ustawiono placówki, rozstawiono widety i znów przepędziliśmy noc bez ognia, lecz na szczęście czas był pogodny i bez ciężkich mrozów.

Po północy zluzowała nas piechota. Cofnęliśmy się po za linię. Tu już widocznem było znużenie wielkie żołnierzy i upadek koni, z których się od kilku dni prawie dniem i nocą nie zsiadało. Właśnie nadjechał generał Ruttie, któremu przedstawiono stan rzeczy, że jak mu wiadomo, pułk od tyłu tygodni, pełniąc trudną służbę na kresach i to w ciężkiej zimie, w odwrocie prawie z koni nie zsiadał, by je pożywić, i dlatego to konie w pułku są w oplakanym stanie, o czem sam naocznie przekonać się może.

Po wysłuchaniu tej relacyi, generał kazał się pułkowi zatrzymać, a sam odjechał; zapewne by się porozumieć i zarządzić zmianę. Jakoż wkrótce nadjechał adiutant generała z rozkazem, by pułk maszerował do Okuniewa i tam się do obozowania rozłożył.

W Okuniewie zastaliśmy nasze furgony. A że mieliśmy dłuższy czas spoczynku, można więc było dobrze nakarmić konie, mogli się i żołnierze pożywić i jeszcze cokolwiek przedrzęmać. Był tu założony magazyn, odkomenderowano z kolei żołnierzy, by się w furaz zaopatrzyć; furgony nasze także z tego korzystały, co nie rozebrano, w końcu spalono. Zastaliśmy tu także wóz markietanów z Warszawy, z czego bardzo byliśmy zadowoleni. Kupowaliśmy, co tylko pomieścić się dało w naszych szczupłych schowkach na zapas, a radość naszą z tego nabytku każdy łatwo pojmie, skoro się dowie, że już od dni pięciu wielu z nas żywiło się suchym chlebem, z dodatkiem wędzonej surowej słoniny i trochę wódki, nie mając nic ciepłego w ustach. A wojna, to nie zabawka! Dyletanci tylko ówczesni improwizują o niej, jakby opisywali kulig lub inne zabawy, a co najpewniej, że sami zbliżeni jej się nie przypatrzyli, czego ich improwizacye najdokładniej dowodzą.

Po kilkogodzinnym odpoczynku, kiedy już działa coraz bliżej słyszeć się dawały, kazano się na koń, i pułk zajął wskazane miejsce na linii. Ogień ręcznej broni już się także słyszeć dawał, wojska nasze zajmowały pozycyę pod Okuniewem, przy których utrzymać się postanowiono i dlatego bój coraz bardziej się wzmagał, chociaż jeszcze w oddaleniu; wszystkie nasze pociągi ustępowały pospiesznie ku Pradze.

Już samym wieczorem, kolumny nasze silnie napierane, z bagnetem w ręku odpierały natarcia i wznowił się bój, jak pod Dobrem; tu dał się słyszeć śpiew w kolumnach naszych idących na bagnety, który sprawiał wrażenie niedające się opisać, radości, że waleczni bracia nasi imponują wrogom

odwagą, a smutku, że wielu z tych walecznych ze śpiewem na ustach zaśnie na wieki. Nieprzyjaciel z całą usilnością starał się zająć te stanowiska, liczna artylerya jego ciągle rzuciła granaty, które w pomroce świeciły nad nami jak gwiazdki, a kiedy który z nich pękł w górze, robił się jasny obłok, zaś skorupy spadały z góry, jak niespodziana sukcesya na tych, którym ją otrzymać było przeznaczone.

Ciemność nocy przerwała ten zacięty bój. Nasi utrzymali się na placu bitwy. W nocy zrobił się ruch wielki a pospieszny, ciągle szły wozy z rannymi, z amunicją i działami ku Pradze, i nam tąż drogą nakazano odwrót. Podczas marszu ukazały się przed nami luno ognia, sądziliśmy, że przyszło nas wzmocnić więcej wojska. Drogą ciągnącą się lasami, zbliżaliśmy się do tych ognisk, przed którymi stały dwie kompanie piechoty, z bronią do nogi. Zdaje się, że był to oddział służbowy przy ogniach. Przechodząc około nich, widzieliśmy tylko kilkunastu ludzi, którzy dokładali drzewa, była to już prowizacya obozu. Wkrótce pokazała się i druga linia ognisk. Stanęliśmy po za nią. Kazano zsiąść z koni, bo gościniec był zapchany, przechodziły działa, wozy amunicyjne, różne oddziały wojska, tak piechoty, jakoteż jazdy, których jednak wśród ciemnej nocy rozpoznać nie było można.

Po parogodzinnem wytechnieniu, zatrąbiono „na koń!” Ruszyliśmy w dalszy pochód ku Pradze i stanęliśmy przedniem około zabudowań Grochowa. Tu przeznaczone było dla pułku stanowisko; stanęły szwadrony w wyciągniętym szyku bojowym, zwrócone frontem ku lasowi Wawerskiemu i w zwykłych odstępach zsiadliśmy z koni. Nakazano stać przy koniach, cisza zupełna panowała, głuchy tylko szmer w ciemności słyseć się dawał, bo wojska poeichu na linii bojowej ustawiały się.

Nasz szwadron stał przy budynkach, których przeznaczenia w ciemności odgadnąć nie było można. Znużony chciałem się zdrzemnąć, wtem zauważyłem jakiś niezwykle ruch między żołnierzami. Mój ordynans przybiegł spiesznie

po kociolek. Zrywam się z siedzenia i pytam go, co to znaczy? „A to, panie poruczniku, dobyli się żołnierze do składu słodkiej wódki i każdy bierze, w co może.“ Nakazałem mu najsurowiej, by się od koni nie oddalał, sam zaś pobiegłem coprędzej do kapitana, by z jego poradą i pomocą zlezu zaradzić. Gdym mu powiedział, o co chodzi, pobiegł coprędzej ze mną, wpadł do składu, amatorów wódki rozpędził i postawił wartę przy drzwiach składu, której nadzór mnie oddał. Potem zrobił rewizyą w szwadronie — i z kociołków kazał wódkę powylewać. Byli już wszakże niektórzy żołnierze dobrze podechmieleni, ale mogło być o wiele gorzej. Za nadejściem dnia, ile wódki było jeszcze w składzie, wszystkę między szwadrony rozebrano, bo jakkolwiek oddział byłby po nas zajął to stanowisko, toż samo byłby uczynił, więc o ochronieniu jej nie można było myśleć.

Dzień zaczął się robić, a był to ów dzień 19-go lutego, pierwszej bitwy pod Grochowem, którego setki naszych walecznych miały nie przeżyć. Nadeszła do nas bateria artyleryi konnej, z którą nie jeden raz manewrowaliśmy pod Łęczną. Rozstawiła się ona pół-bateriami po skrzydłach pułku, naprzód się wysuwając.

Najpierwej od Białoleki dał się słyseć silny ogień działowy, a wkrótce rozwinął się on na całej linii aż do Saskiej Kępy; piechota zaś równocześnie wtórowała mu bez przerwy.

Po niejakiem czasie, nasza bateria także rozpoczęła ogień. Odpowiadały jej ciężkie działa pozycyjne, i z powodu różnicy kalibru dział i o wiele liczniejszych, nieprzyjaciel miał nad naszą baterią przewagę. By nas z po za budynków wypłoszyć, obrzucano granatami i nie obeszło się bez dotkliwych strat w ludziach i koniach, jakie zwykle asekuracyą spotykają. Z wielką przykrością widzieliśmy także straty naszej artyleryi, bo w ciągu dnia dwa działa zostały zdemontowane, a poniosła ona stratę i w ludziach. My byłibyśmy nierównie większe jeszcze ponieśli straty, jednakże

budynki murowane, a między niemi dom piętrowy, znacznie nas osłaniały. Między budynkami był stawek i do niego wiele granatów wpadało, a niektóre z nich na lodzie pękały.

Najzaciętszy bój toczył się na naszym prawem skrzydle, wysuniętem ku Saskiej Kępie, przy owej tak sławnej później Olszynce. W dniu tym czynną była artylerya, a przeważnie potykała się piechota, która, chociaż znaczne straty poniosła, przecie na zajmowanych stanowiskach utrzymała się.

Kawalerya zaś nasza, z powodu niestosownego terenu, bo po gołoledzi, którą całe pola były pokryte, prócz w asekuracyi dział, inaczey użytą być nie mogła. Na prawem tylko naszym skrzydle wprowadził generał Szembek dwa pulki ulanów do akcyi, która się wszakże najzupełniej nie powiodła, bo niestosownie była użytą.

Już późnym wieczorem, gdy ogień obustronnie przyceił, dano rozkaz, by pulk pociągnął ku naszemu prawemu skrzydłu. Na wyznaczonem stanowisku, niedaleko szańców Pragi, stanęliśmy rozwiniętemi szwadronami, otworzono szeregi i zsiadliśmy z koni po służbie w asekuracyi całodziennej a ciężkiej, bo bez żadnego ruchu, obsypywani ciągle granatami. W dniu tym straciliśmy w pulku sześć koni i ośmiu ludzi w ciężko rannych i zabitych, między tymi znajdował się podoficer Koziński z naszego szwadronu, któremu skorupa od granata urwała nogę.

Zaraz w dniu pierwszym, gdyśmy stanęli pod Warszawą, okazał się wielki nieporządek w zaopatrywaniu wojska. Dawał się dotkliwie czuć brak wszystkiego: furgony nasze, które przysły z Pragi, dostawiły bardzo szczupły zapas furazju i żywności; szczęściem, mieliśmy niejaki zasoby z Okuniewa, gdzie były magazyny, które niszczone; tym tylko sposobem można było konie jako tako pożywić, a o to głównie chodziło, bo żołnierz w takim razie o sobie nie myśli.

Nadeszła noc. Ognie palić, to rzecz zbyt kowna, a zresztą o tem nie można było ani marzyć, bo przy Warszawie

o drzewo trudno, a nikt nie pomyślał, by go dla obozujących przysposobić. Gdziekolwiek też tylko i słabo w naszym obozie ogień błyszczał, za to obóz nieprzyjacielski, rozłożony w lesie Wawerskim, mając drzewa podostatkiem, jaśniał na całej długiej linii ogniami, chcąc niejako tym sposobem siły swoje nam okazać. Ale podobne strachy nie na Lachy; nam też zupełnie taki postrach nie imponował.

Dnia następnego, to jest 20-go lutego, równo ze dniem, rozpoczął się ogień z wielkim naciskiem na nasze prawe skrzydło, od Saskiej Kępy, szczególnie na Olszynkę, której grunt bagnisty, tylko dla piechoty mógł być dostępny. Dlatego też zaraz zrana przeszło po przed nami kilka batalionów tak piechoty liwiowej, jakoteż strzelców, by to stanowisko wzmocnić. My, w trzeciej linii stojąc, nie siadaliśmy na koń, pomimo zaciętego na całej linii boju. Niekiedy kule działowe, tocząc się zwolna po ziemi, zatrzymywały się przed naszym frontem, ale te już żadnej szkody zrzucić nam nie mogły. Bawiła nas tylko konkurencya zbieraczy tych kul, bo za każdą taką kulę placono jakąś kwotę w Warszawie. Tu było pole dla żarcików żołnierzy.

Jakoś z południa kazano posunąć się pulkowi naszemu więcej ku prawemu skrzydłu, gdzie bój zacięty ani na chwilę nie ustawał. Sądziłyśmy, że i nam przecie pozwolą się teraz rozruszać po kilkodziowej, bo od Liwa ciągle na nas przypadającej służbie asekuracyjnej dział, która bądźco bądź, zawsze jest niezabawną, bo pozwala jedynie stać na miejscu i służyć za tarczę dla dział nieprzyjacielskich, a gdy ogień umilknie, drzemać na koniach.

Dzień miał się już ku schyłkowi, a ogień nie ustawał, raczej wzmógł się jeszcze. Nasza waleczna piechota z bagnetem w rękę odpierała nieprzyjaciela, o czem znać dawały bębny grające do ataku i przeciągłe okrzyki: hura! Z nastaniem zupełnego zmroku, dopiero bój zwolniał. Nieprzyjaciel ani na krok naprzód się nie posunął; niektóre oddziały piechoty cofnęły się, by się rozłożyć do biwakowania.

Nam nakazano pozostać w miejscu. Furgony nadeszły z Pragi i przywiózłszy na całe pożywienie dla koni trochę owsa i mąki żytniej zmieszanej ze stęchłymi otrębami, ale ani jednej poreyi siana; mąkę żytnią stęchłą wraz z otrębami, pomimo, że były głodne, niechętnie jadły, a z tej przyczyny już powstało wielkie niezadowolenie. Przykro było patrzeć na biedne konie nasze, które o takim pożywieniu miały dnia następnego być użyte do ciężkiej służby. Naradzano się, by złemu zaradzić i postanowiono wysłać raport z zażaleniem w tej mierze wprost do Warszawy.

Jak się z sumiennego opisu pokazuje, to nie psuto nas pod Warszawą, pomimo ciężkich trudów, bo dla żołnierzy rozdano bardzo skromne poreyjki sucharów, niewiele mięsa solonego, a wódki i tytoniu po raz pierwszy, który starych wiarusów cokolwiek udobruchał, bo już zaczęli bardzo rezonować. Na noc dzisiejszą o paleniu ognia z powodu braku drzewa nie można było także pomyśleć, a przecież to była zima i ani garści słomy, by się po trudach można było przedrzęmać i siły skrzepić.

Nad ranem rozeszły się pogłoski, z których jedna mówiła, że na pięć, druga zaś, że na trzy dni zawarto zawieszenie broni. Jak się później okazało, było w tem coś prawdy. Rano zapanowała cisza zupełna na liniach zajmowanych, były tylko rozstawione silne forpoczty tak z jednej, jak i z drugiej strony walczących.

Kazano pułkowi naszemu zmienić stanowisko w ten sposób, że stanęliśmy po prawej stronie gościńca wiodącego z Pragi ku Miłosnej, na pagórku. Obok nas znajdowała się kępka lasu karłowatej sośniny, między którą chowano w ziemi ziemniaki, albo jak tam zowią perki. Wprawdzie ziemniaków już nie było; nie wiem wszakże, czy je poprzednio wybrali właściciele, czy też nasze poczeiwe a zmyślne piechurki, wywączawszy je, skonsumowali; dolów jednakże nikt po nich nie zasypał i zostało jakby jakie kretowisko. A należało się dokładnie na nowem stanowisku rozpatrzyć, bo dla żoł-

nierza, szczególnie dla kawalerzysty, zawsze potrzebnem jest, by się obeznał z miejscowością, o ile można najdokładniej, a żeby przez nieuwagę nie ponieść szwanku w czasie akcyi.

Zaraz od rana zrobił się ruch wielki ambulansów i podwód, a nawet znaczna ilość dorózek z Warszawy stawiała się po rannych, stosownie do zawartej wzajemnej umowy. Sprzątano obopólnie pomiędzy liniami między stronami walczącymi ranionych i znoszono zabitych do przygotowanych dolów, słowem, robiono najsmutniejszy porządek. A robienie podobnego porządku nawet na żołnierzu, który w wojnie żyje bez jutra, robi wrażenie bolesne. My staliśmy niedaleko gościńca na wzgórzu i wszystko to działo się w naszych oczach.

W ustawieniu na linii pułku, szwadron nasz dotykał owej sośniny. Patrzyliśmy na nią z pożądliwością, ale konary cieńsze już były okrzęsane, a drzewa zrąbać nie było czem, więc był to post bez ognia, którego bardzo byliśmy spragnieni, a żołnierze od tyłu dni nie gotowanego nie mieli w ustach. Nadeszły przecież furgony i rozdzielono, jak zwykle, skromne zapasy tak furażu, jakoteż i żywności. Skorzystano z ich przybycia i wypożyczono dwa topory z furgonów. Ochoczo wzięli się żołnierze do rąbania drzewa, a wkrótce zajaśniał i u nas tak pożądany ogień. Po pokonaniu tej, pozostawała już tylko jedna trudność z wodą, której kawalerya tak wiele potrzebuje do pojenia koni, a byliśmy od niej oddaleni.

Choć już dni kilka staliśmy w bliskości Warszawy, mimo to doznawaliśmy wielkiego niedostatku najniezbędniejszych potrzeb. Mniejsza już o ludzi, bo ci się małym kontentowali i nigdy o sobie poczeiwy nie mówili, ale konie bardzo źle były żywione, a cóż warta kawalerya na zniszczonych koniach. Sprawiało to tem przykrzejsze wrażenie, że czuć było zły zarząd, bo cofając się, zostawialiśmy magazyny prawie w każdym miasteczku, które, gdy nieprzyjaciel nadchodził, niszczone. Był więc nieład w ich zakładaniu, a wszystko to, co było zmarnowane, bardzoby się teraz przydało.

Przededniem jeszcze, dnia 25-go lutego, posunięto nasz pułk więcej ku prawemu naszemu skrzydłu. Zajęliśmy stanowisko w drugiej linii przy drodze, prowadzącej z Pragi ku Saskiej Kępie. Pierwszy dywizyon, to jest szwadrony 1-szy i 2-gi, więcej był zbliżony ku okopom Pragi; drugi zaś dywizyon, który składały szwadrony 3-ci i 4-ty, zbliżony był ku Saskiej Kępie. Oznaczyłem rozstawienie pułku, by następne wypadki objaśnić. Przed pułkiem między dywizyonami stała bateria dział pozycyjnych, zdaje się kapitana Piętki. Dalej ku Saskiej Kępie stał batalion strzelców pieszych, których poznać można było po czarnych przyborach.

Miejscowość ta znaną nam była dobrze, bo drogą, przy której obecnie staliśmy, bo nią za dawniejszych czasów, zebrani pod Warszawą, przechodziliśmy nie jeden raz. Wówczas nasz szwadron stawał we wsi Lasy, zaraz za Saską Kępą nad Wisłą położonej. Że wieś ta otoczona jest bagnami, bynajmniej z tej strony nie groziło niebezpieczeństwo oskrzydlenia. W tem ustawieniu szwadron nasz 2-gi, jako skrzydłowy w dywizyoni, stał cokolwiek przysłonięty ową sośniną, przy której poprzednio staliśmy, tylko z przeciwnej strony. Opisuję te szczegóły, bo się w dalszym ciągu okażą ważne.

Że na to skrzydło w dniach poprzednich główny był atak, spodziewaliśmy się, że po chłodnej nocy za nadejściem dnia będzie nam tu ciepło, a może i za gorąco. Jak można było przewidzieć, nieprzyjaciel wzmocniony nadejściem świeżych sił, uderzył na skrzydła. Od Białoleki słyszeć się dały działa, a jakby na dane hasło uderzono na Olszynkę. Od samego rana piechota wiodła bój zacięty i bagnietem odpierała natarczywość nieprzyjaciela, który coraz to nowe siły w bój wprowadzał. Przytem ogień działowy nieprzyjacielski wzmógł się do tego stopnia, że na nasz jeden strzał odpowiadały pół-baterie. Obrzucano nasz szwadron granatami, co naturalnie powodowało straty, jak zwykle w asekuracyi; przytem sąsiedztwo owej sośniny, do której

szwadron był zbliżony, bardzo nam tym razem było niepożądane; nieprzyjaciel bowiem, sądząc, że może tam być ukrytą jaką kolumna piechoty, ciągle obrzucał ją granatami, które pękając, narażały szwadron.

Dla tej przyczyny musieliśmy się cokolwiek od tej sośniny cofnąć. Dzień był posępny, a dym z ręcznej broni piechoty i z dział rozechodził się za powiewem wiatru po linii i tworzył czasami grobową pomrokę. Furczenie zaś kul armatnich rdzennym strzałem rzucanych i nieustanne pęknięcie granatów, głużyły nasze działa, które przy takiej przewadze słabo odpowiadały, bo naturalnie artylerya ponieść musiała straty, a w naszych szwadronach także, niby w tarczy, luki się ciągle otwierały.

Nieprzyjaciel wyteżył na prawe nasze skrzydło jak najsilniejszy atak, by je złamać. Piechota nasza w dniu tym tyle pamiętnym, cudów waleczności dokazywała, odpierając ten nacisk liczniejszego o wiele nieprzyjaciela. Widzieliśmy ciągle przejeżdżających adjutantów, przechodziły jakieś bataliony dla wzmocnienia, a ogień trwał bez przerwy.

Do nas także w pędzie na koniu nadjechał jakiś adjutant, skinął na kapitana Kleszeżyńskiego i zamieniwszy z nim słów kilka, pędem napowrót odjechał. Zaraz też kapitan zakomenderował: „plutonami od prawego, na odstęp plutonu, klusem marsz!” Stosowna po plutonach nastąpiła komenda, trzymając odstępy, ostrzegaliśmy, że szarża będzie! Przygotowaliśmy do niej żołnierzy, napominając, by drugi szereg nie najeżdżał na pierwszy.

Szliśmy w kierunku do gościńca głównego, prowadzącego na Pragę, a zaledwie minęliśmy lasek, który ten ruch zasłaniał przed ogniem działowym, bo odmieniając front, mogliśmy wielkie ponieść straty, — ujrzelśmy na gościńcu masę czarną kawalerii, posuwającą się ku Pradze. Przechodziła ta masa około jakiegoś batalionu piechoty, rażącego ją ogniem; inny zaś batalion nowo uformowanego pułku ustąpił w nieporządku, zbliżając się ku tej sformowanej do

szturmu kolumnie. Kapitan zakomenderował: „formuj szwadron na lewo! dyrekcyja na prawo! marsz! marsz!“ I jak na Saskim Placu, sformował się szwadron frontem do nieprzyjaciela w ten sposób, że 4-ty pluton, przed którym kapitan był na przodzie, zabarykadował gościniec, a szwadrony 2-go pułku ułanów dochodziły równocześnie z drugiej strony gościńca. W kolumnie słyszeć się dała komenda: *strojsia po tri!* Co znaczy, „formuj się trzema.“ Ale do tego strojenia nie było już czasu.

W tej nieprzyjacielskiej kolumnie szturmującej szedł pierwszy szóstkami pułk kirasyerów księcia Albrechta Pruskiego na karych koniach. Napadnięty przez nas z dwóch stron, miał bardzo trudną obronę, będąc partym do środka; skrajni jego żołnierze od lanc ginęli, kluto konie i ludzi, jak tylko grot mógł osiągnąć, w tym prawdziwym chaosie. Kapitan nasz, znany z wielkiej siły, zmiatał co mu pod rękę podpadło, czy to łeb koński, czy kark kirasyera. — Właśnie, kiedy jakiś sztabs-oficer od jego cięcia dał nurka pod konia, trębacz, który był obok poległego oficera i podoficer, zaatakowali kapitana z dwóch stron, któremu jakby umyślnie w cięciu na odlew przysła klinga, tak, że tylko garda została w jego ręce. Byłby niezawodnie zrabany, ale żołnierze Wziątek i Banach zrzucili napastników lancami z koni, a Wziątek podał swój pałasz kapitanowi. Banachowi dostało się cięcie w twarz, a chociaż je cokolwiek sparował, było jednakże dość silne, a mogłoby się ono kapitanowi dostać, jako już bezbronnemu.

Wkrótce z owego pułku kirasyerów usłał się wał z koni i ludzi wzdłuż gościńca, począwszy od żelaznego słupa, a nasi żołnierze, podczas tej bitwy a raczej rzezi, tak się pomięszali, że trudno ich było do porządku przyprowadzić, pomimo ciągłego trąbienia i komendy: „formuj się na prawo!“ Dopomogli nam w tem Moskale, którzy widząc, że pułk stracony, obrzucili nas formujących się granatami i dotkliwie w szwadronie zrzadzili straty.

Zginęło sześciu żołnierzy, między tymi podoficer Starochurski; rannych było jedenastu. Mieliśmy kilka koni zabitych, ja także straciłem konia, któremu skorupa od granata nogę urwała i w tem nadzwyczajnem zamięszaniu zostałem spieszony, i dlatego przez nagle ustępujących żołnierzy mogłem być stratowany, bo szwadron wracał pospiesznie, z kąd był przywołany, by się z pułkiem połączyć i uniknąć większych strat. Na pobojuwisku błąkało się kilku naszych żołnierzy, którzy utracili konie, a widząc mnie także spieszonego, złączyli się ze mną.

Konie tak kirasyerskie, jak nasze, po zabitych lub rannych, biegały błakając się, łatwo więc było w takowe się zaopatrzyć. Między niemi były wprawdzie ranione i niezdadne do użytku, ale były i zdrowe, w cugle tylko zaplątane, i takich też schwytaliśmy kilka. Miałem przy sobie dwóch starych i zręcznych żołnierzy, którzy także koni potrzebowali, więc już wspólnie sobie w tem pomagaliśmy. Przy pomocy też owych żołnierzy schwytaliśmy konia, zdaje się podoficerskiego, który cokolwiek, ale nieszkodliwie, był lancą skaleczony. Żołnierz, nazwiskiem Zgorzały, wielec mi był pomocnym, i on przyniósł siodło z mojego konia, stojącego w miejscu z urwaną nogą; aby się nie męczył, zastrzelił go z pistoletu dobrego, wyjętego z olstra. Trudno wypowiedzieć, jaka to przykrość dla żołnierza stracić konia, który z nim dzieli, jak najlepszy przyjaciel, wszelkie trudy i niebezpieczeństwa. Okulbaczonego zdobytego konia w moje siodło. Ściągało się także więcej naszych żołnierzy, którzy byli bez koni i wszyscy się w nie zaopatrzyli. Zdjęto kulbaki, które tylko zdjąć się dały z naszych zabitych koni. Mieliśmy, prócz mojego, ośm koni z pod kirasyerów. Odprowadziłem wszystko w tył na trzecią linią, by okulbaczenie skompletować.

Ku wieczorowi dostaliśmy się do szwadronu, który cofnięty za trzecią linią, kompletował się także. Powitali mnie serdecznie kapitan, jak również i koledzy, bo nie wiadano, co się ze mną w tym zamęcie stało; koni naszych do pułku

wróciło także kilka, które szwadronowi zwrócono. Konie wojkowe to mają do siebie, że po utracie jeźdźca, koń wraca ze swojemi końmi i ciśnie się do szeregu, gdzie należał, tak też i teraz wróciło ich kilka z pobojuwiska; mieliśmy przeto więcej koni, niż nam było potrzeba.

Samym wieczorem dano rozkaz, by nasz szwadron cofnął się na Pragę. Gdyśmy przeszli szaniec przedmostowy, kazano zsiąść z koni, które były tak zmęczone i głodne, że się zaledwie na nogach utrzymać mogły, i wzięto się do popasu. W takim razie koń przedewszystkiem zajmuje żołnierza, o sobie on wówczas nie wiele myśli, a gotować nie było co, ani przy czem.

Stojąc na Pradze, dowiedzieliśmy się niektórych szczegółów z dnia dzisiejszego, o których, będąc na linii bojowej, dowiedzieć się nie było można.

Otóż, z jakiegoś wyższego punktu dostrzeżono kolumny kawaleryi, posuwające się z lasu Wawerskiego gościńcem ku Pradze. By ten atak powstrzymać, rozesłano po najbliższą znajdującą się naszą kawaleryę, a że tu dywizye generałów Łubińskiego i Skarzyńskiego były rozstawione, zbierano co było można napręde, dlatego wzięto jeden szwadron tylko z naszego pułku, że na to skrzydło był najsilniejszy atak — na Olszynkę.

Naprzód wysunięty pułk kirasyerów rażony był przez batalion 8-go liniowego pułku, ale ten ogień nie powstrzymał go, pomimo strat, jakie poniósł.

Dalej na drodze stał batalion nowo sformowanej piechoty, kosami po większej części uzbrojony, ale ten w nieporządku ustąpił. W tym właśnie czasie dostrzeżono nas ułanów z dwóch stron pędem dążących i wkrótce nastąpiło starcie.

Zaczęto w tej chwili rzucać z szanieców race kongrewskie na dalsze kolumny kawaleryi do szturm idącej, by ją powstrzymać. My też słyszeliśmy podczas ataku na kirasyerów syczenie rac, ale w tym chaosie jaki wówczas pa-

nował, trudno było poznać, w jakim kierunku były one wypuszczane.

Kto dowodził wówczas szwadronami 2-go pułku ułanów, które udział brały w tej szarży na kirasyerów, trudno się było dowiedzieć, gdyż zmacone były w pierwszej chwili wiadomości. Jedni utrzymywali, że pułkownik hrabia Mycielski; drudzy, że pułkownik Kicki. Nie chcąc dopuścić się grzechu niesprawiedliwości, stanowczo w tym względzie nie orzekam i powtarzam tylko wieści, choć brałem udział w tej bitwie.

Już przed wieczorem rozpoczął się odwrót wojsk naszych zupełny i to bardzo pospieszny. Mówiono nam, że już znaczna liczba kawaleryi przeszła, teraz zaś przechodziły parki artyleryi i piechota sunęła się przez most bokami. Ścisł panował nie do opisania, a nagłono do pośpiechu, bo woda szła po lodzie i gdyby te puściły, nastąpiłoby zerwanie mostu, a w takim razie znaczna ilość wojska naszego byłaby została odcięta na Pradze.

Czekaliśmy na nasze szwadrony, a skoro tylko nadeszły, pospieszyliśmy na most, bo nagłono, by jaknajspieszniej przechodzić. Dano rozkaz pułkowi, że ma się udać do wsi Włochy i tam się rozłożyć. Przeszliśmy w nocy dawno już przez nas niewidzianą Warszawę, która dzień cały była w wielkiej trwodze, a i teraz nie myślała także o spoczynku, a wszystko w niej było w ruchu z powodu niepełności o jutro.

Maszerowaliśmy podczas ciemnej nocy na oznaczone miejsce; a jakby umyślnie, żeby nam się nie przykryło, padał ciągle deszcz ze śniegiem. Stanawszy w polu, kazano zsiąść z koni do obozowania, a na wielką pociechę żołnierzy, furgony zaraz za nami nadeszły. Wybrano więc furaz i żywność, a ze wszystkiego wódka i tytoń były najpożądane dla żołnierzy, bo każdy był przemokły i zziębnięty. Niewiele ognia rozpalono. Wszyscy byliśmy nadzwyczajnie znużeni, dlatego też pomimo słoty i bez garści słomy, a jak my zwy-

kliśmy mówić, bez materacy, gdzie kto siadł, tam zasnął, o tyle spokojny, że alarmu nie będzie, bo nas Wisła od nieprzyjaciela rozdzielała.

Z nadejściem dnia poszedł sztab pułku i dwa szwadrony do Parysowa, tu zaś we Włochach został pierwszy dywizyon, to jest szwadrony 1-szy i 2-gi. Wzięto się do urządzenia stajni i gdzie tylko było można, rozlokowano konie, które od tak dawna pierwszy raz były rozkulbaczzone.

Żołnierze też niespodziewanie ujrzeć mieli dach nad głową. Rozbiegli się oni najpierw, by się o podściółkę wystarać; znieśli, co gdzie zdobyć mogli, a kiedy koniom cokolwiek podesłano, uwolnione z kulbak pokładły się natychmiast i strudzone tak spały, że do pożywienia niechętnie wstawiały.

Z raportów nadesłanych ze szwadronów okazało się, że w dniu wczorajszym stracił pułk przeszło 30 ludzi w zabitych i ranionych, a między tymi trzech podoficerów, ośmnaście koni frontowych i trzy oficerskie. W tymże raporcie, który do Warszawy odesłano, proszono, by z rezerwy, o ile można, najspieszniej nadesłano ludzi, którzyby braki zastąpili.

Rozkazem dziennym zawiadomiono pułk, że naczelnym wodzem został obrany generał Skrzynecki; wywarło to wielkie zdziwienie. Jakkolwiek okazał on już zdolności, mianowicie w odwoicie z pod Liwa, a szczególnie pod Dobrem, jak również w bitwach Grochowskich w sławnej owej Olszynie, ta ciągle przecież zmiana w naczelnym dowództwie, przykre robiła wrażenie. Znając przytem naszych generałów, których miłość własna tym wyborem niezawodnie dotknięta została, że ich podkomendny nad nich wyniesionym został i że rozkazy jego wypełniać będą obowiązani, przewidzieć można było, iż wzniesi to przeciwko niemu zawiesz, co szkodliwie wypaść może na dalsze działania wojenne.

W raporcie pułkowym przedstawieni zostali do krzyża: kapitan Feliks Kleszczyński, komendant szwadronu 2-go i żołnierze: Banach i Wziątek, którzy kapitana ocalili od pewnej śmierci w starciu z pułkiem kirasyerów.

Zaledwie żołnierze ze znużenia cokolwiek wypoczęli, wzięto się do robienia porządku. Przykry widok przedstawiali nasi żołnierze i my oficerowie razem z nimi. Każdy z nas wyglądał, jak jedna bryła błota, bo przymarzło ono do odzieży, a o zmianie bielizny, pod przykryciem często nielaskawych Niebios, pomyśleć było trudno. Konie i efekta jeszcze gorzej wyglądały.

O naszym nędznym nad wszelki wyraz pożywieniu, to już i mówić nie warto. Istna to była ironia losu, bo w tychże samych miejscowościach i na tychże polach w roku 1829, podczas bytności Cesarstwa, pułk tak świeżo i świetnie się przedstawiał, z tą wszakże różnicą, że wówczas występowaaliśmy jako strojni niewolnicy, dziś zaś znękani i obrudzeni, ale jako ludzie wolni i wyswobodzeni z pod owego nieznośnego ucisku W. Księcia; chociaż w tych krwawych zapasach z tak przeważną siłą, dla nas wojskowych, przyszłość bardzo była zamglona.

Pomimo takiej strasznej nędzy, serce się radowało, patrząc na tego poczciwego żołnierza, który na duchu nie upadał; zawsze słyseć się dawały tesame rubaszne żarty, i zaledwie cokolwiek spoczęli, brali się ochoczo do robienia porządku. Rozpakowano mantelzaki, w każdym, jak w małym sklepiku, znalazły się nici różnokolorowe, igły, szydła, dratwy i różne drobiazgi, zasoby jeszcze z garnizonów; a pod ręką zręcznych, starych wiarusów, wszystkie efekta zostały wyprawiane i odświeżone tak, że w przeciągu tygodnia można było bardzo świetnie wystąpić.

Bliskość Warszawy nastęrczyła nam także sposobność do uzupełnienia braków. Zaczęło się kompletowanie pułku: konie na kirasyerach zdobyte wzięto do artylerji, w zamian dano nam inne i braki dopełniono.

Nadeszli ludzie z rezerwy; zajęto się mustrą przybyłych i ujeżdżaniem koni. Była więc zabawka całodzienna, a pod ręką tak energicznego kapitana, jakim był Kleszczyń-

ski, szło wszystko, jak za ś. p. dawniejszych czasów; wkrótce też czasie szwadron był do wystąpienia gotowy.

Jak wiadomo, za czasów W. Księcia oficerowie siedzieli na anglezowanych koniach, a że ja mego anglika straciłem, jak się wyżej powiedziało, w dniu 25 lutego, i że bardzo trudno było w owym czasie dostać dobrego wierzchowego konia, więc występowałem na zdobytym po-kirasyerskim. Musiał on być ze skrzydłowego szwadronu, gdyż był wielkiej miary. Żartowali koledzy, że wyglądam na nim jak wróbel na dachu; inni znów radzili Łackiemu, który był bardzo niskiego wzrostu, by ze mną zrobił zamianę, to się tym sposobem nadsztukuje. Jeden z tych żartownisiów cytował mi ustęp z psalmu: „I na ogromnym smoku jeździć będziesz.“ Żarty żartami, ale że koń był dobry, chodził dobrze, zostałem przy nim, a chociaż nieszczęśliwie, jednakże dosyć długo mi służył; maścią się tylko wyróżniał.

Winienem tu zrobić wzmiankę, jaki duch wówczas ożywał żołnierza, a najlepiej objaśni to fakt następny: Podczas bytności cesarza Mikołaja w roku 1829, cała armia polska zebrana była pod Warszawą. Występowało wojsko na manewra, parady, warty honorowe, ordynanse, posyłki, a w końcu na rewia pod Warszawą. Za każde wystąpienie otrzymać miał podoficer i żołnierz po rublu srebrem, z dodatkiem podwójnej racyi, jako gratyfikację od Cesarza. Zaś W. Książę Konstanty dodawał od siebie po jednym złotym polskim, co czyniło razem pół dukata. Pieniądze te nadejść miały z Petersburga i dlatego robiono wykazy imienne, ile się komu należy, a tworzyło to znaczną sumę pieniędzy, które miały być wypłacone pułkowi. Podczas powstania, gdyśmy stanęli w Węgrowie, przesłano deklarację do Rządu Narodowego, oświadczającą, że pułk na potrzeby kraju ten fundusz ofiaruje. Za tę ofiarę otrzymał pułk podziękowanie.

Przy formowaniu nowych pułków potrzeba było oficerów, dlatego w starych pułkach były awanse i ciągłe zmiany, które i u nas zaszły; awansowali na majorów, kapitanowie:

Czyżewski z 1-go szwadronu, przeszedł do innego pułku; Kleszczyński z 2-go, Żółkiewicz z 4-go i Wierzechlejski, który poprzednio był w naszym szwadronie, przeszedł do 5-go szwadronu uformowanego z dymisjonowanych żołnierzy naszego pułku, a następnie do korpusu generała Dwernickiego. Po kapitanie Kleszczyńskim objął komendę naszego szwadronu kapitan Zieliński z pułku 1-go ułanów.

Dowodzący pułkiem, podpułkownik Chmielewski, przeszedł do innego pułku; dowództwo pułku objął podpułkownik Pawłowski.

W naszym szwadronie 2-gim zaszły także zmiany: porucznik Wincenty Długoszewski, odkomenderowany do szkoły podchorążych, jak się wyżej powiedziało, ranny w nocy Listopadowej, był długo w lazarecie, a po wyzdrowieniu przeszedł z awansem na kapitana do 5-go szwadronu nowo sformowanego. Przeszedł tam także Kotowicz z awansem na porucznika; porucznik Brzoska awansował na kapitana do 2-go pułku ułanów.

Podczas tych zaszłych zmian, szwadronem 2-gim komenderował kapitan Zieliński, plutonem 1-szym Wronski, 2-gim Górski, 3-cim Łacki, 4-tym ja, co było mojem upragnieniem życezeniem, gdyż w tym plutonie służyłem od kadeta.

Jakoś, zdaje mi się, w połowie marca, uwiadomiono nas rozkazem dziennym z pułku, że ma być wybrany oddział z każdego szwadronu i ubrany w paradzie. Oddziały te złożyć mają pół-szwadron, którego przeznaczeniem będzie reprezentować pułk i być obecnym przy rozdawaniu krzyżów przez naczelnego wodza. Z naszego szwadronu mieli być dekorowani: major Kleszczyński, oraz żołnierze Wziątek i Banach, którzy mu uratowali życie w ataku na kirasyerów. Banach wystąpił z obandażowaną twarzą, bo pomimo ciężkiej rany, do lazaretu pójść nie chciał.

Po powrocie z owej parady opowiadano, że generał Skrzynecki, na ten obrzęd, który trwał dość długo, bo była znaczna ilość krzyżów do rozdania w różnej broni, otoczył

się wielką świetnością, może nawet niestosowną do smutnych okoliczności, w jakich wówczas kraj się znajdował, w większej połowie zalany, niby powodzią, wojskiem nieprzyjacielskiem. Takie wystąpienie byłoby stosowne tylko po zupełnem zwycięstwie.

W drugiej połowie marca zawieszano pułk na służbę do Warszawy. Umieszczono nas w koszarach po-gwardyjskich na Solcu. Konie dostały się do wygodnych stajen; żołnierzom przypomniało się koszarowe życie, ale zupełnie tym razem odmienne od dawniejszych czasów, bo płynęło bez tej sekatury co do utrzymywania porządku, jak również niustannych wystąpień i wart, a zawsze w paradzie; a było to bardzo uciążliwe tak dla żołnierzy, jak dla oficerów, i dlatego to tak obawiano się niegdyś służby w Warszawie. Teraz zaś, po takiej poniewierce ciągłej w polu, jakiej doświadczyliśmy wśród zimy, a co jeszcze gorsza, w czasie sloty na wiosnę, był to dla nas prawdziwy wypoczynek, chociaż można się było spodziewać, że niedługo on potrwa.

Jak na początku powiedziałem, pułk nasz został z garnizonów niespodziewanie a tak pospiesznie ściągnięty, potem rozstawionym był na kresach nad granicą rosyjską i pełnił tę ciężką wśród zimy służbę aż do rozpoczęcia się kampanii; dalej przy odwróceniu naszego wojska ku Warszawie miał udział w bitwach pod Liwem, Dobrem, Stanisławowem i Okuniewem; wreszcie dnia 18 lutego w nocy stanął pod Grochowem, brał więc udział i znaczne poniósł straty we wszystkich trzech bitwach Grochowskich, dnia zaś 25-go lutego w nocy cofnięty był za Wisłę.

Wypadki zatem, jakie zaszły pamiętnego 29 listopada w Warszawie, oraz późniejsze, były nam zupełnie nieznane, a że nie mogły być dla nas obojętnymi, dowiadaliśmy się też o nie, korzystając z chwilowej bytności w Warszawie, a przychodziło do nas do koszar wiele młodzieży. Ale wiadomości, których nam udzielono, były zmącone, bo jak to u nas mówią: co głowa, to zdanie. Ale tym razem można

byłoby powiedzieć: że co czapka, to zdanie, a były wówczas różnobarwne, nawet zdawało się, że się niektóre zapalą, ale tylko czapki. Bawiła nas ta donkiszoteryja!

W tych wszystkich wiadomościach nie brak było u jednych nieuzasadnionych uprzedzeń, u innych śmiesznej przesady. A to co najsmutniejsza, że grozy owej chwili tak jedni jak drudzy zupełnie pojąć nie umieli i lekceważyli siły nieprzyjaciela, chociaż mu jeszcze zbliżka w oczy nie zajrzeli, a wojowali tylko koncepcjami. Śpiewka była wówczas na porządku dziennym w Warszawie; ale my, cośmy przez całą zimę dość biedy zaznali i szeregi nasze w bitwach znacznie już także zostały przerzedzone, my w owych śpiewkach pełnych przechwałek nie bardzo gustować mogliśmy, i przykre to na nas robiło wrażenie.

Jeszcze my młodzi ludzie, chociaż i nam to wszystko w owym czasie wydawało się niestosownem, byliśmy wyrozumialsii; inaczej wszakże na to zapatrywali się nasi komendanci, doświadczeni w wojnach Napoleońskich. Ich gorszyła ta lekkomyślna swawola, a więcej jeszcze ten nieład w zarządzie, pozwalający, by tyłu młodych ludzi, ubranych w mundury, które dowolnie, jakby dla mody zmieniali, płatało się bezczynnie po Warszawie, szerząc tylko demoralizacyą w szeregach wojska. To oburzenie ich pochodziło z tej zasady, że skoro jednym wolno jest usuwać się samowolnie od obowiązków służby, dlaczego tasama swoboda nie ma przysługiwać również innym; dlaczegoż tylko jedni mieliby być skazani na znoszenie trudów i niebezpieczeństw? Oto były pobudki, i bardzo słuszne, dla których się nasi starsi na ten nieład oburzali, dziwiąc się, że nie było wówczas nikogo, ktoby rozkazał bruki Warszawy z tych naleciałości oczyścić.

Z tego wszystkiego, co się widzieć i słyszeć dało, zrobione zestawienie nie przedstawiało nam błogich w przeszłości widoków. Rząd w pierwszej chwili dorywczo ustanowiony, był mięszaniną, jak to mówią, złego i dobrego, i dlatego

zgodnym być nie mógł. To było właśnie jedno i najważniejsze złe, które w następstwie upadek nasz spowodowało.

Następstwem takiego składu rządu było, że złożono dyktaturę w ręce generała Chłopickiego, który ją przyjął bardzo niechętnie. Miał on wprawdzie zdolności wojskowe, ale znany jego nieugięty upór i cierpka opryskliwość, nie mogły rokować dobrych nadziei powstaniu; nie dał się nakłonić do jakichkolwiek planów zaczepnych, które były w naszym położeniu konieczne. Chłopicki w całą sprawę nie wierzył i dlatego narzucenie mu dyktatury było błędem, bo stracono wiele tak drogiego czasu bezczynnie; zwicnięto organizację wojska, ostudzono zapal, a gdy zaś dyktaturę złożył, krok ten wywarł bardzo zły wpływ na wojsko.

Pierwsza myśl, jaką powzięto w pierwszej chwili powstania, to jest, by powołać generała Kniaziewiczza, który podówczas był za granicą i w jego ręce złożyć dyktaturę, zdawała nam się najstósowniejszą. Choć i generał Kniaziewicz był już wówczas wiekowym, ale nie był złamanym — był to generał wielkich zdolności, jako wojskowy, a charakteru zacnego, jak głosili ci, co pod nim w wojnach Napoleońskich służyli. Co zaś najważniejsza, że przed nim, jako przed starszym w służbie, wszelkie nieuprawnione ambicje wielkich niby zasług umilknąćby musiały, i każdy wedle zdolności byłby wypełniał chętniej swój obowiązek, nie wyłączając nawet Chłopickiego, któryby zapewne w służbie pozostał.

Starsi wojskowi, jakimi byli nasi komendanci, którzy jeszcze w wojnach Napoleońskich udział brali, znali dobrze wszystkich naszych generałów w armii obecnie zostających i twierdzili, że po złożeniu dowództwa nad wojskiem przez generała Chłopickiego, nie było nikogo, komuby to dowództwo oddać było można z zaufaniem, iż wielkiemu zadaniu podołać potrafi.

Do tego zadania, prócz zacności charakteru, poświęcenia bez granic, potrzeba było także wielkich zdolności

wojskowych, a tych u nas do zbytku nie było, jak się to później okazało.

Wspomnieć mi tu także należy, że przy naszych pogadankach w czasie wolnym od służby, nasuwały się różne wspomnienia, i kiedy mowa była o naszych generałach, których przymioty i wady podkomendni najlepiej ocenić potrafia, mimowoli nasuwało się wspomnienie o generale Sokolnickim, który tak znakomicie odznaczał się w kampanii 1809 roku, a który z ciężką stratą dla kraju tak nieszczęśliwie wypadkową śmierć znalazł; on w tej wojnie byłby bardzo potrzebnym.

Przy takim rozbiorze krytycznym ówczesnego położenia, nie można było pominąć, jak ciężką poniósł kraj stratę także przez śmierć w noy Listopadowej, generałów Nowickiego i Stanisława Potockiego; jak również przez to, że nie starano się utrzymać zaraz na początku generała Rautenstraucha, który, jako minister wojny, mógł krajowi wielkie oddać usługi, bo zdolności w tej mierze niktby mu zaprzeczyć nie mógł, a ci co go znali zbliżka, zaręczali, że byłby przyjął tę godność, ale go zrażono nieufnością. Na tym punkcie także okazał się później brak zupełny zdolności.

Uważano także ogólnie za niestosowne, a nawet bardzo szkodliwe, że po złożeniu naczelnego dowództwa przez generała Chłopickiego, oddano takowe generałowi księciu Radziwillowi. Pomimo swej zacności charakteru i osobistej odwagi, jakiej dawał dowody w wojnach Napoleońskich, mógł on tylko dowodzić korpusem, ale nigdy całą armią. Od tej godności wypraszał się przez swą szlachetność; ale że na razie nie było nikogo, komuby powierzyć dowództwo wojska, więc prawie zmuszono go przyjąć takowe tymczasowo. Przy nim, jako już wolontaryusz, a głównie doradca, pozostał generał Chłopicki. Nie nosił on munduru od czasu złożenia dowództwa, brał jednakże udział we wszystkich bitwach Grochowskich i narażał swe życie; gdyby tylko chciał był poświęcić ambicję i jako szef sztabu występował, byłby tym sposobem wiele jeszcze złego, którego narobił, w stanowczej

chwili naprawił. Nie byłaby w takim razie brygada strzelców generała Szembeka w najkrytyczniejszym momencie stała bezczynnie, nieopodal Olszynki, w dniu 25 lutego, gdzie się wówczas rozpaczliwy bój toczył; nie byłby mu także odmówił generał Łubiński posłania dywizji kawaleryi stojącej w rezerwie, jak naówczas utrzymywano, wiedząc dobrze, że z nim zartować nie byłoby można. Mówiono także o generale Krukowieckim, że rozkazu Chłopickiego nie usłuchał w najbardziej stanowczej chwili. Ale niestety, żadnej już nie miał b. dyktator władzy, nie mógł nikogo do odpowiedzialności pociągnąć, a że jeszcze w dniu tym był rannym, wszystko jakoś poszło w zapomnienie, a to tem więcej, że zmiana naczelnego wodza wkrótce nastąpiła. Jak wiadomo, po bitwie dnia 25 lutego i cofnięciu się wojska na lewy brzeg Wisły, książę Radziwiłł złożył dowództwo naczelnego wojska, a Rząd Narodowy oddał dowództwo generałowi naówczas dywizji, Skrzyneckiemu. Zatem w krótkim czasie był to już trzeci wódz naczelny.

Tak w Warszawie, jak u nas w pulku, zaraz po ogłoszeniu tej nominacji, ludzie rozważnie fakta sądzący, uważali, że z tego wywyższenia bardzo złych skutków w przyszłości obawiać się można.

Chociaż bowiem generał Skrzynecki dzielnie odznaczał się w bitwach pod Dobrem i w Olszynie Grochowskiej, jak to wyżej powiedziano, to przeczuć można było, że zawiść tego wywyższenia mu nie przebaczy, a skutki jej odbić się muszą szkodliwie na sprawie kraju; że dalej, ludzie są zawsze ludźmi, i chociaż, jak to mówią, nikogo niema bez ale, jednakże w tym wypadku miłość własna dotknięta, nad wszystkim górować będzie, a nawet dobro kraju uczucia tego nie ulagodzi.

Wszystkie te wiadomości, jakich nam Warszawa dostarczała, a zarazem nieporządki w niej cierpiane, to prawdziwe bezczynne wałęsanie się pseudo-wojskowych, brak wszędzie czuć się dający tak potrzebnej energii, nielad

w zarządzie, dochodzący do tego stopnia, że o najpotrzebniejsze efekta dopukać się nie było można. Było w pulku wiele uszkodzonej broni, którą wymienić się starano, nieregularne dostarczanie żywności i furaju, wszystko to razem wzięte, przykre na nas robiło wrażenie. Przytem różne, przez spacerujących bezczynnie a nas nachodzących, rozsiwane do wiary niepodobne brednie, wstrętnemi nam już były i dlatego czekaliśmy z upragnieniem wyjścia w pole, by odetchnąć niezarażonem powietrzem.

Z bytności w Warszawie jedną tylko odnieśliśmy korzyść, tę mianowicie, że stojące w dobrych stajniach konie bardzo nam się poprawiły, i że mając obszerny plac mustry, rekruci nasi dobrze się poduczili.

Uważaliśmy też posterunek obecny w koszarach za odpoczynek po doznanych trudach w obozie przez całą zimę, bo w mieście służby żadnej nie pełniliśmy; był tylko rozkaz, by dwa szwadrony w każdą noc miały konie okulbaczone i żołnierzy do marszu gotowych. Z kolei, tę służbę, nie bardzo uciążliwą, dywizyony pełniły.

Z nadchodzącą wiosną zbliżały się Święta Wielkanocne. Raz obiegały wieści brukowe, które i do nas do koszar przez nowiniarzy dochodziły, że Moskale postanowili Święta obchodzić w Warszawie. Wieści te zupełnie nas nie trwożyły, dawały tylko powód do różnych koncepcji, jakby im te Święta urządzić? To jednakże było pewnem, że się wkrótce kroki nieprzyjacielskie rozpoczną.

CZEŚĆ DRUGA.

W Wielki Tydzień, z wtorku na środę w nocy, zostaliśmy zaalarmowani. Dał się słyszeć huk, jakby pochodzący od strzałów armatnich; rzecz zaś tak się miała: Moskale, chcąc nam most na Pradze spalić, urządzili i puścili z wodą statki, materiałem palnym naładowane; żeby zaś dostęp do nich w razie usiłowania zniszczenia tych statków był trudny, nałożyli je granatami; statki zapalone szybko z wodą plynęły, a granaty pękały. Huk ten i Warszawę zaalarmował. Ponieważ koszary na Solcu, w których staliśmy, leżą w bliskości Wisły, huk przeto dochodził do nas wielki, a jeszcze powtarzały go rozliczne echa. Wskutek tego alarmu, kazaliśmy jaknajspieszniej konie kulbaczyć.

Wkrótce jednakże wysłany oddział saperów, pomimo wielkiego niebezpieczeństwa, statki owe zniszczył.

Z powodu tego alarmu przysłano rozkaz ze sztabu głównego, by dwa szwadrony z pułku udały się na rekonesans do Góry, rozeszła się bowiem po Warszawie pogłoska, że równocześnie z ułożonym planem zniszczenia nam mostu na Pradze, stawiają tamże Moskale most i mają zamiar przeprować się w tem miejscu przez Wisłę; a chociaż do tych wieści nie przywiązywano wiary, oddział jednakże dla bezpieczeństwa i uspokojenia publiczności był wysłany.

Major Żółkiewicz ze szwadronami 3-cim i 4-tym udał się w marsz. Przybywszy do Góry, przekonał się, że tam cisza zupełna, o Moskalach ani słychu. Jedynie na drugiej

stronie Wisły, w Karezowie, stała jakaś szychta drzewa, ale leżała ona już od jesieni i nikt o budowie mostu nie myślał. To właśnie złożone drzewo mogło spowodować owe alarmujące wieści. Straż brzegów Wisły trzymał naówczas, zdaje mi się, batalion strzelców wolnych Grotusa, i im czujność jaknajwiększą nakazano.

Okolo południa wrócił wysłany nasz dywizyon z wyprawy i posłał raport do sztabu. Wkrótce potem nadesłano nam powtórny rozkaz gotowości do marszu, już bez powrotu do koszar. Karmiono więc konie i zbierano manatki, jak zwykle w takim razie, kiedy się nie wie, w którą stronę wiatr popędzi, a nasuwały się różne domysły i wszystkie na to się godziły, że z naszej strony rozpoczną się jakieś ruchy zaczepne, by skorzystać z rozrzucenia sił nieprzyjacielskich.

Zatem ze środy na czwartek, z północy, zatrąbiono na koń! Opuściliśmy koszary i posuwaliśmy się w miasto. W ulicy Nowy Świat spotykaliśmy bataliony piechoty, które w cichości i nam nakazanej, spieszyły w tym samym co i my kierunku. Przeszedłszy Krakowskie Przedmieście, dążyliśmy ku mostowi. Teraz już widocznem było, że idziemy na Pragę. Wszędzie po drodze spotykaliśmy kolumny różnej broni, które nas naprzód przepuszczały. W czasie zbliżania się ku mostowi, nakazano największą cichość, założyliśmy palasze na kruczki, żeby nie robiły szczełku.

Przechodziliśmy przez most po grubej warstwie słomy, która tłumila tentent marszu koni. Na Pradze kazano nam posunąć się do szańca przedmostowego i tam w ściśniętej kolumnie nas zatrzymano. A ciągle przypominano, że jak największa cichość ma być zachowana. Nad ranem przeszliśmy szaniec przedmostowy i sformowani szwadronami, stanęliśmy między okopami zewnętrznymi w największej cichości.

Przejechał przed frontem pułku generał Kicki, dowódca naówczas naszej brygady i zapowiedział, że wkrótce spotkamy się z nieprzyjacielem. Widocznem to już było z całego ruchu.

Równy ze dniem wyszliśmy z pomiędzy okopów, posuwając się na prawo z gościńca prowadzącego z Pragi ku Miłosny, w rozwiniętym szyku bojowym. Dnia tego mgła była tak wielką, że o kilka kroków przed sobą nie zgoła widzieć nie było można, i w takiej pomroce postępując w największej cichości, naszliśmy na widety i placówkę kozacką, która po kilku strzałach alarmowych, w rozsypce pędem się cofnęła. My, posuwając się naprzód, widzieliśmy przy ogniskach kociołki w pośpiechu opuszczone, a dowodziło to, że się kozactwo tego ruchu z naszej strony nie spodziewało.

Wkrótce jednakże po tem zaalarmowaniu, dał się słyszeć tentent koni i przeraźliwy pisk kozactwa. Krzykliwych jednakże tych bohaterów w pomroce mgły widzieć nie można było, aż gdy się starli z pułkiem całą masą. Uderzyli oni przeważnie na nasz pierwszy dywizyon majora Kleszczyńskiego, który szwadrony zatrzymał, by przyjąć atak chociaż kilkakroć liczniejszego nieprzyjaciela. Major Żółkiewicz przysłał szwadron 3-ci dla wzmocnienia naszego dywizyonu, sam zaś we mgle niedostrzeżony z szwadronem 4-tym, obszedłszy z flanki, na kozaków uderzył. Tym sposobem oskrzydleni zmuszeni zostali nacierający przy znacznej stracie do odwrotu, podczas którego jednakże strzałami z janczarek zranili nam kilku żołnierzy i doprowadzili nas pod działa. Strzały wszakże kartaczowe w pomroce nie nam nie szkodziły, bo szeregi przenosiły. Ciemność zatem mgły uchroniła nas od straty, ale i działa od pościgu. Jak się okazało, mieliśmy do czynienia z dwoma pułkami regularnych kozaków, prócz nieregularnych Dońców, jak to opowiadali ranni wzięci do niewoli, między którymi byli także i oficerowie.

Nie mogę pojąć, co spowodowało generała Dembińskiego, który w swym *Pamiętniku* na karcie 105 wspomina o tem spotkaniu i jak twierdzi, iż nieprzyjaciel nasz pułk 3-ci odparł i że on stał w gotowości, by nieprzyjaciela powstrzymać. O co innego tu jednakże chodziło, to jest widoczne, bo tej pomocy ani nasz pułk, ani tem więcej generał Kicki, który

nas prowadził, nie potrzebował, bo miał jeszcze w swej brygadzie dwa pułki jazdy, których byłby niezawodnie użył, gdyby zaszła tego potrzeba. My jednakże sami uporaliśmy się z nieprzyjacielem i zmusili go ze znaczną stratą do odwrotu. A wątpię, by kozacy przed ową gotowością aż pod okopami Pragi, o której generał pisze, ustąpili, bo my wówczas byliśmy już na linii Wawru, a mgła wszystko pokrywała. Generał Dembiński prawdopodobnie uważał za potrzebne i tutaj dodać coś o sobie na swoją chwałę, nie mając względu, że tym sposobem wyrządza krzywdę pułkowi, który w dniu tym tak dla nas pamiętnym, był na pierwszej linii i pierwszy bój rozpoczął, a wtedy o pułkowniku Dembińskim jako nowo mianowanym, nikt jeszcze nie słyszał.

Czytając jednakże uważnie ową relacją naówczas pułkownika Dembińskiego, przekonać się można, iż sam sobie zaraz poniżej zaprzecza, mówiąc, „że rozwinięcie owego pułku było niepotrzebnem, bo uderzenie generała Rybińskiego, zachodzącego z tyłu, jako i żywe natarcie nasze z frontu, zmusiło nieprzyjaciela do nieporządnego odwrotu.“ To uderzenie z frontu wykonała właśnie brygada nasza pod generałem Kiekim, który rozwiniętymi pułkami szedł na pierwszej linii, brnąc po rozcieczy i spędzając z pozycji nieprzyjaciela, a wtedy to właśnie brygada 1-sza pułkownika Dembińskiego, w drugiej linii będąca, postępowała sobie wygodnie gościńcem.

Generał Dembiński sam to przyznaje na karcie 119, że dopiero wieczorem jakaś część jego brygady była użyta i dlatego miała konie niezmęczone, czego nie można było powiedzieć o brygadzie generała Kickiego, która, będąc na przodzie w pierwszej linii, ciągle przez dzień cały miała utarczki. Pocóż tu było mieć fakta i wyrządzać przez to pułkowi krzywdę, który w tym dniu znaczne poniósł straty.

Po zepelnieniu kozactwa, posuwaliśmy się, chociaż z wielką trudnością, ciągle naprzód.

Rozciecz była wielka, pola poprzerzynane dość głębokimi fosami, pełnymi wody, a utrudniało to pochód do go-

ścińca, do którego kazano nam jaknajspieszniej się dobić. Szczególnie trudno było przebyć główny kanał, do którego woda ze wszystkich fos splywała. Na lewo w lesie Wawerskim, do którego zdążaliśmy, wrzał bój zacięty piechoty, jednakże widocznem już było, że na całej linii postępujemy naprzód, co podnosiło zapał nie do opisania.

Gdy mgła ustępować zaczęła, weszliśmy na gościńiec. Zaraz na kraju lasu Wawerskiego była karczma murowana, przy której na gościńcu leżeli zabici i ciężko ranni po większej części Moskale. Widać, że tej pozycji broniono zacięcie. Postępując dalej naprzód, spędziliśmy działa nieprzyjacielskie, które właśnie na gościńcu były ustawione, by powstrzymać, o ile można, napierającą naszą piechotę.

Posuwając się dalej w las Wawerski, spotykaliśmy z lewego naszego skrzydła prowadzone znaczne oddziały nieprzyjacielskie, wzięte do niewoli, ku Warszawie. Ogień ręcznej broni trwał ciągle w lesie, ale nieprzyjaciel, silnie na całej linii napierany, ustępował w nieporządku, zostawiając po drodze wozy amunicyjne, furgony, ambulanse z rannymi, co nam utrudniało pochód, bo tylko gościńcem można było wówczas jako tako postępować, w polu zaś wszędzie konie grzęzły. Jako będący w pierwszej linii, mieliśmy je bardzo zmęczone szarżą po grząskiej ziemi za kozactwem, co widząc generał Kieki, dozwolił nam krótkiego spoczynku w Milosny.

Pułk Mazurów miał nas tymczasowo zastąpić, jako do brygady Kickiego należący.

W Milosny miały być poprzednio obficie zaopatrzone magazyny, które jednakże ustępujący nieprzyjaciel podpalił. Na szczęście nasze, gdyśmy tu na spoczynek stanęli, jeszcze nie zupełnie zostały spalone, zaopatrzyć się więc było można cokolwiek chociaż w furaż dla koni. Lecz dla pożywienia żołnierzy, prócz skwitłych sucharów, nic już więcej się nie znalazło, bo po podpaleniu zapasów wódki, wszystko, co było lepszego, pożar zniszczył. Po bardzo krótkim spo-

czynku, ruszyliśmy na prawo z gościńca prowadzącego ku Mińskowi, by zająć swoje stanowisko na pierwszej linii prawego skrzydła, którą generał Kiki z brygadą swą postępował. Tu były już nie pola, ale bagna, i z wielką tylko trudnością rozwiniętym pułkiem postępować było można.

Jak wyżej powiedziałem, brygada generała Kikiego od rana trzymała nasze prawe skrzydło; tu front zrobiliśmy ukośny, zwróceni pół-obrotem w stronę Wiązowny, od której obawiano się flankowego uderzenia, o jakim jednakże nieprzyjacieli nie myślał, sam będąc w nieporządnym odwrocie, a Dybicz ze swą armią był oddalony; przyczyniały się do tego nieładu wielkie błota. Ratując działa, zostawiał nieprzyjacieli po drodze różne tabory, ale i z naszej strony pościg był bardzo utrudniony i z wielkim tylko wysiłkiem robiono w tym dniu, co było można.

Od rana aż pod wieczór słychać było nieustannie bardzo silny ogień piechoty na naszym lewym skrzydle i w środku, który się wzmagał coraz więcej ku wieczorowi i trwał aż do ciemnej nocy na polach wsi Wielkie Dembe. Na prawem zaś naszym skrzydle, kolumny nieprzyjacielskiej piechoty, przed nami ustępujące, zostały, zdaje się, ku wieczorowi wzmocnione tak, że się wstrzymały i kozactwo naprzód wysunięte zaczęło flankierować. Przeciwno niemu rozsypał się nasz szwadron 3-ci flankierski kapitana Janowicza także na flankiery, ale tak ujeżdżanie flankierów, jak szarża, były niemożliwymi w tem błocie, po którym brnęliśmy i w którym konie wiązły.

W naczelnej komendzie uważano za stosowne wzmocnić nasze prawe skrzydło i dlatego nadeiagnął pospiesznie batalion strzelców pieszych, rozwinął tyralierów, kozactwo znikło, a naszych flankierów ściągnięto. Wkrótce nadeszły jeszcze dwa bataliony naszej piechoty i wzmógł się ogień ręcznej broni bardzo zacięty. Bój nie ustawał do ciemnej nocy; na całej linii, pomimo wszakże wielkiego oporu, nieprzyjacieli

został zepchnięty z zajmowanych stanowisk i ustępował na całej linii, aż ciemność nocy wszystko pokryła. *

Pod lasem zatrzymano nasz pułk, rozstawiono forpoczty, kazano zsiąść z koni i po jednym szwadronie konie popasać, a reszta szwadronów miała być w gotowości na wszelki wypadek. W sakwach było dla koni cokolwiek owsa i skręconego w furaz-sznurach siana, czem się wychodząc z koszar zaopatrzone, tylko czuć się dawał brak wody do napojenia, a wśród ciemnej nocy wyszukać jej było trudno, tem więcej, że staliśmy w bliskości przed nieprzyjacielem, jak to ognie obozowe wskazywały. Na brak ten wody żołnierze bardzo narzekali, bo konie we dnie były bardzo zmęczone, a nie mając wody, jadły niechętnie.

Ogni palić na takim posterunku nie wolno, o gotowaniu więc bez ognia i wody ani myśleć, chociaż co prawda, nie było co i gotować. Żołnierze przecież bezsennością i trudem całodziennym znużeni, a obecnie stojąc przy koniach w gotowości, dobrego humoru nie tracili po tak świetnym zwycięstwie, chociaż było i chłodno i głodno, a do tego błotno, a to tak dalece, że z końmi raz wstecz, to naprzód posuwać się musiano, by stojąc w miejscu nie uwięzły, tak wielka wówczas była rozececz.

My zaś oficerowie, zebrani w gromadki przed frontem szwadronów, umieściwszy jak można było najwygodniej swoją godność na błocie, żartując jeden z drugiego, że wygodniejsze zajął miejsce, chociaż jako gospodarzom, bo przed własnym oddziałem, należało je gościom zostawić. Omawialiśmy przytem, co to się tam w tej chwili dzieć musi w Warszawie? Cieszono się zapewne wszędzie z odniesionego zwycięstwa, a ci, niby wojskowi, co zwykle szlifują bruki Warszawy, zapewne nie tacy głodni jak my, popisują się jaką nową śpiewką, ale gdyby się na tem wygodnym naszym umieszczeniu dzisiejszem z nami znaleźli, zapewneby im się śpiewać nie chciało; z tem wszystkim zdawało się im, że się także poświęcają.

Przy raporcie wieczornym okazało się, że w dniu tym stracił pułk kilkunastu ludzi w zabitych i ranionych, oraz kilka koni. Nazajutrz, to jest w Wielki Piątek rano, dobijając się do gościńca z prawej flanki, bo nieprzyjaciel w nocy się cofnął, przechodziliśmy przez pobojowisko tędy właśnie; gdzie pułk ułanów moskiewskich, podobny naszemu, poniósł wielką klęskę. Pułkownik tego pułku, Szyndler, zabity, leżał wdeptany jednym ramieniem w błoto, przy nim działo odprzodkowane zagrożnięte także w błocie.

Dalej na pobojowisku leżało wielu zabitych albo ciężko rannych, tak Moskali, jak naszych, oraz znaczna ilość koni zabitych albo rannych i ugrzęźniętych, mnóstwo połamanych lanc; słowem, panował tu chaos zniszczenia. Zaznaczyli krwią swoją tę arenę, z naszej strony karabinierzy i 2-gi pułk strzelców konnych. Wszystko wskazywało, że tu była rozprawa bardzo gorąca.

Dobivszy się z wielką trudnością po grząskiej ziemi do gościńca prowadzącego ku Mińskowi, tak go zastaliśmy zabarykadowanym parkami artylerji i różnych pociągów spieszących w tymże kierunku, że zaledwie pojedynczo z dwóch stron gościńca przeciskać się mogliśmy, — a tu naglono o pośpiech.

Kłusem mijaliśmy przeszkody, by jaknajspieszniej przebieć się naprzód i spędzić działa nieprzyjacielskie ustawione na gościńcu, którym nasza artylerja odpowiadała. Rzuciliśmy się na prawo i lewo z gościńca w las, ale nieprzyjaciel, dostrzegłszy ten ruch, cofnął się z działami, jednakże ogień ręcznej broni ani na chwilę nie ustawał, bo nieprzyjaciel ustępując, ciągle stawiał opór.

Posuwając się naprzód ku południowi, stanęliśmy pod Mińskiem i tu przy pałacu nasz pułk zatrzymano. Ponieważ dywizya kawalerji jenerała Kazimierza Skarżyńskiego, która od początku akcyi dnia wczorajszego, aż dotąd była w pierwszej linii, a szczególnie nasza brygada, którą dowodził jenerał Kieki i miała konie bardzo zmęczone, dlatego zatrzymaną

tu została, a dywizya jazdy jenerała Łubińskiego zastąpić nas miała i posuwać się dalej na pierwszej linii ku Kałuszynowi.

Tu mieliśmy kilko-godzinny odpoczynek, który się oczywiście należał, bo tak konie, jak również i żołnierze wyczerpani byli. Podczas wypoczynku opowiadano różne przygody dnia wczorajszego, który do najświetniejszych w tej wojnie należy. Smutno tylko wspomnieć, że nie skorzystano z niego, jak należało, przy podniesionym do najwyższego stopnia zapale wojska, rwącego się iść naprzód, a klęska Moskali tych dwóch korpusów mogła być zupełną, a co najmniej bardzo ciężką. Tak sądzili nasi starsi oficerowie, którzy się dobrze znali z wojną z czasów Napoleońskich. Mruzczeni także niekontenci starzy żołnierze, mówiąc, że to wojna studencka, bo dawniej, jak się pobilo nieprzyjaciela, to mu nie folgowano, dopóki nie został zniszczony.

Armia nieprzyjacielska pokonana, lecz nie naciskana silnie, jak należało, zyskała czas do rozdzielenia się — i część jej ustępowała gościńcem ku Kałuszynowi, druga zaś ku Latowiczowi. Trzeba więc było i nasze siły rozdzielić, a raczej rozdrobnić, bo stosunkowo były nieliczne, i tu zaczęły się owe bałamutne rozporządzenia naszych kwatermistrzów w sztabie głównym, które w wojsku sprawiały zniechęcenie.

W brygadach zmieniano komendy, przemieniano pułki, odrywano bataliony i szwadrony od pułków, co wszystko dla dowódców stanowi wielką przykrość, a przytem jest ta wielka niedogodność, że błędzące w takim razie furgony z furazem i żywnością nigdy na czas nie przychodzą.

Wskutek wyższego rozkazu, z pułku naszego odkomenderowano szwadron 3-ci, pod komendą kapitana Janowicza będący, na silny rekonesans, który miał się składać ze szwadronów 5-go pułku ułanów i naszego szwadronu, pod dowództwem pułkownika Dembińskiego, na nasze lewe skrzydło ku Liwowi i Dobremu, gdzie udać się miała znaczna część pociągów nieprzyjacielskich.

Dywizya generała Kazimierza Skarżyńskiego, w której była nasza brygada, udała się na nasze prawe skrzydło, zaś nasz pułk, po amputacyi jednego szwadronu, postępował przez Wiązowną ku Siennicy. Przed nami maszerował batalion strzelców pieszych. Tu właśnie widzieć nam się dały pierwsze wypadki cholery. Żołnierze w paroksyzmie leżeli po drodze. Obozowiska, zajmowane po ustępujących Moskalach, sprowadziły nam tę straszną naówczas chorobę, chociaż żołnierze niewiele sobie z niej robili, bo jak mówili, że i 12-funtowa kula także do łagodnych nie należy.

Wiedziano, że znaczne siły nieprzyjacielskie są przed nami, postępowano więc za ustępującymi bardzo ostrożnie. We wsi Gliniance mówiono nam, że rano dnia tego nieprzyjacielska jazda i działa przechodziły. Późnym wieczorem stanęliśmy pod Siennicą, która już była opuszczoną. Kazano popaść konie i być w pogotowiu do marszu. Zaraz z wieczora szwadron 4-ty wysłany był na rekonesans ku Cegłowu pod komendą majora Żółkiewicza, któremu dodano jeszcze szwadron konnych strzelców 2-go pułku.

Nasz zaś dywizyon, t. j. szwadrony 1-szy i 2-gi, pod komendą majora Kleszczyńskiego, wysłano ku Latowiczowi, gdzie, jak się później pokazało, były główne siły nieprzyjacielskie. W drodze spotkaliśmy patrol nieprzyjacielski, który się pospiesznie cofnął. Postępowaliśmy za nim z ostrożnością, by nie wpaść w zasadzkę, noc bowiem była cicha i ciemna; zarządzono boczne straże i tak doszliśmy do miejsca, gdzie się las zaczynał.

Tu stanęliśmy plutonami na gościńcu, mając po skrzydłach po jednym plutonie, jako straż boczna. Nakazano jak największą cichość. Major przejechał przed frontem i zapowiedział, ażeby pomimo sygnału środek nie ruszał się z miejsca. W jakiś czas dał się słyszeć tętent, a raczej pluskanie po błocie Moskali i szczeł pałaszy. Gdy nieprzyjaciel się zbliżył, naraz na skrzydłach naszych dały się słyszeć sygnały,

co posłyszawszy zbliżający się oddział, wykonał natychmiast pospieszny odwrót.

Wszystkie oznaki wskazywały, że wojska nieprzyjacielskie są w bliskości, a utwierdzały nas w tem przekonaniu także luny ognisk nad lasem widziane. Staliśmy jeszcze czas jakiś w miejscu, lecz z obawy, że bliskość lasu mogła dać sposobność piechocie zdziatkowania nas bezkarnie, bo przy rozcieczy i pomroce o szarży ani myśleć można było, cofnięto nas od tego niebezpiecznego sąsiedztwa o jakie ćwierć mili, a na nowem stanowisku w tymsamym porządku zwróciliśmy się do frontu. Naszem zadaniem było zbadać, czyli nieprzyjaciel ma zamiar pozostać w zajmowanych stanowiskach, czy też naprzód się posunąć, a w takim razie doczekamy się jeszcze silniejszego rekonesansu. Nie doczekawszy się go jednakże, nad ranem wróciliśmy do obozu. Konie mieliśmy tą wyprawą nocną bardzo zmęczone, drogi bowiem były nadzwyczajnie zepsute przechodem dział i wozów amunicyjnych nieprzyjacielskich tak, że brnąć po nich trzeba było. Po takiej forsie, krótki nam dano czas do spoczynku i nakazano gotowość do marszu. W różnych kierunkach rozesłane rekonesanse doniosły, że nieprzyjaciel w wielkiej sile jest przed nami. Zdawało się, że starcie nastąpi wkrótce. By ruszyć naprzód, czekano tylko na parki artylerji, która dla złych dróg się opóźniła, i dlatego dłuższy czas pozostaliśmy w miejscu nadspodziewanie, a była taka niespodzianka naszym biednym koniom zmęczonym bardzo potrzebną.

W Wielką Sobotę przed południem nastąpił ogólny ruch w naszym obozie. Miano postąpić naprzód; generał Kieki z 3-ma szwadronami naszego pułku szedł w przedniej straży i postępowaliśmy ku Latowiczowi tąż drogą, którą w nocy przebywaliśmy rekonesansem. Maszerowaliśmy wolno, by batalion piechoty 2-go liniowego pułku mógł nam w marszu dorównać. Już ku wieczorowi doszliśmy do owego lasu, przed którym w nocy naszedł na nas rekonesans nieprzyjacielski, lecz spłoszony sygnałami, cofnął się do lasu.

Pułk zatrzymano, a batalion piechoty, minawszy nas, zapuścił się w las. My zwolna, w pewnym oddaleniu, postępowaliśmy za nim. Las, jak się okazało, był niewielki, a gdy się kończył, przecinały go dwie drogi: jedna prowadziła do Latowicza, druga do wsi Wielkolas. Jenerał Kicki z pułku naszego kazał zostawić placówkę i rozstawić widety. Na tem więc rozdrożu zostawiono mnie z plutonem na placówce i wskazano, gdzie widety zwrócone być winny, przy rozstawianiu których major był obecnym.

Nakazano nam wielką czujność, a to tak dalece, byśmy z koni nie zsiadali, tylko po połowie oddziału. Piechota i pułk pomaszzerowały w kierunku wsi Wielkolas; w tymże kierunku w razie napadu miałem się i ja cofnąć. Tak więc po utrudzającym marszu zostałem na placówce, która z kolei na mnie w szwadronie przypadła, by wraz z żołnierzami po szczerym całodziennym poście rozmyślać o Męce Pańskiej, właśnie była to dziś Wielka Sobota.

Mniejsza już o żołnierzy, niech poszczą. Chociaż ulani to dobre dzieci, nie grzeszni! niechże za innych pokutują, ale biednych koni niepodobna było zostawić po tak uciążliwym marszu bez pożywienia. Z największą więc ostrożnością, rachując na zręczność żołnierzy, małemi oddziałami po kilka koni, zapasami, jakie były w sakwach, popasać pozwoliłem, zaś połowa oddziału, siedząc na koniach, na wszelki wypadek była zawsze gotową, spodziewałem się, że ktoś będzie objeżdżał forpoczty, co jednakże nie nastąpiło.

Noc, chociaż leniwo, przeszła spokojnie, bez napaści nieprzyjaciela. Zaświtał dzień, powitały go ptaszęta leśne, odśpiewując jakby modlitwę. Była to uroczystość Wielkiej Niedzieli. Uchyliśmy kaski i nastąpiła cicha modlitwa, jak był u nas zwyczaj przy pobudce i capstrzyku w czasie przed wojną.

Upadaliśmy z głodu i znużenia, a spodziewałem się ciągle, że nas przecież obluzują. Gdy już było blisko południa a zmiana nie nastąpiła, widocznem było, że o nas

zapomniano. Znużony zsiadłem także z konia, a z okazji uroczystości nasuwały mi się różne wspomnienia wesoło spędzanych dawniej świąt i obecnej nędzy. Wśród tego natłoku różnych myśli zbliża się do mnie mój ordynans, a był nim stary napoleoński żołnierz, zawsze dobrego humoru i powiada: Panie poruczniku, o śniadaniu przy dzisiejszem święcie jakoś zapomniano, ale jest tu u mnie trochę wódki w maniere i ciasteczka moskiewskie z magazynu w Miłosny, a chociaż nieświeże, cóż robić? Jeżeli pan porucznik pozwoli?... I podał mi nalanej wódki do przykrywki od manierki, która zwykle służy za kieliszek. Z chęcią przyjąłem prawdziwą ofiarę pocziwego wiarusa. Podając mi następnie parę sucharów, wprawdzie z mąki białej, ale skwitniętych, powiedział: odświeżyć je bardzo łatwo, w każdej bruździe znajdzie się woda. Nie było wyboru, trzeba było przyjąć dobrą radę, bo głód się bardzo przypominał.

Około południa nadjechał jenerał Kicki, objeżdżający forpoczty i jemu opowiedziałem, że zostawieni od dnia wczorajszego z marszu, bez furazu i żywności z musu w dzisiejszą uroczystość pościmy. Uśmiechnął się na to z dobrocią sobie właściwą, posłał następnie adjutanta, za którym wkrótce przyprowadził pluton z 4-go szwadronu naszego pułku porucznik Kempijski i rozstawił widety. Ja wróciłem do obozu. Była mała burza z góry za nieporządek, a mnie kapitan uściskał. Trudno się było na niego gniewać, bo często się zdarzało, że jakiś oddział z pułku posłano, o którym dopiero wtedy się dowiedziano, kiedy powrócił, gdzie był odkomenderowany. Zrobiono składkę, by nas głodnych pożywić, a nie zapomniał o nas i jenerał Kicki, przyprowadził za sobą furkę z prowiantem, który zakupił i ofiarował, jak powiedział: dla szczerze poszczających żołnierzy. Jenerał Kicki, była to osobistość nadzwyczajnie sympatyczna dla wojska, z walecznością łączył wielką uprzejmość.

Pod wsią Wielkolas staliśmy dni kilka. Tu nadszedł 3-ci szwadron naszego pułku z wyprawy pod Liw, na którą

z pod Mińska był odkomenderowany. Opowiadano, że pułkownik Dembiński znaczne odniósł korzyści, zabierając zapasy żywności, amunicji i niewolnika z żołnierzy, którzy te zapasy konwojowali. Do odniesienia tych korzyści przyczynił się znacznie kapitan Janowicz z naszym szwadronem; konie z tej wyprawy miał szwadron bardzo zmęczone, brnęły bowiem po bezdrożach z pośpiechem, który był bardzo potrzebnym, jeżeli się chciało coś ulowić. Ten więc kilkodniowy obecny spoczynek bardzo był dla niego potrzebny.

Nadszedł rozkaz ze sztabu głównego, przeznaczający nasz pułk do brygady pułkownika Dembińskiego. Przykre ten rozkaz zrobił wrażenie, bo generał Kieki był nadzwyczajnie przez nas lubionym. Brygadę składać miały pułki: 2-gi strzelców konnych i nasz 3-ci ułanów. Wkrótce nakazano pochód. Postępując naprzód, zajęliśmy miasteczko Jerozal. Nasz pułk wysunięty stanął pod wsią Łukawice i tu cokolwiek pozwolono popaść koni, bo nieprzyjaciel przed nami ustępował. Wkrótce jednakże posunięto nasz pułk w pierwszej linii będący, ku Wodyniom. Tu już widzieć się dały kolumny jazdy nieprzyjacielskiej, uszykowane w porządku bojowym. Kazano się nam zatrzymać, żeby cała brygada nadeciągnęła. Było już ku wieczorowi, oczekiwano co chwila ataku, do przyjęcia którego byliśmy gotowi, ale cisza panowała zupełna, gdy się zaś ściemniło, rozłożono się do obozowania, lecz wysłano silny rekonesans, który jednakże nie zetknął się nigdzie z nieprzyjacielem. Noc przeszła spokojnie, a równo z dniem wyruszyliśmy naprzód i zajęliśmy przez Moskali opuszczone Wodynie. Mówiono nam tutaj, że znaczne siły kawalerji w nocy ztąd ustąpiły.

Zaraz odkomenderowano dwa szwadrony naszego pułku, które udać się miały na prawo od Wodyń ku Seroczynowi, i nasz dywizyon, t. j. szwadrony 1-szy i 2-gi pod komendą majora Kleszczyńskiego, poszedł w tym kierunku w awangardzie, a batalion jakiegoś liniowego pułku piechoty postępował za nami. Gdy szwadrony nasze weszły do Seroczyna,

powiadano, że aryergarda nieprzyjacielska, złożona z kilku szwadronów huzarów, co tylko opuściła Seroczyn. Major Kleszczyński, któremu zawsze było pilno, chociaż piechota jeszcze nie nadeszła, kazał maszerować naprzód, sam idąc na czele. Jak tylko szwadron 1-szy, który maszerował plutonami, ukazał się na górze, ujrzał kilkanaście szwadronów jazdy nieprzyjacielskiej sformowanych do boju i jak gdyby oczekujących na niego. Major, zamiast kazać się cofnąć, wydał rozkaz sformowania szwadronu, żeby był gotowym do przyjęcia szarży, a gdy następnie nasz szwadron 2-gi pokazał się na górze, spostrzegliśmy trzy szwadrony jazdy nieprzyjacielskiej, idące już do ataku na ów szwadron w największym pędzie. My pół-szwadronami rzuciliśmy się na skrzydła zaatakowanego 1-go szwadronu, stojącego spokojnie, by go nie oskrzydłono. Nieprzyjaciel o kilkadziesiąt kroków przed dywizyonom zatrzymał się i dał ognia z karabinków, ale jakoś do ataku nie było mu już bardzo spiesząco, widocznie obawiał się, że za górą muszą być większe siły, skoro z taką zuchwałą śmiałością dotrzymywaliśmy placu. Rzeczywiście odgłos strzałów przyspieszył pochód piechoty, a gdy ona ukazała się na górze, nieprzyjaciel się pospiesznie cofnął. Mielśmy jednakże kilku żołnierzy i kilka koni ranionych od strzałów. Nadjechał pułkownik Dembiński i nie bardzo się pocieszył z powodu, że ponieśliśmy straty, a mogliśmy ponieść nierównie większe. Nasz major zupełnie nie był winnym strat, ściśle się bowiem trzymał danego mu rozkazu, żeby w ślad postępował za ustępującym nieprzyjacielem; bo on sądził, że za nim postępuje cała brygada, wina więc za poniesione straty ciążyła na nieprzezorności dowódcy, że małe siły naprzód wysunął, a jej dowody zwykle wzbudzają nieufność. Wszystko miało miny zwarzone, że nas tak lekkomyślnie na straty narażono, a mogły one być o wiele większe, gdyby nieprzyjaciel, mając tak wielkie siły, pospiesznie na nas uderzył.

W Wodyniach stał naówczas naczelnym wódz Skrzynecki z całą swą komendą, a kwatermistrzem był przy nim pułkownik Chrzanowski. Wskutek odebranego raportu od pułkownika Dembińskiego, całe główne siły posunięto ku Serozynowi, nam zaś, nim rozkaz przysłano ze sztabu, pozwolono popaść konie. Jako trzymający awangardę, wiedzieliśmy, że spoczynek ten będzie krótki, a zalecono nam pośpiech. Jakoż wkrótce nadszedł rozkaz ze sztabu, by się posuwać naprzód.

Kolumny jazdy nieprzyjacielskiej, z którymi mieliśmy starcie, ustępowały traktem ku Łukowu, a ich aryergarda zwolna przed nami ustępowała. Przed lasem, który mieliśmy przechodzić, minęła nas piechota, za którą postępowaliśmy. W wiosce za lasem na tracie położonej, mówiono, że wiele wojska Różyckiego różnej broni przeszło ku Łukowi i Siedlecom.

Przed wieczorem stanęliśmy we wsi Róży. Miejscowość ta była nam dobrze znaną, bo tu nie jeden raz w latach poprzednich stawaliśmy w czasie marszu na mustry dywizyjne pod Łęczną, a że osada ta jest wielką, więc mieścił się tu zwykle cały szwadron.

Dostało się nam tu do niewoli wielu maroderów różnej broni za armią ciągnących, tu się również wyjaśniła zagadka, dlaczego nas tak wielkie siły nie atakowały? Zaslaniały one bowiem marsz flankowy generała feldmarszałka Dybieza, dążącego pospiesznie ku zagrożonym Siedlecom, więc nie chciały być w bój wciągnięte, przewidując, że postawa śmiała i wyzywająca naszego dywizyonu czuje za sobą większe siły, a ukazanie się w porę naszej piechoty utwierdziło dowodzącego temi pułkami w tem przekonaniu — i dlatego pospiesznie się cofnęły.

Przed wieczorem wzmocniły nas znaczniejsze siły, nadeszły też i nasze dwa szwadrony, które przyprowadził dowódca pułku, naówczas podpułkownik Pawłowski. Nadjechał także kwatermistrz, pułkownik Chrzanowski, co wskazywało, że rozpoczyna się jakieś ruchy zaczepne, bo to już ciągle jakżeby szukanie nieprzyjaciela nużyło wojsko, a szczególnie

kawalerya, w ciągłym ruchu po bezdrożach będąca, miała konie podniszczone. Z wielkim więc upragnieniem oczekiwano starcia, a że wiadano, iż znaczne nasze siły przez Kałuszyn posunęły się ku Siedlecom, zdawało się, że nasze wojsko wysunięto w tym celu, by z flanki uderzyć równocześnie na nieprzyjaciela.

Oczekiwaliśmy z niecierpliwością rozkazu ruszenia naprzód, a że, jak się wyżej powiedziało, okolica była nam dobrze znaną, więc przypuszczaliśmy napewno, że jeżeli pójdziemy przez Zdżary, to dojdziemy do Łukowa, a zatem na flankę; jeżeli zaś na Domanice, to wprost do Siedlec, by łącznie z wysuniętymi tam siłami uderzyć na nieprzyjaciela.

Tak te ruchy, starzy nasi komendanci, doświadczeni w wojnach Napoleońskich, kombinowali. Noc jednakże przeszła spokojnie, a około południa, z wielkim naszym smutkiem, otrzymaliśmy rozkaz odwrotu. Z tego rozkazu sądziliśmy, że generał Prądyński, posunięty ku Siedlecom, ponieść musiał klęskę powodującą odwrót, który wszystkich zasmucił.

Aryergardę w odwrocie trzymały szwadrony naszego pułku, które później nadeszły, a nasz dywizyon wysłano naprzód. Wieczorem stanęliśmy w Wodyniach, a późno w nocy nadeiagnęły wszystkie nasze siły, które były naprzód wysunięte. Po kilkugodzinnym odpoczynku ruszyliśmy w dalszy pochód i około południa stanęliśmy na polach wsi Wielkolas, z kądem po krótkim także wypoczynku posuwaliśmy się ku Ceglówu, gdzie już późnym wieczorem stanęliśmy, zajmując oznaczone dla pułku stanowisko.

W Ceglówie znajdowała się naówczas główna kwatera naczelnego wodza, siły więc nasze w tym punkcie były znaczne.

Obecnie dowiedzieliśmy się szczegółów z wyprawy generała Prądyńskiego, w której nasz ulubiony generał Kieki pod Iganiami z 2-gim pułkiem ułanów, dowodzonym przez walecznego pułkownika Mycielskiego, świetną wykonał szarżę, rozbił znacznie liczniejsze siły jazdy nieprzyjacielskiej i wziął znaczną ilość niewolnika. O ile nas to powodzenie cieszyło,

o tyle doznaliśmy przykrego wrażenia, że nasz pułk z brygady jego naówczas oddzielono i tym sposobem pozbawiono udziału w tej bitwie, przez co, zamiast korzyści, ponieśliśmy straty, a to tem więcej, że rozkazem dziennym wrócony został znów nasz pułk na teraz do brygady generała Kickiego.

W Ceglówie staliśmy dni kilka. Wstrętna to była nad wszelki wyraz miejscowość dla wojska, zanieczyszczona przez obozowiska armii nieprzyjacielskiej, musiano ją jednakże, jak się zdaje dla pozycyi, utrzymać. Tu rozwinęła się gwałtowna w wojsku cholera, która zabrała z naszego pułku także kilku ludzi. Najdotkliwiej przecież przeraziła nas słabość majora Kleszczyńskiego, jednego z najwaleczniejszych w pułku, którego przecież z wielką naszą pociechą uratowano, ale ponieważ był bardzo osłabionym, więc służby jakiś czas nie pełnił.

Z Ceglówą posunęliśmy się do Jędrzejowa. I tu także zajęliśmy miejscowości zanieczyszczone i zupełnie wyniszczone przez Moskali, a które jednakże dla pozycyi zajmować musiano. Wszędzie było pełno brudu i nieczystości, dawał się czuć brak wszelkich potrzeb, słomy, dalej wody i opału, słowem, dostaliśmy się z deszczu pod rynnę. Powstało ztąd wielkie w wojsku przygnębienie, a do niego przyczyniały się jeszcze i choroby.

Sytuacja na teraz zmieniła się. Był czas, że wojska nieprzyjacielskie znajdowały się w bardzo trudnem położeniu, ale z tego stanu nie skorzystano, teraz na nas przyszła kolej trudnego położenia. Rozrzucone mieliśmy siły, a stosunkowo do nieprzyjacielskich za słabe, a co chwilę należało się spodziewać ataku. Przytem trudno było wiedzieć, gdzie są główne siły nieprzyjacielskie. Po ruchu generała Dybieza na Siedlce, który umocnił to stanowisko, jako główną arterią swych komunikacyj i składów wszelkich zapasów wojennych, a następnie rozpoczął ruchy zaczepne, udając się z głównymi swemi siłami na nasze prawe skrzydło, bo chciał tym sposobem odejść dywizję naszą wysuniętą ku Siedlcem, wstrzy-

manie go w pozycjach Kuflewa i Ceglówą było z naszej strony koniecznością, ażeby dywizya generała Rybińskiego wycofać się mogła, a raporta od niej nadchodziły bardzo niepokojące.

Okolice Kuflewa trzymał wówczas pułkownik Dembiński z brygadą jazdy, wspartą oddziałem piechoty i artylerją, a ciągle był niepokojony przez nieprzyjaciela ukazującego znaczne siły, dlatego Dembiński atakować go nie mógł i z trudnością tylko pozycyją utrzymywał. Ceglów zaś miał utrzymać generał Gielgud ze swoją dywizją piechoty i stósonną artylerją. Wzmocniono go naszą brygadą jazdy pod dowództwem generała Kickiego, którą składały pułki 2-gi i 3-ci ułanów, oraz dwa szwadrony nowo sformowanego pułku jazdy Mazurów. Wysyłane rekonesanse spotykały się ciągle z nieprzyjacielem, który przed nami miał być w wielkiej sile. Lada chwila spodziewano się starcia. Nadchodziły także bardzo niepokojące wieści od pułkownika Dembińskiego z Kuflewa.

Jakoż już późnym wieczorem nadeignęły oddziały różnej broni, pod dowództwem pułkownika Dembińskiego, które opuścić musiały Kuflew, wyparte przez przeważne siły nieprzyjacielskie, postępujące w ślad za ustępującymi. Wszystkie te oddziały były niewypowiedzianie zmęczone. Po krótkim spoczynku, komenda pułkownika Dembińskiego udała się ku Jędrzejowu.

Nie było już wątpliwości, że równo z dniem, a może w nocy, która była dość widną, spodziewać się można było ataku na Ceglów. Czujność w obozie naszym nakazano wielką. Wszyscy żołnierze stali przy koniach w gotowości na każde zaalarmowanie; pozycja Ceglówą nie była dla nas dogodną, bo ściana lasu dotykała prawie miasteczka i trudno byłoby ją utrzymać przeciw takiej przewadze sił nieprzyjaciela, dlatego w nocy odebrano rozkaz cofnięcia się ku Mińskowi, i zaraz rozpoczął się ruch w tym kierunku. Równo ze dniem dywizya piechoty generała Gielguda rozstawiła się przed

Mińskiem, a tejże dywizji Gielguda dodaną była jeszcze dywizja jazdy generała Kazimierza Skarzyńskiego, w której znajdowała się nasza brygada, by zasłaniały ruchy naszej armii i broniły Mińska.

Nasza brygada jazdy pod dowództwem generała Kiekiego, trzymająca aryergardę w odwrocie z pod Ceglowa, została zatrzymana w znacznej odległości od Mińska. Kazano rozstawić forpoczty przed lasem, który mieliśmy przed sobą, a nasz pułk utrzymywał naszą prawą flankę, zaś reszta brygady całą linię bojową.

Przed południem zaczęło się pokazywać z lasu rozsypane w znacznej sile kozactwo. Zwinęliśmy forpoczty i staliśmy w szyku bojowym. Wkrótce zaczęły się wysuwać z lasu także kolumny nieprzyjacielskie różnej broni. W następstwie rozpoczął się bój na całej linii, największy jednakże nacisk był na nasze prawe skrzydło. Masy piechoty wysuwały się z lasów, a my ustępowaliśmy z wolna ku miastu. Gdy jednakże atak na skrzydło coraz więcej się wzmacniał i gdy tutaj kolumny piechoty nieprzyjacielskiej szybko się rozwijały, nakazał generał Kieki ten ruch powstrzymać. W tym celu pułk nasz wysłano do szarży na owe bataliony.

Kolumny piechoty nieprzyjacielskiej, ujrzawszy ten ruch, zatrzymały się do przyjęcia ataku.

Pułk nasz posuwał się z wielką natarczywością, pomimo silnego ognia ręcznej broni, lecz zbliżając się do ustawionych batalionów, konie nasze coraz bardziej grzęznąć zaczęły, a szczególnie szwadrony 3-ci i 4-ty zwolniły atak. Nasze dwa szwadrony z lewego skrzydła, mając grunt suchszy pod sobą, dotarły do kolumny piechoty, w której zrobił się nieład.

Niepoparci jednakże, musieliśmy się cofnąć. Ów nieład, jaki trwał czas jakiś w zepchniętej kolumnie, oszczędził większych jeszcze strat naszemu pułkowi, obsypywanemu gradem kul w odwrocie.

Po tej suchej łaźni, doszedłszy do Mińska, kazano nam ustępować z wolna ku Wielkiemu Dembem. Silny ogień

działowy liczonej artylerii, którą nieprzyjaciel rozwinął i w odwrocie jeszcze narażał nas na dotkliwe straty, bo brygada nasza trzymała aryergardę cofającego się korpusu Gielguda.

Przechodząc, mijaliśmy bataliony naszej piechoty, które nas ze współzuciem witały. Zaprawdę, pułk wyglądał niewesoło. Wieziono rannych, prowadzono powodowe konie, między którymi były także i ranione po zabitych oraz ciężko rannych żołnierzach, lżej zaś ranieni żołnierze trzymali się chociaż z trudnością na koniach.

Już ku wieczorowi doszliśmy pod Dembe, gdzie znaczne siły naszej armii były nagromadzone, a znajdowała się tu także naówczas kwatera naczelnego wodza. Wszystko, jak się zdawało, było w pogotowiu do przyjęcia walnej bitwy, a wojska, przed którymi cofaliśmy się, stanowiły główne siły feldmarszałka Dybicza.

Zajęliśmy oznaczone dla pułku stanowisko obozowe. Wszystko było smutkiem przygnębione, gdyż w dniu tym ponieśliśmy bardzo dotkliwe straty. Z oficerów zabity był Łacki, a Majeranowski bardzo ciężko raniony, zaś Krzycki i Guzowski lżej, ja także zostałem w prawą nogę i rękę bagnetem pchnięty. Z siedmiu podoficerów dwóch było zabitych, a pięciu ranionych, między którymi Ostrowski, brat młodszy oficera tegoż nazwiska. Mieliśmy też znaczną liczbę zabitych, albo bardzo ciężko ranionych żołnierzy. Z koni, trzy oficerskie zabite i kilka żołnierskich, przytem znaczna liczba ranionych, a między nimi i oficerskie. Szczyściem nazwać można, że prawie wszystkich rannych uratowano przed niewolą, której się każdy więcej obawiał, niż śmierci.

Nadjechał dowódca naszej brygady, generał Kieki, i bardzo się zasmucił, żeśmy tak ciężkie ponieśli straty, tem więcej, że nie z naszej winy. Rozpytywał on o szczegóły, a wszyscy wyżsi oficerowie pułku uznali, że miejsce, gdzie walczyliśmy, do użycia kawalerii było bardzo niekorzystne, bo konie grzęzły; pierwszy tylko dywizyon, a właściwie jeden tylko szwadron, mając grunt twardszy pod sobą, zepchnął

kolumnę piechoty, która się w nieładzie cofnęła, podczas gdy inne kolumny, do których nie mogliśmy dotrzeć, z powodu, że stały na bagnie, sypały na nas gradem kul nieustannie.

Wieczorem cisza w pułku panowała grobowa. Wszyscy byli w smutku pogrążeni, nawet ogni mało palono. Mnie nie tylko cierpienie z odniesionych ran, ale także strata Łąckiego boleśnie czuć się dawała, łączyła nas bowiem serdeczna przyjaźń.

Co do moich ran, to jedna z nich, w nogę mianowicie dość długie draśnięcie bagnietem, była lekka, a druga zaś, to jest pchnięcie w rękę, była ciężką i krew z niej płynącą zatamować było trudno. Zdawało mi się jednak, że wkrótce się ona zagoi i do lazaretu pójść nie chciałem. Krzycki i Guzowski, także ranni, pozostali w szwadronach, lecz nie tylko oficerowie, ale także podoficerowie i żołnierze nawet, którzy byli lżej ranni, do lazaretu pójść nie chcieli i pozostali w szeregach, folgowano im tylko cokolwiek w służbie. Felczerzy opatrywali rannych, o ile była po temu sposobność, zresztą rachowano na dobre koleżeństwo, by jeden drugiego w złej doli wyręczał.

Zdawało się, że dnia następnego będzie w tych miejscach pamiętnych dla nas z odniesionego dawniej zwycięstwa, walna bitwa, którą tu przyjąć miano i zrobiono do niej stosowne przygotowania.

W wypadku takowej, nam rannym maroderom kazano się trzymać pociągów po za linią. W takim oczekiwaniu przeszedł dzień następny wobec nieprzyjaciela spokojnie. W nocy rozesłane rekonesanse na zwiady doniosły, że nieprzyjaciel cofnął się na całej linii.

Wskutek tej wiadomości, równo ze dniem, dywizya generała Gielguda, do której nasza brygada jazdy należała, otrzymała rozkaz posunięcia się naprzód ku Mińskowi. Wykonała ona ten ruch bez przeszkody, nie natrafiwszy na opór i pod miastem zatrzymała się, czekając dalszych rozkazów,

a tymczasem zajęła się pożywieniem ludzi i koni; powiadano nam, że w bitwie pod Mińskiem nieprzyjaciel także poniósł znaczne straty, bo stojąc dzień cały na polach stoczony bitwy, wielu zabitych miał pochować i znaczną ilość rannych przewiózł bardzo pospiesznie.

Już z południa nadeszły wojska z pod Dembego, oraz sztab główny. Dywizyi pod dowództwem Gielguda kazano posuwać się naprzód. Jakoż przed wieczorem zajęliśmy nasze dawne koczowiska pod Jędrzejowem, a wieczorem nadeszły znaczne siły i sztab główny.

Wielkie było niezadowolenie w wojsku, że przy ciągłym nużeniu armii, sponiewieraniu koni po bezdrożach w pospiesznych marszach, stawamy w tychsamyh miejscowościach zupełnie wyniszczonych, gdzie się czuć daje brak wszelkich potrzeb, i marnujemy niepotrzebnie i czas i siły bez żadnej korzyści, nie mogąc się na nie stanowczego zdecydować. Główną przyczynę złego upatrywano w tem, że w sztabie naczelnego wodza było dwóch kwatermistrzów, najczęściej w planach ze sobą niezgadujących się, bo kiedy jeden popychał naprzód, to drugi te ruchy hamował.

Staliśmy pod Jędrzejowem dni kilka, co posłużyło do pokrzepienia moich sił. Jak powiedział przy pierwszym opatrzeniu ran moich sztabowy lekarz pułkowy, miał znaczny ubytek krwi z ręki później mnie osłabić i radził mi pójść do lazaretu, z powodu, że rana potrzebuje starannego opatrywania, którego w obozie i przy ciągłych marszach mieć nie mogę. Że zaś brak było nie tylko oficerów, ale także i zdolniejsi podoficerowie wynieśli się z awansem, nie było zatem można zdać komu plutonu. I ta przyczyna właśnie spowodowała nas rannych, żeśmy pozostali, by przynajmniej dopilnować porządku, aby koni nie zniszczono. Jaki był brak oficerów, dowodzi następna nominacya: w szwadronie naszym był stary z czasów Napoleońskich podchorąży Matusowicz, który zwykle za czasów W. Księcia woził sztandar, lecz że ani pisać, ani czytać nie umiał, dlatego nie awansował, teraz

zaś w potrzebie oficerów zastępował i właśnie objął komendę po Łackim, poległym pod Mińskiem.

Ciągłą jednostajność, bo pełniliśmy tylko zwykłą służbę obozową i rozsyłali patrole w różnych kierunkach, urozmaicił nadesłany rozkaz dzienny ze sztabu głównego o awansach w naszym pułku: porucznicy Dąbrowski, Skarbek i Brzeski mianowani zostali kapitanami i wszyscy przeznaczeni do innych pułków; Brzeski z naszego szwadronu przeniesiony został poprzednio do 2-go pułku ułanów. Dalej awansowało sześciu podporuczników na poruczników, a między nimi i ja się także znajdowałem.

Wszyscy pozostali w szwadronach, tylko Linde i Górski przeniesiony został do 3-go szwadronu. Wreszcie trzech podoficerów, tj. Sumiński, Bagiński i Konstanty Kępiński, młodszy brat oficera tegoż nazwiska, na podporuczników w pułku naszym. Awans, to pułkowe święto, dlatego też o nim piszę, tem więcej, że w tym czasie nie zaszło nic ważnego. Nadmienić tu muszę, że pomiędzy innymi przedstawiony byłem za bitwę pod Mińskiem do krzyża, który jednakże dopiero razem z innymi po bitwie ostrołęckiej otrzymałem, wyszedłszy z lazaretu jako ciężko ranny.

Ponieważ odbywał się werbunek ciągle do nowo formujących się pułków, więc była coraz większa trudność o podoficerów, a kiedy który z nich awansował na oficera, niepodobna go było uzdolnionym zastąpić. A zabrano nam właśnie dwóch dzielnych podoficerów, o których nie od rzeczy będzie bliżej wspomnieć, zasługują bowiem ze wszech miar na wzmiankę. Pułk 3-ci ułanów stawał zwykle garnizonem w Województwie Podlaskim, gdzie mieszka wiele rodzin spolszczonych Tatarów, od dawien dawna tu osiadłych. Nawet około miasteczka Łomazy, które zajmował jeden z naszych szwadronów, we wsi Studzianka, znajdował się ich meczet, do którego niekiedy licznie się zbierali. A że to każdy ułan ciekawe zazwyczaj dziecko, często więc tam zaglądali, ztąd znajomość, a z niej skutek taki, że młodzież ta z krwią

tatarską w żyłach wchodziła do pułku, a niektórzy z niej mieli już wyższe stopnie oficerskie. Byli to ogólnie ludzie bardzo zaeni, dobrzy żołnierze, serdeczni koledzy, a nade wszystko kraj, w którym się zrodzili, miłujący. W naszym szwadronie było także dwóch braci Bielaków, którzy jako kadeci już po parę lat poprzednio służyli i posunięci byli już na podoficerów, za staraniem jednakże przeniesli się oni teraz właśnie z awansem na oficerów do jazdy Podlaskiej, w której mieli wielu znajomych ze stron rodzinnych. Zrobiła się po nich luka, którą z trudnością można było wypełnić.

Kilka dni zajmowaliśmy stanowisko pod Jędrzejowem, a te kilka dni były dla nas rannych niejako wypoczynkiem. Nadszedł wreszcie rozkaz ze sztabu, który nasz pułk oddzielił z brygady generała Kickiego, a wcielił go na teraz powtórnie do brygady pułkownika Dembińskiego, która tworzyć miała przednią straż korpusu przeznaczonego do posunięcia się w Lubelskie. Nie bardzo się tą zmianą pocieszono.

Brygadę jazdy składać miał pułk trzeci ułanów i dwa pułki nowo sformowane. Zapowiadała się zatem służba ciężka na takim stanowisku w bliskości nieprzyjaciela, a znaną nam była przedtem energia pułkownika Dembińskiego i wiedzieliśmy, że nas oszczędzać nie będzie, a to tem więcej, że jeden tylko pułk starej jazdy będzie mieć w swej brygadzie. Jakoż wkrótce nakazano marsz. Z trudnością dosiadłem konia, ponieważ nie mogłem sobie przy dosiadanu prawą ręką dopomódz. W awangardzie postępowały dwa szwadrony jazdy Podlaskiej, którą po raz pierwszy widzieliśmy, jak również batalion strzelców celnych Kuszla, przez niego dowodzony. Jazdą Podlaską dowodził drugi Kuszal. Za czasów Wielkiego Księcia obydwa ci bracia Kuszalowie z Podlaskiego mieszkali w bliskości Siedlec, jeden z nich w Zeliszewie; niedaleko od niego w Krześlinie mieszkał wówczas Kicki, obecnie generał, a nieopodal w Patrykozach osiedlił się Szydłowski, na teraz także generał. Wszyscy ci czterej żołnierze z czasów wojen Napoleońskich, ozdobieni krzyżami Legii honorowej,

nie służyli w wojsku za W. Księcia, a nam młodym znani byli z tej okazji, że kiedy rezerwa pułków całej dywizji ułanów miała sztab w Siedleach, dowódcą której był podpułkownik Nayman z pułku 3-go ułanów, jak się to na początku powiedziało, tu widywaliśmy często tych panów, przyjeżdżali bowiem do Siedlec, jako miasta naówczas wojewódzkiego, a kiedy była nasza mustra, oni jako znawcy, ciekawie się przyglądali. Gdy ich dostrzegł podpułkownik Nayman, jako znajomych, zaraz salutował. Mówiono tylko o nich wówczas, że wszyscy czterej są sławni myśliwi, a nikomu z nas młodych nie marzyło się nawet, że oni nami kiedyś dowodzić będą.

Z kierunku, w którym postępowaliśmy, zdawało się, że idziemy do Cegłowa. Zwrócono się jednakże do Kuflewa. Mijaliśmy w przechodzie oddziały piechoty liniowej w tym samym kierunku postępujące. W Kuflewie pułk zatrzymano i rozłożyliśmy się do obozowania. Wszystko tak w miejscu, jak w okolicy było zniszczone, tu były ciągle obozowiska, jeżeli nie nasze, to Moskali, a tak jedni, jak drudzy wyszali prawie wszystką żywność, bo potrzeby wojska są nieublagane. Teraz też o wszystko była tu wielka trudność. Smutny obraz przedstawiała każda miejscowość, gdzie gościliśmy, bo nie tylko, że w domach nie było, ale i domy po większej części z powierzchni ziemi zniknęły; z tych zaś, które pozostały, jeżeli były słomą kryte, to takową wzięto na posłanie pod konie; jeżeli zaś gontem, to takowych, jako suchych, użyto do gotowania. Kto owe czasy zapamięta, to to przyzna, że tak było istotnie. Cała okolica przy trakcie od Warszawy do Siedlec, obraz zupełnego zniszczenia przedstawiała.

Stojąc pod Kuflewem, pułk nasz miał służbę bardzo uciążliwą rekonesansów w różnych kierunkach, tem więcej, że brak był oficerów, nas bowiem słabych oszczędzano; po kilku dniach stania na tym posterunku, dano rozkaz, by cały pułk był w gotowości do marszu. Również z dniem posuwa-

liśmy się ku Wodyniom, i tu w Wodyniach nam maroderom kazano pozostać, pułk zaś poszedł dalej naprzód.

Zdażały za nim jakieś oddziały piechoty i batalion celnych strzelców Kuszla. Widocznym było, że robiono jakąś podjazdową wyprawę. Ale w razie porażki, co nie daj Boże, gdyby nasze wojsko zostało zepchnięte na inny trakt, a możebnym to było wobec wielkich sił nieprzyjacielskich, stojących przed nami, byliśmy gotową i łatwą zdobyczą koźactwa.

A tę zdobycz stanowiliby oficerowie: Krzycki, Guzowski i ja, podoficerowie: Walezewski i Świącki, oraz kilku żołnierzy, a między nami było tylko trzech ordynansów do obrony zdolnych. W takiej niepewności przeszedł dzień cały, a noc większą nas jeszcze trwogą przejmowała. Rano nadjechał podoficer jazdy Podlaskiej z depeszą do dowódcy Dembińskiego, a w razie, gdyby go tu nie zastał, miał on rozkaz zatrzymać się aż do jego przybycia. To nas uspokoiło, bo wiedzieliśmy już, że wysłanemu oddziałowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Jakoż koło południa nadszedł nasz pułk i przyprowadził kilka koni kozackich. Zaledwie zsiadli z koni, a już dowódca pułku zapowiedział, że dalszy marsz wkrótce nastąpi, i żeby dlatego pospieszyć się z pożywieniem koni, które były nadzwyczajnie zmęczone. Wszystko miało miny zwarzone i widocznym było, że zaszło jakieś niepowodzenie, a komendant mojego szwadronu, kapitan Zieliński, miał bardzo zasmuconą twarz. Niezadługo nadszedł podoficer Grabowski, który w tej wyprawie mnie zastępował i w krótkości opowiedział, że szwadron miał niebardzo pomyślne spotkanie z kozakami, że jest trzech żołnierzy ranionych, z tych w moim plutonie jeden. Nie było czasu rozpytywać się o bliższe szczegóły.

Przykre to na nas zrobiło wrażenie, a mając się już cokolwiek lepiej i wracając się do swoich oddziałów, postanowiliśmy sobie już nie opuszczać ich w żadnym razie. Po bardzo krótkim odpoczynku, skoro tylko piechota, która była

w tej wyprawie, nadeszła, zostawiono w aryergardzie szwadrony jazdy Podlaskiej, pułkowi zaś naszemu kazano ruszyć w pochód. Przed wieczorem stanęliśmy w Kuflewie. Tu zapowiedziano, że po krótkim także wypoczynku dalej pójdziemy. Rzeczywiście może w godzinę zatrąbiono na koń! — i jeszcze przededniem stanęliśmy w Mińsku.

Po takich trudach wszystko było nad wszelki wyraz zmęczone, tak konie jak i żołnierze, bo dzień i noc znajdowali się w marszu już od trzech dni, a mieli bardzo krótkie tylko wypoczynki, w czasie których zaledwie cokolwiek konie tylko pożywić można było, a o gotowaniu niepodobna ani myśleć. Za to teraz wzięto się do gotowania, choć zapowiedziano, że i tu krótko stać będziemy. Nie można było domyśleć się, co powoduje ten tak nadzwyczajnie pospieszny odwrót, nieprzyjaciel bowiem nie napierał na nas. Jedno tylko przypuszczano, że byliśmy zanadto naprzód wysunięci i dlatego nakazano ten szybki odwrót, by nas nie odcięto, a główne siły nasze musiały jakiś ruch wykonać, bo nigdzie żadnego wojska nie spotykaliśmy, chociaż, kiedy szliśmy poprzednio na tę wyprawę, natrafialiśmy na znaczne oddziały piechoty, dążące w tymże samym kierunku, a teraz nie wracały one z nami. Widocznie, że już poprzednio piechota cofniętą została. W Mińsku zastaliśmy małą załogę, mianowicie jakieś małe oddziały piechoty i dwa szwadrony jazdy Mazurów.

Już po bardzo skromnym popasie mieliśmy wsiadać na koń, gdy nadeszły nasze furgony. Zatrzymano dlatego pułk i kazano pospiesznie wybrać furaz i żywność, czem się żołnierze bardzo uradowali, bo już był brak wszystkiego. A gdyby nas furgony były minęły, to błędząc, nieprędko byłyby się z nami w tym zamęcie spotkały. Doczekaliśmy się przecie wódki i tytoniu, tych arcyważnych potrzeb dla żołnierza w obozie; nie mogę tego przecie powiedzieć o sobie, bo wódki używałem niewiele, a tytoniu aż do dnia dzisiejszego nigdy.

Oddziały piechoty, które w wyprawie pułkownika Dembińskiego udział brały, otrzymały poprzednio rozkaz wrócenia do swoich pułków i po krótkim spoczynku w Mińsku ruszyły w pochód. My także, po załatwieniu się z furazowaniem, pospieszaliśmy za nimi. Dziwiło nas tylko, żeśmy zaraz od Mińska kierunek marszu zmienili, udając się na prawo z głównego gościńca, jak również i ta okoliczność, że naszym furgonom kazano za pułkiem postępować, z czego widocznem było, że już nie w Pradze, ale w innej miejscowości furazować będą. To wszystko różne nasuwało myśli. W pospieszonym marszu mijaliśmy bataliony piechoty różnych pułków, które w tymże, co i my, kierunku dążyły. W Okuniewie pułk nasz zatrzymano i kazano konie pożywić, ale zapowiedziano krótki popas. Tu zastaliśmy spoczywające znaczne siły naszej różnej broni. Miejscowość była nam znana, bo już krwawo ją zaznaczyliśmy przy rozpoczęciu wojny, gdy nieprzyjaciel przez Węgrów w kraj się posuwał, a w bitwach pod Liwem, Dobrem, Stanisławowem i Okuniewem, pułk nasz brał udział. Miasteczko, które naówczas jako-tako wyglądało, na teraz było zniszczone; widać, że huragan wojny przez nie przeciągnął.

Tu jeszcze była niepewność, w którą stronę się zwrócimy. Zdawało się, że ku Stanisławowu. Jakoż wkrótce, po bardzo krótkim spoczynku, zatrąbiono na koń! Wielkie było niezadowolenie w pułku, który jakby na zniszczenie przeznaczono, gdyż zmęczenie ludzi i koni przechodziło wszelkie granice. Od kilku dni dzień i noc byliśmy w marszu, mając tak krótkie wypoczynki, że czas nie starczył, by konie się pożywiły, a o gotowaniu ani myśleć. Zatem nienniknionem było, że żołnierze nie tylko zgłodzeni, ale bezsennością znużeni, spać będą w marszu na koniach. Obawiano się, że skutkiem tego będzie wiele koni odsednionych. Ciągłe się więc w marszu upominało, by nie spano na koniach, ale i ci, co upominali, będąc również znużeni, tożsamo robili.

Z kierunku, w jakim postępowaliśmy, widocznym już było, że dążymy ku Modlinowi. Okolice tu lesista, a robactwo dokuczliwe nie uprzyjemniało pochodu. W znacznej już odległości od Okuniewa dopędził nas pułkownik Dembiński, i jemu wtedy dowodzący pułkiem, Pawłowski, wraz z sztabsoficierami przedstawili, że pułk tak spiesznymi marszami trwającymi dzień i noc i to jedynie z krótkim spoczynkiem, nietylko, że ma konie bardzo zmęczone, lecz także wiele odsutych, a żołnierze nigdy na tyle nie mają czasu, by sobie jeść zgotować mogli. Jak konie wyglądają, może się naocznie przekonać. Uznał słuszność tego przedstawienia i pozwolił, by w miejscu, które dowódzca uzna za stosowne, pułk przez kilka godzin zatrzymał, sam zaś ze swym orszakiem pomaszzerował dalej.

W jakiś czas zatrzymano pułk nad małym strumykiem, zatem w bardzo dogodnym miejscu, było tu bowiem drzewo i woda. Rozłożono się do obozowania i zaraz bardzo skrętnie wzięto się do gospodarstwa. Ponieważ tu dłuższy miał być spoczynek, zatem przedewszystkiem powiązano konie, zdjęto kulbaki, zadano obroki i rozpalono ognie do gotowania. Jedni z żołnierzy czyścili wołoki z odsutych koni, inni wzięli się do prania, niektórzy naprawiali uszkodzone efekta. Konie zmęczone po zdjęciu kulbak pokładły się — a były między niemi odsednione, nawet i ranne. Wszystkie odpowiednio opatrzone. Dłuższy czas odpoczynku był bardzo dobrze zużytkowany, a cieszyło nas to, że żołnierze, chociaż bezsennością znużeni, ochoczo pracę wykonywali. Bo co to był za żołnierz! kiedy się o nim wspomni, żal piersi ścisła, że takie dzielne siły zmarnowano przez nieudolność ich użycia.

Posłałem podoficera, by wyszukał felezera, któryby opatrzył moje rany, przyczem pokazało się, że na nodze rana znacznie się podgoiła, ale z ręką zawsze było źle, bo pomimo ostrożności, często się ją urażało, a skutkiem tego rana zbliżnić się nie mogła. Przybył felezer, opatrzył rany, a ja, że byłem bardzo forsownymi marszami zmęczony, ułożyłem się

do spoczynku. Sen parogodzinny znacznie mnie skrzepił. Stary poczciwy mój ordynans przygotował dla mnie jakowyś posiłek, który mnie przecież nie nęcił, raz dlatego, że był strudzony, a powtóre, że mi to boleśnie zawsze przypominało Łąckiego, z którym od początku wojny wspólnie spożywailiśmy obozowe przysmaki.

Jako ranny, nie brałem udziału w wyprawie podjazdowej ku Skorcom, gdzie nasz szwadron miał starcie z kozakami. Chciałem się dowiedzieć dokładnie szczegółów, na co w pospiesznym marszu nie było czasu i dlatego teraz udałem się po nie do kolegów Bagińskiego i Wrońskiego. Zastąpiłem ich przy kociolku — mówię tedy do nich: Bardzo jesteście hardzi zwycięstwem i zdobyczą na kozakach pod Skorcami; że zaś tego tryumfu z wami nie dzieliłem, to nie chcecie mi nawet szczegółów opowiedzieć, a ja jestem ich bardzo ciekawy. Na to odpowiada Wroński: Co do zwycięstwa, o mało, że się na nas nie sprawdziło przysłowie: złapał kozak tatarzyną, ale tatarzyn go za łeb trzyma — zaś co do zdobyczy, to kilka chudych koni, z chudszymi jeszcze poduszkami, bo jak mówili żołnierze, ani trojaka w nich nie znalezione — nie może wzniecić zazdrości. Jedno tylko mamy w zysku, mianowicie niezasłużoną przykrość naszego kapitana, na którego cudzą winę chciało być złożyć. Rzecz się tak miała: Zbliżywszy się do Skorców, zatrzymano nas pod zasłoną lasu, a dowodzący tą wyprawą pułkownik Dembiński przeznaczył szwadron, by obszedł posterunek nieprzyjacielski, którego placówkę i widety można było widzieć. Szwadron nasz pospieszył w wskazanym kierunku. Miejscowości nad rzeką Świdrem niskie i mokre, oraz przykopy utrudniały nam pośpiech, ale że nas drobne zarośla zasłaniały, dlatego kozacy nie dostrzegli niebezpieczeństwa. Gdy się szwadron nagle wysunął, spostrzegliśmy, że tylko placówki i widety były na koniach, a reszta posiadała z koni. Zrobił się zamęt między kozakami nie do opisanego. Widety po strzałach na alarm wraz z placówką w bliskie krzaki uciekły. Dalej tedy szwadron

bawić się łówką kozaków i koni, przez co zrobił się w nim nieład, a w tym właśnie czasie wysunęło się z krzaków z flanki i z tyłu kilka sotni kozaków. Potrzeba więc było opuścić niewolników i coprędzej sformować się do stawienia oporu, byśmy sami nie zostali niewolnikami. Wkrótce nadesłano nam przecież pomoc, którą ujrzawszy, cofnęli się kozacy.

Wielkie było niezadowolenie w pułku, a wyżsi oficerowie obwiniali pułkownika Dembińskiego, jako dowodzącego wyprawą, że działał tu bardzo nieogłędnie. Mając po temu siły, winien był wysłać przynajmniej dwa szwadrony pod komendą którego z majorów, a w takim razie jeden szwadron byłby zajęty końmi i niewolnikami, a drugi, będąc zwrócony do nieprzyjaciela, byłby go zastępował ucierając się z kozakami.

Cała ta opowieść przykre na mnie wywarła wrażenie i mimowoli nasuwała się myśl, że to już po raz drugi byliśmy tak nieogłędnie narażani. Pod Seroczynem, dwa nasze szwadrony naprzód popchnięte, naszyły na kilkanaście szwadronów nieprzyjacielskich i mogły ciężką ponieść klęskę; teraz stał się podobny wypadek. A takie epizody zawsze osłabiają zaufanie do dowodzącego.

Odpoczęliśmy już jako-tako, kiedy zatrąbiono do kulbaczania koni. Zbierano porozrzucane manatki, a żołnierze oczyszczeni, sechlnie wyglądali. Dłuższy spoczynek pokrzepił konie po bardzo forsownym marszu. Nakazano dalszy pochód, uprzyjemniał go chłód nocny. Przededniem stanęliśmy pod Serockiem. Furgony nasze miały tu wybrać furaz i żywność i za nami pospieszyć. Zastaliśmy tu także zebrane znaczne siły różnej broni, które po bardzo pospiesznym marszu spoczywały.

W Widłach, gdzie się Bug z Narwią ma łączyć, postawiono dwa mosty, jeden na Bugu, drugi na Narwi. Wojska, które spoczęły, przechodziły most na Bugu i posuwały się dalej. Sądziłyśmy, że i nasz pułk, który zatrzymany czekał

dalszego rozkazu, pójdzie w tymże kierunku, ponieważ brygada generała Kickiego, do której zawsze jeszcze byliśmy zaliczani, przeszła przed nami.

Wkrótce jednakże nadjechał pułkownik Dembiński z Serocka i rozkazał pułkowi postąpić ku mostowi, sam też udał się naprzód, ażeby nam zrobiono wolne przejście bezzwłocznie. Gdyśmy przeszli Bug, zwrócono nas na most na Narwi. Tu nie było ścisłu, przeszliśmy go zatem pospiesznie i znaleźliśmy się na trakcie prowadzącym do Pultuska.

Okolice była nam nieznaną, bo nie stawała tu dawniej kawalerya, lecz były to garnizony piechoty. Nie znać tu było jeszcze wielkiego zniszczenia, jakie wojna za sobą pociąga, nawet powietrze było o wiele czystsze i niezatrute miazmami płytko pogrzebanych tak ludzi jak koni, jak tego doświadczyliśmy w opuszczonych przez nas obozowiskach. Oddychało się też pełną piersią.

Maszerując bez wytchnienia, stanęliśmy przed wieczorem w Pultusku, bo tu zaopatrzone nas obficie w furaz i żywność. Radość z naszego przybycia w mieście była wielka. Już późnym wieczorem nadciągnęły tu działa, jak również oddziały piechoty z Modlina. Zrobił się ruch większy w mieście. Ze wszystkiego widocznym było, że nasz pułk wykonuje ruch flankowy i dlatego to bardzo forsownymi marszami przerzucony został z prawego naszego skrzydła na lewe i że jesteśmy naprzód wysunięci, a zatem wkrótce z nieprzyjacielem się spotkamy.

Oddawna już nie mieliśmy tak spokojnej nocy, bez obawy alarmu, bo nieprzyjaciel był oddalony, zatem strudzeni żołnierze snem się tu skrzepili. Równie z dniem ruszyliśmy w dalszy pochód, w Szelkowie nas zatrzymano. Zastaliśmy tu oddziały piechoty, ale te po większej części kosami były uzbrojone, niewiele więc wzbudzały ufności. Nadeszły nasze furgony, zaopatrzone nas w furaz i żywność, chociaż staraliśmy się o to, żeby potrzeby opędzać, o ile się da, z rekwizycyi

w miejscu, a wybrane z furgonów zaoszczędzać, na wypadek, gdyby te nas odszukać nie mogły, a często się to zdarzało.

Nakazano dalszy pochód, a że odpoczynek w Pułtusku był dłuższy, duch się ożywił w pułku. Spotykaliśmy w marszu oddziały piechoty, a wszystkie prawie nowo sformowane. Nie obeszło się bez konceptów, a wiadomo już starym wiarusom, że przy każdym spotkaniu kawaleryi z piechotą bez wzajemnych przymówek się nie obeszło, chociaż sobie nawzajem i kawalerya i piechota były rade, a szczególnie gdy to były stare pułki, bo w bitwach nawzajem dzielnie się wspierały. Najwięcej jednakże żartowali żołnierze, przechodząc około dział lekkich, jakby wiwatówki, bo cztero-funtowych. Zapytywano kanonierów: „Na odpust, czyli na jakie imieniny spieszycie?” Na co odpowiadali jedni z nich: „Że na chrzest Dybieca;“ inni znów: „Żartujcie sobie zdrowi, będziecie się na nas miłosiernie oglądali, jak wam będzie za gorąco, by was ochłodzić“. Było w tem cokolwiek prawdy, ale przy ciepłocie dwunasto-funtówek, cztero-funtówki niewieleby nas ochłodzić mogły.

Przed wieczorem doszliśmy do Różanny i przed miastem rozłożono się do obozowania, ale nakazano ostrożność, ażeby być w gotowości na wszelki wypadek, ponieważ rekonesanse nieprzyjacielskie często aż tu docierają, a pułk nasz był już wysunięty naprzód. Tu był skoncentrowany cały oddział, stanowiący jakoby osobny korpus, który w tej wyprawie miał być użyty. Składały go dwa bataliony pułku 18-go płockiego, dwa bataliony czwarte po większej części ze starych pułków, chociaż cała ta piechota więcej jak w połowie była w kossy uzbrojona, dalej ze dwa szwadrony jazdy płockiej na lichych koniach, z artyleryi zaś cztery działa mniej niż lekkie i dwa działa pozycyjne, stanowiące prawdziwą ochłodę, tylko niedostateczną, wreszcie nasz pułk jeden starej jazdy. Jak się zatem z tego obliczenia okazuje, byliśmy niebardzo potężni. Robiono nam także nadzieję, że mają być jakoweś oddziały partyzantów w osadach Kurpi w okolicy

Kolna i Myszynca, które nas w tym ruchu wspierać będą, co wszakże nie nastąpiło.

Z temi to, jak wyżej wykazałem, siłami, mieliśmy uderzyć na generała rosyjskiego Sakena, który stał w Ostrołęce z korpusem, jak utrzymywano, liczącym do dwunastu tysięcy, oraz ze stosowną artyleryą, co się jednakże nie sprawdziło, bo siły jego były znacznie mniejsze. Most na Narwi miał on obsadzony batalionem piechoty z przeciwnej strony, a mostu bronił szaniec przedmostowy w Ostrołęce, obsadzony działami. Właśnie wyprawa nasza w tym celu była zrobiona, by ten most na Sakenie zdobyć, a przynajmniej nie dać go zniszczyć. Zadanie więc było nielatwe z takimi siłami, jak to wykazałem.

Z kierunku jednakże, jaki armia nasza brała przy przeprawie pod Serockiem, domyślano się, iż obchodzi ona nieprzyjaciela, i to wzniecało w nas otuchę. Że dowodzącemu naszymi siłami pułkownikowi Dembińskiemu było zawsze pilno, a czasem nawet i zanadto pilno, co nieraz równą szkodę spowodować może, jak opieszałość, tegośmy już doświadczyli.

Zaraz z wieczora rozpoczął się ogólny ruch. Pułk nasz postępował pierwszy. Odkomenderowano szwadron 3-ci kapitana Janowicza, któremu dodano oddział piechoty, by obszedł posterunek, który strzegł mostu na rzece Omulewie na gościńcu prowadzącym do Ostrołęki, i ażeby takowy otoczywszy, sprzątnął, lecz żeby Ostrołęki nie zaalarmował. Cały oddział z wolna postępował, oczekując zawiadomienia od Janowicza.

Po jakimś czasie zawiadomiono dowodzącego, że most na Omulewie nie jest obsadzony, więc bez straty czasu ruszyliśmy naprzód, podsuwając się jak najciszej pod miasto Ostrołękę.

Zeszliśmy z gościńca i pułk stanął w szyku bojowym, frontem zwrócony ku Ostrołęce. Przed nami rozciągał się dość wysoki nasyp gościńca, a zaraz po za nim znajdowała się znaczna liczba domków murowanych, jakby dla jakiej

fabryki przeznaczonych, bo wszystkie były jednakie i jakby wojsko w równej linii stojące.

Jeszcze wśród nocy rozpoczął się ogień ręcznej broni przy moście na Narwi, który nieprzyjaciel, zaalarmowany niespodzianie, zaczął niszczyć. Ogień ręcznej broni wzmagał się coraz bardziej ku dniowi, a skoro tylko o tyle się rozwidniło, że rozstawione szeregi widzieć można było, rozpoczął się także silny ogień działowy od strony Ostrołęki.

Nieprzyjaciel wszakże miał na całej linii pozycję górującą nad naszą, przytem działa ciężkie, dlatego w krótkim czasie zdemontował nasze dwa lekkie działa, które między dywizyonami naszego pułku były ustawione, lecz że nas Narew od nieprzyjaciela dzieliła, do akcji przyjść nie mogło. Stojące w miejscu szwadrony nasze, były jakby tarczą dla dział nieprzyjacielskich i one też zwróciły na nas gwałtowny ogień. Teraz jedynie te domki, które mieliśmy przed sobą, stały się jaką-taką ochroną przynajmniej od strzałów rdzennych, chociaż nie żalowano nam dla odmiany i granatów. Około południa istotnie zaczęło nam być za gorąco, bo nie tylko słońce dopiekało, ale i działa z za Narwi mocno dogrzewały; ci zaś, co nas chłodzić mieli, oddawna już zamilkli. Każdy z wojskowych zrozumie, że taka pozycja dla kawalerii jest najprzykrzejszą.

Ale trwało to już za długo i trudno było zrozumieć, dlaczego nas nieprzyjaciel, w przeważnej sile będący, czego łatwo mógł dostrzedz, nie atakuje. Rozumieliśmy dobrze, że w takim razie ponieśliśmyby wielkie straty. Działa nasze, prócz dwóch pozycyjnych, zostały zdemontowane i zupełnie umilkły. Dowodzący nami, pułkownik Dembiński, spodziewał się, jak się to później pokazało, natarcia na Sakena z przeciwnej strony, lecz, niestety, było ono spóźnione, a my mogliśmy tymczasem zupełnie być zniesieni, bo zaczęliśmy nieprzyjaciela zaweznać.

Szczególnie przedstawiała się ta akcja. My, jako strona zaczepna, byliśmy za słabi do wyparcia nieprzyjaciela z zaj-

mowanego stanowiska i na teraz trzymaliśmy się więcej odpornie; przeciwna zaś strona, chociaż o wiele silniejsza, trzymała się także odpornie, bo tylko przy moście ucierała się piechota, a artyleria prażyła nas ogniem działowym z za Narwi, który ani na chwilę nie ustawał. Jednakże pod osłoną owych domów niewielkie stosunkowo ponieśliśmy straty i to w większej części od pękniętych granatów.

Już z południa dał się widzieć ruch wojska nieprzyjacielskiego w Ostrołęce; artyleria pędziła przodkowała i opuszczała zajmowane pozycje. Wszystko się cofało, a wkrótce i most został opuszczony. Dowodzący nami pułkownik Dembiński kazał batalionowi piechoty przeprować się pędziła przez Narew, co z trudnością wykonano, bo nieprzyjaciel, jak wyżej powiedziałem, w nocy most uszkodził; wzięto się zatem pierwaj do naprawy, by nam przejście ułatwić, a kiedy już chociaż jako-tako dokonano naprawy, zaczęliśmy przechodzić, ale bardzo ostrożnie, bo nie tylko że żadnej poręczy na długim moście nie było, zrzucano je w nocy, ale także drzewo, napręde ułożone, pod kołmi tańczyło. Po tej przykraj przeprowie pułk nasz pędziła przeszedł miasto i nie ku Łomży jak należało, lecz ku Nowogrodowi się zwrócił, dokąd także jakiś oddział piechoty za nami postępował. Zdawało się, że generał moskiewski Saken, widząc się otoczonym, cofał się ku Prusom. Pędziłaśmy za nim, chcąc wzięść odwet za to, że nam tak dopiekał pod Ostrołęką.

Uszedłszy już z milę drogi w tym kierunku, z wielkiem naszym zdziwieniem zwrócono nas napowrót do Ostrołęki. Kazano popaść konie, a nie było na tyle czasu, by się i żołnierze pożywić mogli. Zatrąbiono na koł! Zwrócenie na gościńiec ku Łomży prowadzący, już późnym wieczorem stanęliśmy w Miastkowie. Tu, jak się zdawało, dłuższego dozwola nam spoczynku, bo tak ludzie, jak konie, bardzo byli zmęczeni — nie wykonywali już widocznie marszu z wytkniętym kierunkiem, ale jakieś błądzenie, które, jak się zdaje, sprzeczne ze sobą rozkazy powodowały. Po rozłożeniu się

do obozowania, zaledwie parę godzin minęło spokojnie, a już nakazano gotowość do marszu, który to ruch jakieś złe wieści spowodowały.

Należy mi w tem miejscu wyjaśnić fakt, który dla naszego pułku przykrym był bardzo. Jak wyżej powiedziałem, wysłano zaraz po ustąpieniu generała Sakena z Ostrołęki trzy szwadrony naszego pułku ku Nowogrodowi, jeden zaś szwadron, to jest 3-ci Janowicza, pozostawił dowodzący nami pułkownik Dembiński przy sobie w Ostrołce, który miał jakowąś słabość do Janowicza, na naszą biedę, bo był to oficer bardzo zdolny. Kiedy wskutek rozkazu zwrócono nas z powrotem do Ostrołki, nie zastaliśmy tu już ani dowodzącego, ani naszego szwadronu, z którym miał się pułkownik Dembiński posunąć ku Łomży. Po krótkim wypoczynku kazano i nam postępować w tymże kierunku, a kiedy stanęliśmy w Miastkowie, dowiedzieliśmy się, że szwadron nasz, przyłączony do jakiegoś oddziału piechoty pod komendą pułkownika Sierakowskiego, odszedł już, lecz w jakim kierunku, dowiedzieć się naówczas nie było można. To tylko powiedzieć muszę, że już dla pułku szwadron został stracony, i odtąd pułk nasz składał się tylko z trzech szwadronów aż do końca kampanii.

Okolo północy wyruszyliśmy z Miastkowa, a posuwając się naprzód, mijaliśmy wojska różnej broni do dywizyi generała Gielguda należące, której my mieliśmy tworzyć awangardę i dlatego jeszcze przededniem stanęliśmy pod Łomżą, czekając dalszego rozkazu. Ponieważ dość długo byliśmy tu zatrzymani, bo Gielgudowi nigdy nie było pilno, więc przybywały do nas z miasta różne osoby i opowiadano szczegóły, jak dnia wczorajszego Moskale niszczyli wszystko, czego zabrać nie mogli i z wielkim pośpiechem miasto opuszczali.

Nadszedł wreszcie sztab dywizyi i generał Gielgud z muzyką z tryumfem wszedł do miasta, chociaż nie było z czego tryumfować, bo wchodził nie dawszy ani jednego strzału. Nas zwrócono na prawo i drogą okolo miasta poprzód wszyst-

kiemi okopami, któremi było opasane, doszliśmy do gościńca, prowadzącego ku Tykocinowi i na wzgórzu okolo wiatraków przy tymże gościńcu stanęliśmy do obozowania, jako awangarda naprzód wysunięci.

Po za nami stały różne zabudowania, do klasztoru Pannien Benedyktynek należące. Mówiono nam, że w jednej szopie mają być złożone różne bagaże oficerów nieprzyjacielskich w pośpiechu odwrotu pozostawione. Na tę wieść nie zwracaliśmy bynajmniej uwagi, bo żołnierze przedewszystkiem zająć się musieli karmieniem zmęczonych koni. Również i w innych miejscach miały się znajdować różne pozostałości odbiteżone, a w klasztorze Kapucynów powozy W. Księcia Michała dowodzącego gwardyą. Kiedy się ta wieść rozeszła szerzej, nasze ciekawe piechurki pospiesznie się zabrali do poszukiwania rzekomej zdobyczy w mieście.

Zapewne musiano im wskazać ową szopę po za klasztorem będącą, o której mówiłem, bo usłyszeliśmy wielki hałas, kiedy ją otworzono. Wyrzucano z niej i rozehwytywano futra, walizy, mantelzaki, juki, wszystko spakowane, a były to oficerskie bagaże; lecz przy tej zdobyczy rozpoczęła się tak zacięta bójka, że zbrojnie amatorów rozpędzić musiano. Nasi ulani nawet w mieście nie byli, bo zakazano im jak najsurowiej od koni się oddalać, co im przecież, jak się później pokazało, wyszło na dobre, bo piechurki, prócz zdobyczy, która ich nęciła, zdobyli także i cholereę grasującą tu bardzo naówczas.

Ponieważ wojsko polskie za czasów W. Księcia nigdy w tych stronach nie stawało, zatem okolica była z małym wyjątkiem prawie zupełnie nieznaną, dlatego z wielką ciekawością rozglądano się po niej. Przychodziły i do nas różne osobistości z miasta z ciekawości, przyzem opowiadano nam rozmaite szczegóły o prawdziwie barbarzyńskich nadużyciach, jakich dopuszczali się Moskale, chociaż w mieście stał W. Książę Michał. Wszelkie zażalenia były jednakże bezskuteczne. Przez nienawiść dokonywano zniszczenia. W jaki

sposób to się działo, winienem poprzednio wyjaśnić, a równocześnie o mieście kilka słów powiem.

Miasto Łomża od strony Narwi położone jest na dość wyniosłym wzgórzu, dosyć obszerne i nie źle naówczas było zabudowane, szczególnie tak zwane Nowe Miasto, przez które przechodzi główny gościniec warszawsko-wileński pomiędzy zabudowaniami dawniej klasztorami, na teraz zaś na szkołę wojewódzką przeznaczonemi, gdzie i profesorowie byli pomieszczeni, a kościołem po-pijarskim. Zabudowania te, niegdyś złączone galerią z kościołem, stanowiły jedną całość, galeria wszakże celem przeprowadzenia rzeczzonego gościńca została zburzoną. Tym sposobem rozdzielono kościół z dawnym jego klasztorem. Odtąd idzie ów gościniec po wysokim nasypie przez część miasta, a dalej groblą także wysoko usypaną, dość długą przez pastwiska, które Narew wezbrana zalewa, z pięciu mostami na Narwi, do wsi Piątney, Stawisk, Szczucina i dalej. Owe to mosty na Narwi, Moskale, cofając się, prawie wszystkie zniszczyli. Ponieważ mieszczanie tutejsi mają grunta i trudnią się także rolnictwem, mieli więc na przechowanie zbiorów pobudowane stodoły za miastem, które im Moskale spalić kazali, jakoby dla odsłonięcia pozycyi, chociaż leżały one z przeciwnej strony, z której ataku spodziewać się nie można było.

Była również w bliskości miasta posiadłość zwana Rembelińszczyzną albo Rembelinem od swego właściciela. Wznosił się tu piękny pałac z różnemi zabudowaniami, a przy nim był bardzo wielki park dobrze utrzymywany, stawy, kanały zawodnione. W lecie całe miasto używało tam zwykle przechadzki, a w zimie młodzież na stawach i kanałach próbowała sportu łyżwiarskiego. Moskale, kiedy cholera srożyć się zaczęła, założyli w pałacu i zabudowaniach szpital choleryczny, a w jakiś czas wszystko spalili, i twierdzili, że stało się to wypadkiem tylko, chociaż inaczej o tym wypadku mówiono. Stosowniej było taki szpital urządzić opodal, chociażby w Starej Łomży.

Dozwolono nam tu dość długiego wypoczynku, gdyż generał Gielgud, pod którego dowództwem na teraz zostawaliśmy, nie grzeszył nigdy pośpiechem. Skorzystałem z tego czasu i odszukałem feleczera, by mi rany opatrzył, na co w ciągłym, bardzo pospiesznym marszu, czasu nie było. Rana w nodze już się cokolwiek zbliżniła, ale z ręką zawsze jeszcze źle było. Po opatrzeniu, mocno strudzony, ułożyłem się po bezsennych nocach do spoczynku, którym się cokolwiek skrzepilem. Kiedym się zbudził, opowiadali mi koledzy, że był u nas pułkownik Katerla, stojący ze swym pułkiem 4-ym szaserów w mieście. Pułkownik Katerla służył długi czas w pułku 3-cim ułanów i dopiero w roku 1826 przeszedł do pułku 1-go ułanów, jako major, dlatego znał starszych oficerów z dawniejszych wojen i przybył ich odwiedzić. Zdziwił się on bardzo, że konie mamy tak zniszczone, a kiedy mu powiedziano, iż już od dni dziesięciu pułk prawie dzień i noc nie zsiada z koni, zwrócił się do naszego dowódcy podpułkownika Pawłowskiego i powiedział mu, że on powinien przeciw bronić pułku od zniszczenia i zrobić przedstawienie do sztabu głównego. Bardzo to przypomnienie było potrzebne Pawłowskiemu, bo on o pułk prawie zupełnie nie dbał i dlatego też był nie bardzo lubiany.

Co do Katerli, lubiono go bardzo w pułku, bo był jego ozdobą, po pierwsze dlatego, że miał sławę zdobytą w dawniejszych wojnach; w r. 1809 był w owym starciu, gdzie szef jego, ów sławny Berek, alias Berkowicz, wpadłszy w kilka koni do Kocka, przez huzarów węgierskich obkoczony i zarażony został; on zaś, aczkolwiek bardzo poraniony, zdołał się przebić, a w roku 1812 także bardzo się odznaczał. A powtóre, był to ułan w całym znaczeniu tego słowa piękny i miał sławę najlepszego jeźdźcy w całej naszej armii. Kiedy w r. 1826 pułk 1-szy ułanów stał na służbie w Warszawie, ożenił się on bogato, zdaje mi się, z panią Kuczyńską.

Po dość długim odpoczynku, a który w czasie pościgu nieprzyjaciela był nawet za długim, kazano nam posuwać się

naprzód traktem ku Tykocinowi. Przeszliśmy przez Pniewo, a gdyśmy doszli do Jakaci, mówiono nam, że aryergarda nieprzyjacielska przeszła tędy niedawno bardzo pospiesznie i że siły przed nami ustępujące były bardzo znaczne. Zdążyliśmy za nimi i już pod wieczór starliśmy się pod Rutkami z ich tylną strażą. Nadeszła nasza piechota oraz artylerya i wszczął się zacięty bój, który w lesie należącym do Mężenina trwał do późnej nocy. Nieprzyjaciel silnie napierany, ciągle ustępował. Tu także, chociaż wśród lasu, poniósł pułk straty od pękających granatów.

Noc ciemna przerwała walkę; cofnięto nas z lasu i rozłożyliśmy się do obozowania. Wkrótce jednakże dało się słyszeć strzelanie, a w lesie ruch się zrobił i poczęto się zbierać. Trudno było zrozumieć, co by to znaczyć miało, bo przecież w tak ciemną noc nie rozpoczną boju obydwie strony; że jednakże po tej strzelaninie zrobiła się cisza, sądzono więc, że rekonesanse zetknęły się i powitały wzajemnie strzałami. I u nas nastął spokój, a wówczas wzięto się do żywienia koni i gotowania. Straż obozową utrzymywała piechota.

Dziwiło nas, że w czasie stania obozem pod Łomżą, pułkownik Dembiński pułku nie odwiedził, a to tem więcej, że zazwyczaj, kiedy pułk, jak teraz, stał w pierwszej linii, on zwykle bywał obecnym, a tą razą nie pokazał się weale. Domyślano się z tej okazji, że musiała zajść jakaś zmiana w komendzie, o której wszakże pułk nie został jeszcze zaświadomiony. Równy ze dniem ruszyliśmy w pochód ku Tykocinowi.

W lesie Mężęńskim, w którym dnia wczorajszego było bardzo gorące starcie, leżeli zabici i ranni, tak nasi, jakoteż Moskale. Na gościńcu pozostawił spiesznie ustępujący nieprzyjaciel działo z zgruchotaną lawetą, obok którego leżało dwóch kanonierów zabitych. Smutny tu także mieliśmy widok: ujrzeliśmy rannych żołnierzy z któregoś nowo sformowanego pułku piechoty, a rany te odnieśli od swoich, bo przez nieostrożne prowadzenie wśród ciemnej nocy, sami swoi

między sobą do siebie strzelali. To była właśnie owa nocna strzelanina, która tak nas jak innych chwilowo zaalarmowała.

Już dobrze z południa zatrzymano pułk pod Tykocinem. Nadszedł generał Kieki i z wielką radością dowiedzieliśmy się, że pułk wrócił do jego brygady, a wtedy z piersi naszych wyrwał się z wielkim zapalem okrzyk powitania. Wtedy właśnie dano wiadomość z miasta, że Moskale bardzo spiesznie przeprawiają się przez Narew, a most zaraz po przeprowadzeniu się mają zniszczyć.

Sformowani szóstkami, mieliśmy galopem wpaść do miasta, ale ostrzeżono generała, że gdy jedni z Moskali pospiesznie przez most się przeprawiają, inni zrobili zasadzkę po domach przy ulicy wiodącej do mostu, więc możemy na ciężkie straty być narażeni. Skutkiem tego ostrzeżenia zostaliśmy zatrzymani, a generał wysłał adjutanta, by jaknajspieszniej batalion piechoty sprowadził, który ujrzeliśmy wkrótce, prawie biegiem dążący. Od miejsca, gdzie nas zatrzymano, był na lewo kościół na wzgórzu. Tu odprzodkowano nadeszłe nasze dwa działa i zaczęto rzuceć pociski na most, na które z za Narwi nieprzyjaciel odpowiadał. Za wejściem naszej piechoty w miasto, rozpoczął się ogień ręcznej broni, a ustępujący Moskale rzęsiście nań odpowiadali. Jednakże jakaś część ich, nie mogąc się wcisnąć na most, została przez naszą piechotę odcięta, a wtedy przepuściła i nas piechota i galopem wpadliśmy na most, pędząc przed sobą wraz z naszą piechotą ustępującą nieprzyjacielską piechotę. Tym sposobem uniknęliśmy skartaczowania, bo nieprzyjaciel, chcąc nas razić, raziłby i swoich przed nami ustępujących. Przeszedłszy most, sformowaliśmy się na lewo po za budynkami komory celnej, a w ślad za nami przeszedł także batalion piechoty i formował się na prawo gościńca, również po za jakimiś budynkami. Most zatem był zdobyty. Moskale, po przeprowadzeniu się naszych szwadronów, z działami, które mieli na gościńcu prowadzącym do Białegostoku, pospiesznie się cofnęli i cisza nastąpiła zupełna.

Wieczorem dwa nasze szwadrony ściągnięto, a batalion piechoty pozostał dla strzeżenia mostu. Za miastem, na placu dla pułku oznaczonym, zastaliśmy nasz sztab oraz szwadron i rozłożono się do obozowania. W tem spotkaniu, ponieważ dywizyon postępował w ślad za naszą piechotą, która się uciewała, dwóch żołnierzy i podoficer Przybyłowicz z 1-go szwadronu zostało ranionych.

Niezadowolenie w wojsku coraz bardziej się zwiększało. Ponościło wojsko niewypowiedziane trudy, a z nich żadnej korzyści nie odniesiono, przez opieszałość bowiem dowódców wszędzie przychodziliśmy za późno. Jeszcze podtrzymywała ducha nadzieja, że następnego dnia o tym czasie obozować będziemy pod Białymstokiem, niestety była to złudna nadzieja.

Rano dowiedzieliśmy się ze smutkiem, że w nocy most na Narwi zniszczono. Jeżeli więc ruszymy w marsz, to w zupełnie innym kierunku, niż pragnęliśmy. Nadesłano rozkaz dzienny ze sztabu, że pułk wraca do brygady 2-giej pod dowództwem generała Kickiego będącej, o czem już poprzednio sam nas zawiadomił. Tu wojsko dla wypoczynku zatrzymano.

Dnia następnego od samego rana rozpoczął się ruch naszego wojska w różnych kierunkach. Dywizya generała Gielguda wracała do Łomży. Nadjechał generał Kicki i bardzo był niezadowolony, że konie w pułku były bardzo zniszczone, jak również, że oderwano jeden szwadron i dlatego pułk jest teraz niekompletny. Oświadczył, że się o to w sztabie postara, by szwadron zwrócono. Nie przewidywał nikt, że wypadki bardzo szybko po sobie idące, staną temu na przeszkodzie.

Przed południem dywizya piechoty generała Rybińskiego wyruszyła, a że brygada nasza na teraz do niej przydzieloną została, ruszyliśmy i my w pochód. Już z południa stanęliśmy pod Zambrowem do obozowania. Furażowanie było bardzo trudne, bo miejscowości, przez które przechodziliśmy, zajmowane poprzednio przez Moskali, zupełnie były wyniszczone.

Z trudnością można było pożywić konie, a żołnierzom często głód się przypominał.

Że to był koniec Maja, słomy na posłanie, a jak my zwaliśmy, materacy, prawie nigdzie nie było.

Trzeba było dlatego niezbytownie ułożyć się do spoczynku na gołej ziemi. Ależ bo ta mazowiecka ziemia! Jak zwykle z Mazurów żartowaliśmy, że u nich prócz piasku kamień na kamieniu i pod kamieniem kamień, a teraz przekonaliśmy się naprawdę, że posłanie takie nie bardzo było wygodne.

Samym wieczorem ruszyliśmy w dalszy pochód. Minąwszy miasteczko Śniadów, stanęliśmy równo ze dniem pod Kleczkowem. Rozeszło się wojsko na oznaczone miejsca do obozowania. W pułku naszym kazano rozkulbać konie, a było już wiele między nimi pospiesznymi marszami odpsutych. Zdawało się z tego powodu, że tu dłuższy czas będziemy zatrzymani; skorzystano z tego, by rany koniom poodmywać, wołjoki poczyścić, sądzono, że musi być wszelka pewność, iż nieprzyjaciel jest w oddaleniu i nie wykona na nas napadu. Ja także skorzystałem z tego wypoczynku i dałem sobie rękę opatrzeć, bo noga już się nieco podgoiła.

Teraz już widocznie byliśmy w odwrocie. Smutek ścisnął piersi, że acz mogliśmy z tej wyprawy wiele odnieść korzyści, na co się patrzyło, powracamy przecież z niczem! Znużeni nadzwyczajnie i ze zniszczonemi końmi forsownemi marszami w czasie upałów. W całej tej wyprawie odślonił się brak zupełny zdolnego dowództwa, a głośno to zdanie wypowiadali nasi wyżsi oficerowie, którzy już oddawna znali się dobrze z wojną. Zauważyli to oni, że częstokroć mieliśmy o wiele przeważające siły, a jednak zostawiali nasi dowódcy przez opieszałość nieprzyjacielowi tyle czasu, że mógł się cofnąć bez straty.

Tą razą najwięcej obwiniano Gielguda, z przyczyny którego po największej części wszelkie korzyści tej wyprawy były stracone. Gnuśny ten sybaryta, dbający tylko o własne

wygody, przez swe lenistwo stracił prawie dwie doby, przy-
szedł późno pod Ostrołękę i dlatego korpus Sakena z matni
wypuścił; spóźnił się także do Łomży, a tymczasem znisz-
czyli Moskale mosty, magazyny i wszystko, czego uprowa-
dzić nie mogli. Zadługo, podług swego zwyczaju, uraczał
się w Łomży, tak, że zaledwie późnym wieczorem moskiew-
ską aryergardę można było osiągnąć, a noc dozwoliła nie-
przyjacielowi cofnąć się bez straty. Sądono wówczas, że
pociągniętym być winien do odpowiedzialności. Taka była
ogólna opinia, a był to głos nie klubistów, ale tych, co
w każdej godzinie życie swe nieśli w ofierze, i na to nie-
doleżństwo ze zgrozą patrzyli.

Jak to wyżej powiedziałem, rozkubaczyliśmy konie
pod Kleczkowem i na dobre się rozgospodarowali. Cisza
zalegała zupełna, zdawałoby się, że o nieprzyjacielu ani za-
słyszeć nie można. Niestety, było to powtórne złudzenie!

Z południa zatrąbiono na alarm. Z największym po-
spiechem kulbaczono konie i w krótkim czasie ruszyliśmy
w pochód. Pospieszano w marszu i przed wieczorem byliśmy
w Ostrołęce. Piechota przechodziła przez most naprędce zło-
żony, a my przechodziliśmy przez most na palach. Przedo-
stawszy się za Narew, posunęliśmy się nad rzekę Omulew
i tu stanęliśmy do obozowania. Wojska różnej broni zajmo-
wały rozmaite oznaczone stanowiska.

Przechodząc przez Ostrołękę, spotkaliśmy nasze fur-
gony, a był to traf bardzo szczęśliwy, bo inaczej mogłyby
błądzić, szukając nas, co się często zdarzało. Gdyśmy zajęli
obozowe stanowisko, załatwiono się wkrótce z furazowaniem.
Wojsko nasze różnej broni, które przeszło Narew, ustawiało
się na linii, jakby do boju, zwrócone ku Ostrołęce. Nie są-
dzono jednakże, by w tej bardzo niekorzystnej dla nas po-
zycyi, chciał naczelny wódz przyjąć bitwę.

Lecz tu właśnie niepowodzenie w całej tej źle prowa-
dzonej wyprawie mieliśmy zupełną klęską zapieczętować,
a dzień jutrzejszy miał być dniem ostatnim dla bardzo wielu.

Ponieważ pułk nasz należał poprzednio do wyprawy,
która pod dowództwem pułkownika Dembińskiego była wy-
slaną przeciw Sakenowi, zajmującemu naówczas Ostrołękę,
by go wyprzeć z miasta, lecz że na to nie mieliśmy dosta-
tecznych sił do wykonania tego pięknego planu, który łatwiej
obmyśleć jak wykonać; zatem dla tej prostej przyczyny mie-
liśmy stać długi czas pod ogniem działowym od miasta na
nas zwróconym — nadarzyła się więc dobra okazyja, by
w pozycyi obustronnej rozpatrzeć się dokładnie. Uważam
przeto za stósowne opisać takową.

Od mostu na rzece Omulewie, który stanowił prawe
nasze skrzydło, prowadzi gościniec po wysokim nasypie aż
do mostu na palach na Narwi do miasta Ostrołęki. Nasyp
ten był widocznie dlatego zrobionym, by przy wezbraniu
Omulewa wpadającego tu do Narwi, komunikacya nie była
utrudnioną. Niedaleko od mostu na lewo od miasta rzeka
Narew zakreśla półkole, a w tym zakręcie są bagna i tak
zwane mokre ługi, na które przy wezbraniu wylewa. Te ługi
czyli pastwiska, stanowiły nasze lewe skrzydło, środek niski
i zupełnie otwarty. Przeciwna zaś strona Narwi, którą zaj-
mował wówczas nieprzyjaciel, od swego zakrętu Narwi na-
przeciw naszego lewego skrzydła, była znacznie wywyższona.
Na tem właśnie wzgórzu stało wówczas dwa lub trzy wia-
traki. Dalej miasto Ostrołęka także na wzgórzu, a wywyż-
szenie to ciągnęło się po za miastem aż prawie do ujścia
Omulewa, o które oparte było nasze prawe skrzydło. Całą
tę górującą linię obsadził później w dniu wielkiej bitwy nie-
przyjaciel ciężkimi działami licznej swej artyleryi, jak ró-
wnież szaniec przedmostowy, przez stojącego tu poprzednio
ze swym korpusem Sakena usypany, a niezniszczony po zdo-
byciu miasta, z czego skorzystano w czasie bitwy, który
naprędce zaraz po wzięciu Ostrołęki poprawiono i ciężkimi
działami także obsadzono. W tem właśnie nad wszelki wy-
raz niekorzystnem dla naszego wojska położeniu, rozpoczął
się miał bój jeden z najkrwawszych w ówczesnej wojnie,

bo sily feldmarszałka Dybicza, które mieliśmy przed sobą, były od naszych, po odłączeniu dywizji generała Gielguda, więcej niż dwa razy liczniejsze. Wojska nasze, jak się wyżej powiedziało, przechodziły Narew aż do późnej nocy, dywizya zaś generała Łubińskiego, która po starciu się pod Nurem ustępowała przed całemi silami feldmarszałka Dybicza, traktem od Nura i Ostrowi ku Ostrołęce, zatem z prawej naszej flanki, miała rozkaz utrzymania przez czas dłuższy Ostrołęki, którą generał Łubiński częścią swej dywizji obsadził, a to, jak utrzymywano później, dlatego, by dywizya generała Gielguda, znajdująca się naówczas w Łomży, mogła mieć wolny gościniec dla połączenia się z główną armią w Ostrołęce. Gościniec ten prowadził od Łomży z lewej naszej flanki, zatem na teraz wolnym był od nieprzyjaciela. Dla wykonania tego ruchu trzeba było tylko pośpiechu ze strony generała Gielguda i bardzo energicznego rozkazu z głównego sztabu. Cała ta obrona nieprzezorności jest naciągnięta; po przepłynięciu się przez Narew, trzeba było mosty za sobą zniszczyć, a klęski byłoby się uniknęło.

Dywizya jazdy generała Kazimierza Skarzyńskiego, do której nasza brygada należała, przeprawiwszy się przez Narew, stanęła po jednej i drugiej stronie rzeki Omulewa. Tędy całą prawie noc przez most, przy którym staliśmy w bliskości, przeprowały się różne pociągi i wiele wozów amunicyjnych, odwrót więc był widoczny i pospieszny. Jednakże inaczej zrządzilo złe fatum, bo w najgorszej pozycyi musiano przyjąć bitwę.

Zaraz zrana daly się slyszec strzaly karabinowe od Ostrołęki, a wkrótce i huk dział. Nieprzyjaciel w wielkiej sile i z wielką natężennością uderzył na miasto. Ruch wielki z tego powodu zrobil się w naszym obozie, nam kazano być w gotowości. Bataliony naszej piechoty spieszyły ku mostom, by wesprzeć ustępujących, którzy naciskani zmasowaną piechotą nieprzyjacielską ustępowali z miasta na mosty, powstrzymując nacierających nieprzyjaciół bagnetem.

Pod takim naciskiem załamał się jeden most naprędee złożony i wielu tak naszych, jakoteż Moskali, pochłonęły głębin Narwi. Drugi zaś most na palach, pomimo rozpaczliwej obrony, został przez Moskali zdobyty, a głównie przyczynilo się do tego zaniedbanie rozrzucaenia szanica przedmostowego, z którego ogień działowy niszczył kolumny nasze zbliżające się do mostu. Chodziło teraz już tylko o to, by powstrzymać przeprawę tak przeważnych sił, przy moście zatem już nie bitwa, ale prawdziwa rzeź rozpoczęła się od samego rana.

Nieprzyjaciel zaraz po zdobyciu miasta obsadził liczną artylerją całą swą linię bojową i artylerya ta zbliżające się ku mostowi nasze kolumny morderezym ogniem raziła, szczególnie z szanica przedmostowego, a prócz tego jeszcze najszkodliwiej, bo krzyżowym ogniem, z owego zakrętu Narwi ze wzgórza pod wiatrakami na naszym lewym skrzydle. Przejsz więc ów nasyp gościńca ku mostowi było prawie niepodobna, a jednakże waleczności naszej piechoty ani na chwilę ten piekielny ogień nie wstrzymał. W pierwszym jednakże momencie kilka batalionów nieprzyjacielskiej piechoty pod osłoną swych dział przeszło most i sformowało się na swych mokrych ługach naszego lewego skrzydła, ale to właśnie poniekąd utrudniło dalsze działanie artylerji nieprzyjacielskiej, która przez swoje kolumny nie mogła razić krzyżowym ogniem zbliżającej się naszej piechoty ku mostowi. Zwróciła zatem swój morderezy ogień na dalsze nasze kolumny, by powstrzymać zbliżanie się ich ku mostowi, bo przy samym moście najzaciętszy wrzał bój, a pomimo rozpaczliwego męstwa naszej piechoty, przeciskały się bataliony nieprzyjacielskie przez most, wsparte swą bardzo liczną artylerją, zajmującą dobrą pozycją i formowały na owym ługu, nie posuwając się jednakże naprzód z obawy licznej naszej kawaleryi, od której, stojąc na bagnach, były zupełnie bezpieczne.

Okolo południa brygada 1-sza naszej dywizji otrzymała rozkaz posunięcia się ku lewemu skrzydłu, defilowała więc

poprzed całą linią dział nieprzyjacielskich, które salutowały ją kulami. Nasza zaś brygada stała sformowana na naszym prawem skrzydle, a chociaż nie była jeszcze czynną, jednakże nie obeszło się bez strat, bo i tu kule armatnie dochodziły.

Zaraz z południa, kiedy już nasza piechota po ciężkich stratach ze znużenia upadała, kazano i naszej brygadzie, pod dowództwem generała Kickiego będącej, posunąć się z prawego naszego skrzydła ku lewemu i zająć stanowisko naprost mostu. Cofnął się ztąd właśnie po bardzo dotkliwych stratach pułk 2-gi strzelców konnych, a zajął to stanowisko pułk 2-gi ułanów z naszej brygady, i nasz pułk, który już poprzednio poniósł straty w ludziach i koniach. Tu zaś stanęliśmy pod najsilniejszym ogniem artylerji. Załedwie uszykowaliśmy się po przejściu z jednej flanki na drugą, zaraz zaczęły się wyłomy w szeregach i co chwila słyszeć można było komendę: „Naprzód! Zemknij się do prawego! Stój! Równaj się! Od prawego do trzech odlicz się!” Tak to znaczyliśmy krwawo każdy nasz krok. Kula działowa zabiła w naszym szwadronie oficera Bagińskiego i dwóch żołnierzy za nim w szeregu stojących. Zastąpił go Matusowicz, stary podechorąży, który dawniej zwykle woził sztandar, o którym wspominałem poprzednio. Wkrótce zginął podoficer Wolski i żołnierz, a po innych szwadronach nie lepiej się działo. Był to przecież dopiero początek.

Pułk 2-gi ułanów, posunięty więcej ku lewemu skrzydłu, jeszcze dotkliwiej był rażony, ponieważ prócz kul działowych z frontu, dochodziły go kule z boku od strzałów z ręcznej broni owych kolumn nieprzyjacielskich sformowanych na ługu.

Przejeżdżał wtedy przed swą brygadą generał Kicki i zatrzymał się przy skrzydłowym szwadronie 2-go pułku ułanów. Tu wkrótce, ugodzony kulą armatnią, poległ. Wiadomość ta lotem błyskawicy rozeszła się po brygadzie i niewypowiedziany smutek sprawiła. Znakomity ten generał od wszystkich podkomendnych był uwielbiany i zginął właśnie

w tej chwili, tak dla nas krytycznej. Wkrótce po tej bolesnej stracie, kula działowa zabiła konia pod majorem Żółkiewiczem, który stał przed 4-tym szwadronem naszego pułku. Wydobyto majora załedwie żywego z pod zabitego konia i odniesiono z placu bitwy. Co chwila więc nowa a bolesna spotykała nas strata. Niema wyrazu na określenie przykrego położenia kawalerji, która ciągle stać musiała pod morderczym ogniem działowym, a nie mogła przyjść do akcji, bo Narew od nieprzyjaciela nas oddzielała, zaś nieublagana konieczność każe nam trzymać te stanowiska, mając przed sobą i za sobą widok śmierci i straszniejszego od niej ciężkiego kalectwa.

Ostrołęka na kilku punktach palić się poczęła, a niekiedy za powiewem wiatru dym z pożogi zmieszany z dymem strzałów, tamował oddech. Przytem dzień pogodny bez chmurki, słońce pali ogniem swych promieni, co zwiększało wycieńczenie sił żołnierzy i koni.

Bataliony piechoty niekiedy się zmieniają, gdyż rozpalona broń od ciągłych strzałów ręce im odparza. Taki zmieniony batalion, zdaje mi się z 10-go nowo uformowanego pułku piechoty, tak zwanych warszawskich dzieci, przyszedł z czoła linii bojowej i stanął obok nas dla wytchnienia. Wkrótce wpadł granat w jego kolumnę i zrzucił w niej wielkie straty. Batalion poszedł naprzód, a po jego ustąpieniu widzieliśmy zabitych i rannych. Nikt nie myślał, by z tej areny krwawych zapasów wyniósł życie, chodziło tu tylko, by utrzymać honor broni i dotrzeć na stanowisku, a wszelkie wysilenia nieprzyjaciela, by nas z tych stanowisk wyparować, pomimo wielkich strat były bezskuteczne.

Ponieważ bataliony nieprzyjacielskie, chociaż zwolna, ciągle się jednakże naprzód posuwały, więc by takowe powstrzymać, kazano pułkowi 2-mu ułanów iść do szarży. Posunął się pułk pędem ku tym zwartym kolumnom, lecz gdy konie wiązgnąć zaczęły, zwrócić się musiał z wielką stratą i usunął się na drugą linię. Nasz pułk zajął to sta-

nowisko, które pułk 2-gi opuścił. Posunięci teraz byliśmy więcej jeszcze naprzód, niż poprzednio, i tu nie tylko ogień armatni z frontu, lecz dochodziły nas także kule karabinowe z lewego skrzydła i raniły żołnierzy. Szczególnie narażonym był 2-gi szwadron na lewym skrzydle, a ja miałem w nim 4-ty pluton skrzydłowy.

Działanie naszej armii, jak to powiedziałem, było odporne i głównie chodziło o to, by wojsku nieprzyjacielskiemu nie dać się z całą siłą przez Narew przeprawić. Przeprawiał się nieprzyjaciel przez jeden tylko most, który wprawdzie już był od rana zdobyty, jednakże piechota nasza przeprawy przez niego z największym męstwem broniła, jak również kawalerya posuwać się naprzód nie dała tym batalionom, które się początkowo przeprawiły. Przerzedzone bataliony nasze w tym zaciętym boju, zastępowały inne. Przykro było patrzeć na te, które z czoła linii schodziły; pot zmieszany ze sadzą od ciągłych strzałów sphywał strumieniem czarnym po twarzach żołnierzy, a przytem widocznym był po nich upadek sił z wysilenia zupełny.

Z przed mostu, jako głównego punktu walki, ciągle znoszono rannych, tak oficerów, jak żołnierzy. Jakoż dał się widzieć jeszcze w oddaleniu kondukt, który się ku nam zbliżał. Widocznym już było, że ofiarą jest jakiś wysokiej rangi oficer, czterech bowiem żołnierzy niosło nosze, a obok nich szło dwóch oficerów. Tą ofiarą był generał dywizyi Kamiński, któremu kula armatnia obydwie nogi powyżej kolan urwała. Był on już bliskim zgonu. Strata to była nieodżałowana, bo jak mówiono, miał to być wielkich zdolności generał. Jeden z oficerów, idących obok tego żałobnego konduktu, ciągle się nachylał do konającego, zapewne, by usłyszeć ostatnią jego wolę. Widok to był nad wszelki wyraz bolesny, nawet w owej chwili zupełnego zobojętnienia.

Z każdą godziną walka dla naszego wojska stawała się trudniejszą, bo nieprzyjaciel wprowadzał coraz to nowe siły do boju, kiedy my takimi licznymi nie rozporządzaliśmy

i nasza piechota z wysilenia już na siłach upadała. Kawalerya poniosła także bardzo ciężkie straty. W tej to właśnie krytycznej chwili dał się widzieć na naszym lewym skrzydle oddział kawaleryi, a nam się zdawało zdaleka, że to szwadron strzelców konnych. Była to jednakże bateria gwardyi artyleryi konnej, którą prowadził pułkownik Bem, i ona, zrównawszy się z kolumnami piechoty nieprzyjacielskiej, całym pędem koni podsunęła się pod nie i rozpoczęła ogień kartaczowy, który niesłychane w tych kolumnach robił zniszczenie. Że jednakże tej niszczącej baterii nieprzyjaciel dosięgnąć nie mógł, gdyż była jego batalionami osłonięta, za to, jakby mszcząc się, rozpoczął prawdziwą orgię swej liczebnej artyleryi na całej linii bojowej i sypał gradem kul, by nas z zajętych stanowisk spędzić. Wszystkie jednakże nasze kolumny, pomimo wielkich strat, stały jakby w ziemię wrosły i nie tylko, że się nie cofnęły, ale ożywione klęską, jaką zadał Bem wrogom, posunęły się naprzód. Ta niezłamana wytrwałość naszego wojska, musiała demoralizująco wpłynąć na szeregi nieprzyjacielskie, bo musiały i w nich być straty wielkie. Ku wieczorowi ogień działowy znacznie zwolniał, jednakże nie ustawał. Piechota nieprzyjacielska po klęsce, jaką jej zadał Bem, cofnęła się w znacznej części ku mostowi, ogień wszakże ręcznej broni ani na chwilę nie tylko nie zwolniał, ale wzmagał się raczej.

Szeregi naszego pułku były bardzo przerzedzone, oficerów ubytek wielki. Stanowisko, na którym staliśmy, utrzymać było koniecznością, a tu nie tylko kule działowe, lecz i karabinowe nas dochodziły i wielu żołnierzy było ranionych. Przyszła kolej i na mnie: uczulem jakby rozpalone żelazo przyłożone do lewego biodra. Chciałem się na koniu utrzymać, ale straciłem równowagę, bo miałem dawniej zranioną prawą rękę niezagojoną i nie mogłem sobie dopomóc. Podoficer skrzydłowy, Jaczyński, zeskoczył z konia i chciał mię podtrzymać, ale tymczasem, jak powiadał, byłem już na ziemi. Odniesiono mię na bok z przed frontu, bym nie był strato-

wany. Trudny jest ratunek rannych w kawaleryi, bo nie można żołnierzy zsadzać z koni do odnoszenia, gdyż luźny koń w szeregu robi w ruchach nieporządek; zostać znów, chociażby rannemu, na pierwszej linii niebardzo bezpiecznie, ponieważ kule nie wybierają, godząc zarówno tak w zabitych, rannych, jak i w zdrowych. Ten los i mnie spotkał: dostałem poprzednio kulę w biodro, a drugą w dodatek na ziemi leżąc, około kolana. Jakaś senność mię ośwładnęła. Jak to długo trwało, nie wiem, a kiedy mnie chłód nocy otrzeźwił, cisza była zupełna, jęk tylko ranionych słyszeć się dawał. Kiedy przyszedłem do przytomności, trwoga mię ogarnęła, że wojsko nasze musiało się cofnąć, zatem mnie w całej swej grozie czeka niewola.

Jednakże koledzy nie zapomnieli o rannym. Nadeszli w eichości żołnierze. Podoficer Jaczyński wbił w ziemię luźną lancę, jako znak, po którym łatwiej byłoby mnie odszukać. Włożyli mnie na derkę i ruszyli ku mostowi na Omulewie. Nasze szwadrony, będące w boju na pierwszej linii, teraz trzymały straż obozową, mając rozstawione widety i około nich właśnie przechodziliśmy, a łatwo było poznać, bo noc była widna, księżyc świecił. Przy moście na Omulewie ścisk panował wielki, i pomimo że szwadron nasz stał dla utrzymania porządku, po dość długim czasie zaledwie przeprawić się mogliśmy. Sapery stali w pogotowiu, by zniszczyć most, skoro tylko szwadrony, trzymające straż obozową, przez niego się przeprawią.

Za mostem znajdowało się bardzo wielu rannych, gdyż była wielka trudność o podwoły do przewiezienia. Pociągów wojskowych, jakie tylko znalazły się, użyto do przewiezienia rannych i one już po dwa razy do stacyi Różanny odwoziły rannych a jeszcze czekano na nie i nastarezyc nie mogły. O podwoły też było bardzo trudno, ponieważ ze wsi pobliskich huk całodzienny dział wypłoszył ludność; każdy z dobytkiem chronił się do lasu, a te fury, które żołnierzom udało się sprowadzić, zajęli ci, co byli wcześniej ranni, a ciągle

i licznie ich przybywało. Ściągano zdalsza podwoły, na które długo czekano i mieszczono się na nich, jak było można, byle się dostać chociażby do pierwszej stacyi. Za wielkiem staraniem majora Kleszczyńskiego umieszczono mnie z drugim oficerem na takiej podwoży. Znalazło się nas dwóch ciężko rannych na małym wózku o jednym koniu, a w braku słomy mieliśmy trochę zielonego żyta jako posłanie. Koń na szczęście był niezły, a zalecano nam pośpiech, gdyż aryergarda wkrótce ruszyć miała, czekano tylko na szwadrony pełniące służbę obozową, które kazano ściągnąć.

Widok, jaki miałem na drodze, jadąc od mostu na Omulewie do Różanny, dziś jeszcze, po tylu latach, gdy go sobie wspomnę, dreszczem mnie przenika i niewysłowioną boleścią piersi mi ściska, chociaż sam byłem wówczas bardzo cierpiący, na wspomnienie tylu nieszczęśliwych poranionych, którzy nie mogąc się doczekać na podwoły, z wysileniem ostatnich sił wlekli się, wspierając jeden drugiego, albo leżeli po gościńcu, upadłszy z wysilenia, by po jakimś spoczynku ciągnąć z wysiłkiem dalej, byle tylko uniknąć niewoli. Tu potrzeba było sprowadzić owych śpiewaków i mowców pełnych junaetwa z bruków Warszawy, a ten widok z tej choroby byłby ich wyleczył. Wojna, to nie zabawa; wszelka zaś, choćby udatna gadanina, to wiatr pusty jedynie.

W drodze do Różanny mijaly nas pospieszne pociągi wojskowe, spiesząc po rannych. Była zatem nadzieja, że jeszcze wielu uratują przed niewolą, bo szwadrony nasze, trzymające aryergardę, będą zwolna ustępować, a w nocy nieprzyjaciel naprzód się nie posunie. Dojechaliśmy do Różanny właśnie, gdy już cokolwiek się rozwidniło. Teraz mogłem widzieć mego towarzysza. Był to porucznik z 2-go pułku ułanów, nazwiskiem Tarczyński czyli Tarczewski, które to nazwisko usłyszałem, gdy nas lokowano do drogi. Stan jego był okropny: rękę lewą miał przestrzeloną, z prawego boku krew płynęła. Białą jak kreda, mało w nim już było

życia. Nadszedł jakiś lekarz, zdaje się z piechoty, a kiedy mu się przypatrzył, przywołał ludzi i kazał go zdjąć z wózka. Co do zmiany podwody, powiedziano mi, że nitylko wszystkie, jakie sprowadzone zostały, zajęte, ale jeszcze znajdują się ranni czekający na podwody, i kazano mi, bym tąż podwodą dalej jechał. Sądziłem, że przynajmniej sam pozostanę, wkrótce przecież przyniesiono mi współtowarzysza. Był nim porucznik Kuliński z 2-go pułku strzelców konnych. Ten, chociaż bardzo poraniony, był jednakże przytomny.

Pomimo, że nakazywano pośpiech, musieliśmy się przecież zatrzymać, gdyż konia, który miał odbywać dalszą drogę, koniecznie trzeba było popaść. Ruch tu był wielki, wszystko ustępowało, maroderów nawet popychano naprzód.

Po śmierci jenerała Kickiego, dowództwo brygady naszej objął jeneral Turno i tenże aryergardę w odwrocie naszej armii prowadził. Ponieważ pułk nasz do tej brygady należał, on też po całodziennym udziale w boju, trzymał następnie, jak powiedziałem, straż obozową, a na teraz w odwrocie zasłaniał armią, utrzymując aryergardę. Niedziw zatem, że miał konie zniszczone; od początku bowiem kampanii, jak wykazałem obroty jego, nie był bynajmniej pieszczonym (a były przecież niektóre pułki, których oszczędzano), i żołnierzy zaledwie została trzecia część z tych, którzy garnizony opuścili. Kiedy pisałem wspomnienia o tym pułku, szło mi jedynie o to, by wykazać sumiennie i jaknajdokładniej wszelkie ruchy, jakie odbywał on w tej wojnie, a wielką byłoby niesprawiedliwością, by te ślady, które krwawo znaczył, były przez kogoś, ktokolwiekby nim był, zacierane. A właśnie zaciera je *Pamiętnik* jen. Dembińskiego. Od czasu kiedy po raz pierwszy byliśmy pod jego dowództwem, operując przeciw jenerałowi Sakenowi w Ostrołęce, a następnie kiedy postępowaliśmy naprzód, już w Miastkowie zawiadomiono nas, że pułk przydzielono do dywizyi jenerała Gielguda, z którym Dembiński był w nieporozumieniu i już w Łomży od tego korpusu się oddalił do sztabu głównego. A że wówczas

naczelny wódz zaproponował Dembińskiemu wyprawę do Litwy, nią więc już tylko był zajęty; oddział zaś, który stanowiął poprzednio jego komendę, prócz naszego pułku, wysłał pod dowództwem pułkownika Sierakowskiego, w którym był także nasz jeden szwadron 3-ci pod komendą Janowicza, błakał się gdzieś po za Łomżę; żadnej więc na teraz nie miał komendy, wiadomości zatem o dalszych ruchach wojska przez niego spisane, są co najmniej niedokładne.

Z pod Tykocina, jak się wyżej powiedziało, w różnych kierunkach nastąpiły ruchy wojska; nasz pułk, zwrócony do właściwej brygady, przez Zambrów postępował ku Ostrołęce, i zatrzymano go pod Kleczkowem, gdzie cała dywizya jazdy jenerała Skarzyńskiego, do której i nasza brygada należała, została skoncentrowaną i tu właśnie pozwolono rozkulbaczyć konie, a było to przed Ostrołęką, nie zaś po drugiej stronie, jak utrzymuje jeneral Dembiński. Gdy zaś po zaalarmowaniu ruszyliśmy w pochód, przeszliśmy Ostrołękę i Narew pod wieczór, a następnie pozostawiono nasz pułk pod Omulewem, zaś reszta dywizyi mogła przejść za rzekę, gdyż wówczas i więcej wojska różnej broni przez most przechodziło, a nie zwracało to naszej uwagi.

W zwyż wspomnianym *Pamiętniku* na stronniocy 210 i 211 największa jest sprzeczność z faktami. Zaraz zrana, kiedy się rozpoczął żywy ogień naprzód w Ostrołęce, a następnie przy mostach, jak powiada jeneral Dembiński, ruszył na pożyczonym koniu, będąc przy sztabie, zatem bez żadnej komendy, ku mostowi właśnie w chwili śmierci jenerała Kickiego. Zaprawdę, ta relacya, gdyby nie była jako wspomnienie nawet zbyt bolesną, byłaby śmieszną; bo co mógł robić jeneral Kicki wówczas przy moście, kiedy swą brygadę miał przy Omulewie i właśnie całą porządkował, by na każde wezwanie być gotowym, a w takim razie każdy dowódzca, jak wiadomo, jest na swoim miejscu, iżby go w potrzebie nie szukać. Nie mógł więc błędzić, jako wolontaryusz; a przeto tym razem jeszcze nie zginął, nastąpiło to o wiele

później. Byli już i tacy piszący, którzy mu zginąć kazali pod Grochowem, a przecież nie jako duch Banka, ale we własnej osobie w wielu bitwach później dowodził. Ot, piszą niektórzy, byle pisać to co słyszeli od słyszących, a inni znów, jak im każe potrzeba, a najczęściej kieruje nimi *Vanitas!* Następnie w tymże *Pamiętniku* nagania generał Dembiński, jak zwykle, różne rozporządzenia wojska; czy słusznie, lub nie? roztrząsać nie jest moją rzeczą, to tylko winienem dodać, że ogólna była w całym wojsku opinia, iż sztab główny był w tym dniu bez głowy!

Jest jednakże w rzeczonym *Pamiętniku* niedokładność, o którą mi najwięcej chodzi. Generał Dembiński, wytykając tamże niestosowne użycie kawaleryi, którą na wielkie narażono straty, a bezużytecznie, winien był wiedzieć i zapewne wiedział, jakie to pulki do tej szarży były użyte; a wymienił tylko pułk 2-gi ułanów z 2-giej brygady dywizyi generała Kazimierza Skrzyńskiego, kiedy przecież 1-sza brygada z tejsze dywizyi przed południem już w bój była wprowadzona i pułk 2-gi strzelców konnych w tej szarży także wielkie poniósł straty.

Tu więc jest niedokładność, bo w *Pamiętniku* generał Dembiński w relacyi z owej bitwy, dywizyą jazdy generała Skarżyńskiego dopiero ku wieczorowi na linię bojową wprowadza, kiedy ta, już od kilku godzin, była w pierwszej linii i największe z jazdy, biorącej udział w tej bitwie, poniosła straty; a generał Kieki z tejsze dywizyi na czele swej brygady przed 2-gim pułkiem ułanów poległ. Sam zatem piszący tę relację sobie zaprzecza, chociaż zamiełza o stracie 2-go pułku strzelców konnych, a ubolewa nad stratą 2-go pułku ułanów; temsamem mimowolnie przyznaje, że ta dywizya była już użyta wcześniej, a że i nasz pułk był w tej dywizyi w brygadzie generała Kickiego i bardzo ciężkie poniósł straty, miałem obowiązek tę niedokładność wyjaśnić.

Baterya gwardyi artyleryi konnej, którą pułkownik Bem w najkrytyczniejszej dla nas chwili przyprowadził, nietylko

powstrzymał posuwanie się kolumn piechoty nieprzyjacielskiej, ale zadawszy im bardzo ciężkie straty, zmusił znaczną jej część do cofnięcia się. A wykonał to pułkownik Bem samodzielnie, jak to wszystkim oboenym było wiadomo, i jemu tylko wyłącznie zasługa się należy i nie się ztąd nikomu uszczknąć nie da. Co zaś do zaimprovizowanej asekuracyi tejsze bateryi aż czterema pulkami, i to ściągniętymi z ostatnich linii, jak to nadmieniał generał Dembiński, to troskliwość jego o tę baterya jest zbyt wielką.

Każdy wojskowy to rozumie, że bateryi konnej od piechoty nie grozi niebezpieczeństwo, chyba w takim razie, gdyby się dała obejść, co wówczas w otwartym polu nie mogło być nastąpić. Że zaś cała kawalerya moskiewska była za rzeką i ani jeden szwadron nie znajdował się po naszej stronie, niebezpieczeństwa więc i ze strony kawaleryi nie było, a to tem więcej, że tu w pierwszej naszej linii stała kawalerya, w oczach której ten ruch bateryi się odbył i ona potrafiłaby ją w razie potrzeby obronić — i byłibyśmy z pewnością tak zrobili.

Co do owych czterech pułków kawaleryi, szkoda, że Dembiński, jako świeżo mianowany generał, nie użył ich, jak się zwykł wyrażać, do stratowania owych batalionów grenadyerskich Szachowskiego. Co się starym pułkom nie powiodło, możeby nowemi dokonał. Drzwi do sławy szeroko miał otwarte, a gorąco jej pożądał.

Po tym ustępie, który uważałem za niezbędny w obronie pułku, wracam do swojej biedy.

Za zbliżeniem się naszej aryergardy, wzmógł się popłoch, ruch się zwiększył i kto tylko mógł, wynosił się. Nasz woźnica także ruszył ku Szelkowie i tu spotykać można było rannych. Z początku koń szedł jakotako, ale coraz bardziej słabnął. Na szczęście przed Szelkowie minęła nas aryergarda, złożona z naszych szwadronów, prosiłem kolegów, by tam jaką furmankę obmyśleli. Kiedyśmy stanęli w Szelkowie, powiadano, że już straż tylna miała wsiadać

na koń, co jednakże nie nastąpiło, bo żywiono konie zgłodzone, ale zastaliśmy przygotowaną przez ten czas dla nas podwodę i zaraz w dalszą udaliśmy się drogę. Marsz naszego wojska był bardzo pospieszny, i mówiono, że jak tylko wojsko pod Serockiem przez rzeki się przeprawi, zaraz mosty zostaną rozebrane. Te alarmujące wiadomości spowodowały ów gorączkowy pośpiech, by się jak najprędzej dostać do owych mostów.

Że na teraz podwodę mieliśmy dobrą, zatem drogi sporo ubywało. Dojeżdżając do Pultuska, można było widzieć oddziały różnej broni naszego wojska, które po wypoczynku w dalszy pochód wyruszyło. To robiło nadzieję, że się dostaniemy na czas do mostów. Czyli w istocie miano te mosty rozebrać, lub nie, niewiadomo, ale wieść ta maroderów nawet do pośpiechu nagliła.

W Pultusku już z większą gorliwością zajmowano się rannymi. Pozostawiono tu ciężko rannych, którzyby dalszej drogi nie wytrzymali, zapewne by ich opatrzyć; przygotowano posiłek dla tych, którzy w dalszą drogę udać się mieli. Miejscowi obywatele gorliwie się tem zajmowali, ale cierpiący więcej o napój, niż o posiłek prosili. Brak i tu także był podwód, bo rannych ciągle przybywało i wielu jeszcze czekało na podwody, a byli także między czekającymi i z naszego pułku. Właśnie, kiedyśmy czekali na podwodę, nadszedł podoficer Brzeziński z 1-go szwadronu, ranny w lewą rękę, który czekał, żeby się jakim sposobem posunąć dalej, bo już mu sił brakowało, gdyż ciągle szedł pieszo. Gospodarz, który nas przywiózł, widząc naszą biedę, oświadczył sam, że nas dalej powiezie, tylko konie popasie. Widać, że był zamożny, bo koniom dał nie trawy, ale owsa. Bardzo byliśmy mu wdzięczni za tę chętną ofiarę, gdyż w takim stanie przenosiny z wozu na wóz bardzo były bolesne. Brzeziński także się cieszył, bo mu powiedział, że i jego zabierze.

Nasz pułk nadszedł i zajął miejsce do wypoczynku po drugiej stronie miasta, bo od Szelkowa inny pułk był

w tylnej straży. Nadejście jego zaniepokoiło będących w mieście, bo sądzono, że tworzy on jeszcze aryergardę. Uspokoili nas Brzeziński, mówiąc, że widział w mieście oficerów, którzy tamże przyszli, by się pożywić i mówili, że aryergarda jeszcze nie tak prędko nadejdzie. To mnie uspokoiło, chodziło tylko o to, by się weześnie, nim pułk nadejdzie, dostać do mostów, a że przy przeprawie oficerowie nasi zaopekują się nami, to było pewne i potrzebne, bo można się było spodziewać wielkiego ścisku.

Wyjechaliśmy z Pultuska. Z początku, dopóki gościniec był wolny, drogi ubywało, ale posuwając się coraz dalej, spotykaliśmy wozy z rannymi, różne pociągi wojskowe, a bliżej Serocka gościniec zupełnie był zapehany. W żaden sposób nie można się było wyminąć, musieliśmy zatem w tej ściśniętej kolumnie wozów z wolna naprzód się posuwać. Zwłoka ta dla cierpiących była bardzo dotkliwą, a tu żaden z rannych nie był opatrzonym, bo w pospiesznym odwróceniu nie było na to czasu, a z każdą długą jak wieczność dla cierpiącego godziną, cierpienie to zwiększało się. Wszędzie też tylko jęki słyszeć się dawały, a w dodatku dokuczliwe robactwo i palące słońce ostatek sił wycieńczało.

Przy moście na Narwi stała kompania piechoty. Wszystkie pociągi zatrzymano tu i robiono miejsce dla wozów z rannymi, które przed innemi przeprawiano. Toż samo działo się i na drugim moście na Bugu, a kiedyśmy się już przeprawili, ustala przynajmniej ta ciągła niepewność i obawa przed niewolą. Teraz chodziło tylko, by się można jaknajprędzej dostać do Warszawy. Mój kolega podróży Szaser, już od jakiegoś czasu zupełnie się nie odzywał, oddech miał bardzo ciężki, skutkiem rany w boku. Wzniecał moją obawę, że do Warszawy nie dojedzie. Mnie także już przedmioty zaczęły się dwoić, trzeba więc było pośpiechu. Mówilem Brzezińskiemu, by traktował z tym, który nas przywiózł, o dalszą drogę, a ile będzie żądał, to zapłacę, bojąc się przenosin. Bardzo pocieszającą przyniósł Brzeziński odpo-

wiedź, że nas bez żadnej zapłaty do Warszawy zawiezie, bo ma także syna w wojsku w pułku 18-tym plockim i chce się o nim dowiedzieć, a skoro tylko konie popasie, zaraz dalej pojedzie. Warszawę zna dobrze i zawiezie nas tam, gdzie będziemy chcieli.

Spokojni już pod tym względem byliśmy i czekaliśmy tylko końca popasu. Robił się wieczór i nateraz przynajmniej różne robactwo przestało nam dokuczać. Tak Szaser, jak ja, nie mieliśmy nakrycia głowy, kaski niewiadomo gdzie pozostały, i dlatego taką nam przykrość sprawiało robactwo. Tu wojsko nasze różnej broni, rozłożone do obozowania, spokojnie biwakowało po tyłu trudach. Ależ jak było przerzedzone! Każdy, kto z tej morderczej bitwy ocalał, bez szwanku, mógł coś o szczęściu powiedzieć.

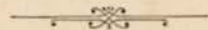
Nasz poczciwy woźnica ruszył w dalszą drogę. Chłód nocny cokolwiek nas orzeźwiał. W drodze spotykaliśmy różne oddziały wojska dążące ku Pradze, jakoteż parki artylerji, co wstrzymywało naszą jazdę, chociaż wszędzie jest względ na rannych. Równy ze dniem stanęliśmy na Pradze. Tu także na moście był ścisk wielki, przechodziło wojsko, wszędzie zatem nasuwała się zwłoka dla cierpiących. Poleciłem Brzezińskiemu, iżby się udał do oficera, pełniącego służbę przy moście dla utrzymania porządku, by nas nie zatrzymywano.

Jakoż kazał on natychmiast zrobić miejsce do przejazdu. Kazałem wprost jechać do głównego lazaretu do Ujazdowa. Na ulicy Nowy Świat zatrzymano nas.

Zbliżył się już niemłody mężczyzna i rzekł: „Panowie jedzcie do Ujazdowa, tam już zupełnie niema miejsca; ale tu jest zakład, gdzie się można pomieścić, więc proszę. Jest doktor i wszelka możliwa opieka.“

Z wdzięcznością przyjęliśmy pomoc. Zniesiono nas do parterowego pokoju, a poczciwy gospodarz, który nas przywiózł, ze łzami pożegnał.

Zaraz zawiadomiono doktora, który nad tym zakładem miał opiekę, że przywieziono rannych. Lekarz wkrótce przybył z pomocą, oraz dwóch felerów, i niezwłocznie wzięli się do dzieła. Łatwo pojąć cierpienie przy opatrywaniu, bo prawie dwie doby upłynęły od poniesienia ran, które już zapuchły. Krwią zbroczone ubranie, by nas z niego uwolnić, na sztuki pocięto.



CZEŚĆ TRZECIA.

Po klęsce pod Ostrołęką, wojsko nasze w znacznej części przeszło za Wisłę, by się po stratach skompletować. Szczególnie jazda potrzebowała skompletowania i wypoczynku, miała ona bowiem nietylko braki w ludziach i koniach, ale w dodatku w niektórych pułkach, z powodu dalekich i bardzo pospiesznych marszów na gwardye, wśród upałów i przy braku dobrego a dostatecznego furażu, znajdowały się konie zupełnie zniszczone, a temsamem do służby na teraz niezdadne.

Z powodu, że wszystkie lazarety wojskowe przepelnione były rannymi, urządziła Warszawa także zakłady lecznicze i po prywatnych domach. Czy takowe były utrzymywane z dobrowolnych składek, czy też utrzymywało je miasto ze swych funduszów, tego nie wiem, to pewna, że podobnych zakładów była dość znaczna liczba naówczas. W takim to zakładzie, jak poprzednio powiedziałem, zostaliśmy umieszczeni i tam zaraz nietylko naszą odzież, ale i nas krajano.

Jak się później dowiedziałem, w zakładzie tym, gdzie i ja leżałem, było łóżek dwanaście, a wszystkie zajęte przez rannych. Z pomiędzy tych, dwóch odbyło amputacyą, mianowicie kapitan Zaorski z piechoty, stracił rękę; porucznik Osowski, także z piechoty, nogę; wyjęto zaś kilka kul podoficerowi Brzezińskiemu, który z nami przyjechał i odjęto dwa palce u lewej ręki. Przez cały pierwszy tydzień, jak opowiadał felezer, nasluchał on się różnej komendy rannych

leżących w gorączce. Wszysey jednakże byliśmy spowici, by w tym zapale nie porozdrażniać ran, ruchami odpowiedniami komendzie. Jak się później pokazało, amputacya udała się szczęśliwie.

Po paru tygodniach, aczkolwiek bardzo osłabiony, byłem przecież już przytomny. Zapytałem lekarza przy opatrywaniu, czyli dano wiadomość do pułków o znajdujących się w zakładzie rannych? Na to odpowiedział mi tenże, że zameldowano do placu. Prosiłem go przecież, żeby można zawiadomić wprost pułki. Mój kolega podróży Szaser wzniecał obawę lekarza, gdyż rana w jego boku była ciężką i późno opatrzoną. Lekarz rachował na młodość, że go przecie przy życiu utrzyma.

Tak upłynęło jeszcze parę tygodni, a żadnej o pułku nie miałem wiadomości i to mnie niepokoiło. W zakładzie, gdzieśmy się znajdowali, mieliśmy jaknajtroskliwszą opiekę, wszyscy więc, stosunkowo do odniesionych ran, stopniowo do sił przychodzili.

Jakoś niespodziewanie w rannej godzinie odwiedził mię kolega z tegoż samego co i ja szwadronu, nazwiskiem Wroński. Ani wyrazić nie zdołam radości, jakiej na jego widok doznałem. Po serdecznem uściśnieniu, on widząc mnie jeszcze bardzo osłabionym, nie chciał trudzić dłuższą bytnością, a powtóre, był w interesie służbowym, więc spieszyć się musiał, powiedział mi tylko, że pułk nasz stoi w bliskości Warszawy około fabryki broni pod Marymontem. Przyobiecował wszakże, że innym razem na dłuższy czas mię odwiedzi.

Zawiadomienie po pułkach wysłane z zakładu, spowodowało koleżeńskie odwiedziny. Nie było dnia, żeby ktoś nie przyszedł, po największej części jednakże z piechoty. O niczem nie mówiono, jak tylko o kompletowaniu się po stratach. W kilka dni po bytności Wrońskiego, nadszedł Guzowski. Był on z innego niż ja szwadronu, ale razem zostaliśmy ranni pod Mińskiem, choć on szczęśliwszym był, gdyż rana jego już się podgoiła, a z pod Ostrołęki wyszedł

obronną ręką. Ujrzawszy mnie w tym stanie, widocznie był rozrzewniony; i on krótko się zatrzymał, bo był także po służbie. Podoficer Brzeziński z jego plutonu, który leżał razem z nami, powiedział mu, że wkrótce będzie się starał wrócić do szwadronu. Ponieważ brak był wielki podoficerów, bardzo się tem oświadczeniem ucieszył Guzowski.

Minęło kilka tygodni, a jakoś żaden z kolegów się nie pokazał. Sądziłem, że pułk zmienił stanowisko. Niespożyta młodość i mnie sił dostarczać zaczęła, a z ich przybytkiem trzeba było pomyśleć o swem gospodarstwie. — Czekałem z upragnieniem przybycia którego z kolegów. Przybył nareszcie powtórnie Wroński i zastał mnie siedzącego już na łóżku, a widząc znaczne polepszenie, szczerze się ucieszył. Tym razem opowiedział mi różne szczegóły naszej klęski, dalej różne nowiny, mianowicie, że podpułkownik Żółkiewicz objął tymczasowo dowództwo pułku, ale jeszcze służby nie pełni, jako słaby po wypadku pod Ostrołęką; że major Klewczyński, chociaż był także lekko ranny, znajduje się przy pułku i zastępuje dowódcę; że z korpusu Dwernickiego wrócili major Wierzchlejski i porucznik Kotowicz; że szwadron 3-ci Janowicza, odkomenderowany przed bitwą Ostrołęką, nie wrócił i zdaje się, że z korpusem Giełguda poszedł na Litwę; że straty w pułku wielkie; że nadesłano rekrutów z rezerwy i przyprowadzono surowe konie, a praca ciężka, brak oficerów a nadewszystko zdatnych podoficerów do uczenia, dlatego ani godziny nie mamy wolnej. W końcu muszę ci powiedzieć, rzekł Wroński, że koń twój ranny i wskutek tego kulawy, zatem do służby frontowej już na teraz niezdatny, pozbądź go, jak będzie można, gdyż szkoda go żywić; uprosiłem go, by się tem zajął.

Na to odrzekłem Wrońskiemu: gdy to wszystko, coś mi powiedział, zestawię z tem, co się tu stało, bilans będzie taki, że mi prawie nic nie pozostało; konia straciłem, a tu zaraz na wstępie odzież na sztuki na mnie pocięto, by mnie z niej uwolnić, bo cała była krwią przesiąknięta. Trzeba

będzie na nowo o wszystko się starać, a na to i sił i środków za mało. Zamyślił się Wroński chwilę. Żle! rzekł wreszcie, potrzeba temu jakoś zaradzić. Przy pożegnaniu prosiłem o przysłanie mi mego ordynansa.

W kilka dni po bytności Wrońskiego, przyszedł do mnie rano kapitan Zieliński, komendant naszego szwadronu. Po serdecznem powitaniu, wręczył mi zaległy żołd, który, jak mówił, może mi się przyda. Wkrótce pożegnał on mnie, bo właśnie rozpoczęło się opatrywanie rannych. Widocznem było, że poczciwy Wroński opowiedział mu moje kłopoty. Wkrótce także po odejściu kapitana nadszedł mój ordynans. Przywitałem go jak przyjaciela, gdyż nim był w istocie; jemu to winienem, że nie został zatratowany, będąc rannym, jak również, że nie dostał do niewoli. Poczciwy stary wiarus miał lzy w oczach, widząc mnie w tym stanie.

Oj! oj! cóż to tu biedy! — powiada.

A ja mu na to: cóż robić — co się stało, już się nie odstanie! Teraz potrzeba o innej biedzie pomyśleć. Powiedział mi porucznik Wroński, że koń mój własny już jest do użycia niezdatny; ale jak tam moje konie, służbowy i juczny i co mi tam jeszcze zostało, bo tu na mnie mundur pocięto i nie niema do ubrania.

— O! niechno tylko Bóg da zdrowie, to tam się jeszcze niema tak bardzo o co turbować, odrzekł zacny mój ordynans; koń tak służbowy, jakoteż juczny jest dobry i dobrze wyglądają, jest w jukach kompletny uniform, pałasz z pendentem i pas z ładownicą; zabrałem kask, u którego luszczyki pękły; przy spadnięciu z konia podniósł pan podoficer Jarczyński i wszystko jest w zupełnym porządku.

Podziękowałem mu serdecznie za te oznaki przychylności, polecając mu i nadal opiekę nad moją pozostałością aż do mego powrotu.

Kolega Szaser, przysłuchując się tej relacji, pożegnał odchodzącego wiarusa także bardzo serdecznie, a po jego odejściu powiedział, że mi go zazdrości. Zaprawdę było

czego, bo jemu miałem wiele do zawdzięczenia, a po tem, com od niego usłyszał, już mi wszystko nie tak czarno się przedstawiało, jak to sobie poprzednio wyobrażałem.

Staranie o chorych w zakładzie było wielkie. Codziennie opatrywano nas dwa razy, mianowicie rano i wieczór. Zacny doktor Gutowski trzymał się w tem punktualnie godziny. Skutkiem tej jego troskliwości ci, którzy byli lżej ranni, już po ośmiu tygodniach do pułków wracali. Wyprosił się także doktorowi podoficer Brzeziński, chociaż z niezagoną jeszcze ręką, ale utrzymywał, że chociaż do służby frontowej jeszcze niezdatny, uczyć będzie przeciw rekrutów. Liczba chorych co tydzień się zmniejszała i zesłała do połowy. Cieszyło mnie, że i kolega Szaser szybko, chociaż był ciężko raniony, przychodził do zdrowia.

Przy takim opatrywaniu, droczyliśmy się z zacnym naszym lekarzem, żeby nas przecie już z tej niezasłużonej niewoli uwolnił; że nie tylko przebrano nas tak, iż się sami poznać nie możemy, w lazaretowe szlafroki, wiązano jakby jakich złoczyńców, niemilosiernie głodzono, ale jeszcze siedzieć musimy w tem więzieniu. Uśmiechnął się dobrotliwie na te zażalenia; cieszyło go, że widzi błogie skutki swej troskliwości i odpowiadał: „Wiedźcie panowie młodzi, że cierpliwością wszystko się zwycięża; przyjdzie i na was kolej, zostanie tam jeszcze i dla was Moskali!“

Po dziewięciu tygodniach ręka się mi podgoiła, którą przy spadnięciu z konia będąc rannym rozraniłem i zacząłem się już uczyć chodzić o kuli i naprawdę myśleć o powrocie do pułku. A że jeden z felezerów, nazwiskiem Sokalski, który bywał przy opatrywaniu, znał dobrze, jak mówił Warszawę, więc prosiliśmy go, by nam sprowadził ubiorezego, któryby nas umundurował. A tych naówczas nie brakowało. Kiedy zawezwany nadszedł, umówiliśmy się z nim o nasze potrzeby, bo i kolega Szaser miał także mundur pocięty. Przy tej umowie o nasze ubrania, zwróciłem mu uwagę, by miał wzgląd na naszą chudą kieszeń.

— A tożbym już miał ciężki grzech, bym panów w takim położeniu obciążał! Inna rzecz z tymi panami, co im mundur na to tylko potrzebny, by w nim paradować po mieście; niechże za tę paradę chociaż dobrze płacą! — odrzekł krawiec.

Zabawiła nas ta szczerza otwartość. Prosiłiśmy go o pośpiech, wkrótce też wszystko było odniesione, dokładnie według tego, jak było zamówione. Z roboty byliśmy zadowoleni, a jeszcze więcej z rachunku, który był istotnie bardzo skromny w owym czasie, za co podziękowaliśmy mu uprzejmie.

Minał jakiś czas, a żaden z kolegów nie pokazał się, co mnie bardzo niepokoiło, kiedy niespodzianie i to bardzo rano wszedł Guzowski i rzekł:

— Przyszedłem cię powitać, a zarazem od siebie i od kolegów pożegnać. Wychodzimy! Dokąd? — nie nam nie wiadomo. Poczem uściskał mnie, odszedł. — Bardzo mnie ta wiadomość zasmucila. Kiedy pułk stał około Marymontu, zatem w bliskości, ciągną miałem z nim styczeń przez kolegów, wiedziałem dokładnie, co się z moją pozostałością dzieje, a teraz, gdyby poszedł na linię bojową, co się z tem wszystkim stanie? Zatem nowa troska. Że w zakładzie już rannych była niewielka liczba, więc po opatrzeniu prosiłiśmy wielce szanownego naszego lekarza, by się zatrzymał na pogadankę i coś nam przecie z nowin powiedział. Na to odezwał się lekarz: „Nowin, któreby was pocieszyć mogły, niema żadnych. Z każdym dniem zwiększa się nieukontentowanie w mieście z powodu, że wielka liczba wojskowych płacze się po Warszawie bez żadnego zajęcia, a liczba takich z każdym dniem się zwiększa i są ciężarem dla miasta. Armia nasza stoi tak długo beczynnie i nie stawia żadnej przeszkody przy przeprawie nieprzyjaciela przez Wisłę przy granicy pruskiej, poniżej Płocka, a to trwogą przejmuje obywateli.“ Bardzo przykre te nowiny zrobiły na nas wrażenie.

W parę dni po bytności Guzowskiego, wszedł oficer Grabowski z tego co i ja szwadronu. Jak mówił, był w interesie służbowym, ale pragnął mnie chociaż na chwilkę odwiedzić. Powiedział on, że pułk nasz stoi naprzeciw Modlina, że wrócili z korpusu Dwernickiego, dawniej w naszym szwadronie będący, major Wierzchlejski i porucznik Kotowicz i że praca wielka z nauką rekrutów i surowych koni, a przytem brak wielki zdolnych podoficerów. Ponieważ służba nagliła, odszedł, krótko zabawiwszy; przecież ucieszyła mnie wiadomość, że pułk stoi nie bardzo oddalony, bo miałem nadzieję, że już wkrótce do niego wrócę.

Było to jakoś ku końcu lipca, gdy nadszedł, jak zwykle zrana, nasz lekarz, celem opatrywania nas. Kiedy spojrzeliśmy na niego, uderzyła nas zmiana na jego twarzy, na której był rozlany wielki jakiś smutek. Gdy się skończyło opatrywanie, powiada: „Muszę panom udzielić bardzo przykrych nowin, która bądź co bądź, zawszeby do nich doszła. Oto korpus Gielguda wszedł do Prus, on zaś został przez jakiegoś oficera zastrzelony. Miasto po tej wiadomości jest bardzo wzburzone, obawiają się jakiegoś nieładu, zaś właśnie ci, niby to wojskowi, co się nigdy bić nie idą, najwięcej w mieście robią hałasu, a to pewna, że do tego przyczynia się bardzo zły zarząd, ponieważ tacy krzykacze uliczni winni z miasta być wydalen; przyczynia się do zniechęcenia także długa beczynność wojska, które się w takim razie demoralizuje. Wieczorem udzielię panom dokładniejszych wiadomości.“

Zaprawdę, dosyć już było złego, o jakim od kilku dni słyszeliśmy, by nas ciężki smutek ogarnął. Jakaż rzewna boleść ścisłała piersi, bo upadek łatwym był do przewidzenia. Od początku widziało się ciągle błędy w dowództwie, niekorzystanie, jak można było, z odniesionych zwycięstw, uzyskanych nadzwyczajnem mężstwem żołnierzy; wszędzie widoczną była zawiść, samolubstwo, zamiast bezinteresownej łączności; niejednokrotnie nawet były wypadki, że generałowie w najważniejszej chwili nie wspierali jedni drugich,

ulegając brzydkiej pasyi zazdrości. Wychodziło to wszystko na szkodę kraju, a nie było silnej ręki, by każde takie przezwinięcie bezwzględnie i jaknajsurowiej ukaranem zostało.

Z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy wieczornej wizyty lekarza. Zwykle kilka razy dziennie przychodził felezer Sokalski, ale ten w nas jakoś nie budził ufności, bo, jak się sam wygadał, należał on do klubu patryotycznego, reprezentowanego w Honoratce, a bardzo wstrętnego dla wojska w obozach. Były wówczas znane dwie kawiarnie na Miodowej ulicy, które zwano Honoratka i Dziurka; wiele się tam zlego działo, co nie powinno było być cierpianem, ale to niektórym w ich nieczystych widokach dogadzało, jak się to w końcu pokazało. Lecz, że wypadki zaszły ważne, ciekawość skrupuły nasze przemogła i zapytałem go, co słycać w mieście? Zaczął opowiadać, „że oburzenie jest wielkie na naczelnego wodza, iż takiego zdrajcę wybrał na dowódcę na Litwę, który taki piękny korpus zaprzepaścił; że bez strzału pozwolił on Moskałom przeprowić się przez Wisłę, a sam wygodnie w obozie przez ten czas wysypiał; że tak rząd obecny, jakoteż wódz naczelny wkrótce zmienionym być musi.“

Jeszcze większy nas smutek ogarnął, bo z tego, cośmy od niego usłyszeli, widocznem było, że są jakieś knowania i że się burdy ulicznej spodziewać można, bo nie było to jego własne zdanie, ale powtarzał tylko to, co w klubach radzono, a wszystko złe tam miało swój początek, stek to był bowiem krzykliwych blagierów. Z tem większą niecierpliwością czekaliśmy na przybycie doktora. Zaledwie przybył i chorych opatrzył, a Sokalski zaraz po opatrywaniu się oddalił, ponieważ mu pilno było po nowiny, powtórzyłem doktorowi, co on nam powiedział.

Wtedy rzekł doktor: „Z przykrością przyznać muszę, że umysły w mieście są bardzo wzburzone, a zdaje się, że do tego publiczność jest z planu podżegana. Towarzystwo, tak zwane patryotyczne, publicznie z tem występuje, że

zmiana zupełna jest potrzebna, a najwięcej hałasu robią ci pseudo-wojskowi, którzy od początku wojny bruki po Warszawie zbijają. Tych przedewszystkiem potrzeba by było wydaląć, a przytem, jeżeli dłużej wojsko jak dotąd będzie nieczynne, za spokojność w stolicy ręczyć nie można. Tych niepokojuw właśnie uczeiwi i rozsądni ludzie obawiają się, bo one pogorszą położenie, które i tak już świetnych nie roknie nadziei.“

Wysłuchawszy tej smutnej relacyi, powiadam: „Ponieważ Pan jesteś za wydalaniem wojskowych z miasta i to bardzo słusznie, a my dobrowolnie radzibyśmy się wydaląć, lecz Pan na to zezwolić nie chcesz, przyjdzie w końcu do tego, że znajdzie się ktoś energiczny, który nas wypędzi w tych oto mundurach, w jakieście nas tu przybrali.“ Rozśmiał się serdecznie lekarz i rzekł: „O to jestem zupełnie spokojny, że was nikt bez mojego pozwolenia nie wywali.“ I tak jakoś zatarło się cokolwiek to przykre wrażenie, jakie na nas złe wieści wywarły.

Widząc, na co się zanosi, pragnęliśmy jaknajspieszniej opuścić Warszawę i udać się do pułków. Przy tej więc sposobności prosiliśmy doktora, by nam pozwolił poprzednio, nim się wydalimy, oswoić się ze świeżem powietrzem, którego po długim zamknięciu w zakładzie zażyć pragniemy. Odpowiedział, że się z tem zupełnie zgadza i jeżeli jutro będzie dzień pogodny, pozwoli. Wielce nas tem ucieszył. Dnia następnego, zaraz rano po wizycie doktora, prosiliśmy felezera Sokalskiego, by nam jaką niewykwintną dorózkę sprowadził; a dlatego chcemy rano wyjechać, by uniknąć ścisku i gorąca. Jakoż wkrótce dorózka nadjechała i udaliśmy się do ogrodu w Łazienkach. Wysiadając, półzartem powiadam do dorózkarza, by nam za użycie świeżego powietrza po długim zamknięciu nie kazał zbyt drogo zapłacić. Uśmiechnął się i mówi: „Bądźcie o to Panowie spokojni.“

W ogrodzie, chociaż to była godzina poranna, zastaliśmy już wiele osób. Chętnie ustępowano nam miejsca do

spoczynku, ale przytem zarzucano pytaniami. Było to nużące, bo wpływ powietrza zupełnie nas rozstroił i to tak dalece, że drzewa w ogrodzie zdawały się w naszych oczach tańczyć. I zupełnie się ziszcilo, co doktor przepowiedział, że nam tylko się zdaje, iż już jesteśmy silni, a złudzenie to pokaże się przy zetknięciu z powietrzem. Znużeni, zaledwie niespełna godzinę zabawiliśmy w ogrodzie. Powróciwszy, chciałem zapłacić doróżkarczowi, ale tenże, pokłoniwszy się tylko, odjechał. Mocno nas to zdziwiło. Przy wieczornej wizycie pytaliśmy felezera Sokalskiego, co się może temu doróżkarczowi należeć, którego nam sprowadził, to zapłacimy. Zaręczył nam, że nietylko ten, ale żaden inny nie od nas nie weźmie, o czem jutro się przekonamy. I tak było w istocie. Parę razy jeszcze byliśmy w ogrodzie, a żaden zapłaty od nas nie przyjął. Ponieważ nas powietrze skrzepiło, stanowezo żądaliśmy powrotu do pułków, na co nasz opiekun zezwolił wreszcie musiał. Zaraz przeto po wizycie, udaliśmy się do placu, by nam dano marszrutę i podwody, ażeby już dnia następnego wyruszyć w drogę.

W placu powiedziano nam, że dywizya jazdy jenerała Kazimierza Skarżyńskiego, do której nasze pułki należą, stoi obecnie naprzeciw Modlina, pomiędzy wsiami Trusków i Łosiawola i tam je znajdziemy. Podwody na oznaczony czas nakazano. Załatwiwszy najgłówniejszy interes, udaliśmy się za różnemi a niezbędnemi sprawunkami, aby dnia następnego zaraz po wizycie wyruszyć w drogę. Prosiłem Sokalskiego, by nam dobre podwody i to rano sprowadził. Dałem mu na nie nakaz. Chętnie on zawsze robił wszystko, cośmy od niego zażądali, bo miał dobre serce, ale był wielki zapaleniec. Jak tylko dzień się zrobił, poczęliśmy składać nasze manatki. Nadszedł i lekarz raniej niż zwykle, by nas opatrzeć. Widział tę gorączkową niecierpliwość, z jaką czekaliśmy na podwody, a gdy te nadeszły, uściskaliśmy zacnego doktora, który tak starannie nas pielegnował, jak również pozostałych jeszcze kilku kolegów i Sokalskiego, — opuściliśmy zakład po jedy-

nastu tygodniach, a z nim razem i Warszawę. Tylko te różne wieści, któreśmy w Warszawie słyszeli, bardzo nas przygnębiały.

Dzień był pogodny, podróż przyjemna, powietrze czyste, którego po zamknięciu przez tyle tygodni byliśmy spragnieni. Przed wieczorem stanęliśmy u kresu podróży, a jako towarzysze niedoli pożegnaliśmy się serdecznie i każdy z nas udał się do swego pułku. Kiedym ja swój odszukał, przyjęto mnie jak w rodzinie szczerze się kochającej, a mój stary, poczciwy ordynans, nacieszyć się nie mógł z mojego przybycia. Wszystkie moje efekta znalazłem w wielkim porządku, konie także bardzo dobrze utrzymane, co mnie bardzo ucieszyło. Zastalem wiele zmian w pułku. Opowiadali mi koledzy, że kłeska pod Ostrołką była dla nas bardzo ciężką, i w naszym szwadronie zginął oficer Bagiński, zastąpił go Matusowicz, który także wkrótce zginął, i ja zcstalem ranniony; dwóch podoficerów, Wolski i Czapliski zabici, wreszcie sześciu żołnierzy zabitych, prócz kilku rannych. Jak na jeden szwadron, to dosyć. Nielepiej się działo i po innych szwadronach.

Zastalem w moim plutonie prawie trzecią część żołnierzy z rezerwy przybyłych i jednego podoficera. Przez cały czas pokoju, jaki naówczas był w naszym wojsku, pracowano nad nimi i byli już niezłe przeuczeni. Że już wieczór się zbliżał, mówili mi koledzy, iż wkrótce usłyszę koncert, który codziennie, jak tylko sprzyja pogoda, smutne myśli chociaż na chwilę rozpędza. Stała muzyka pułkowa przed frontem i długo w noc grała różne sztuczki, jakie w owym czasie były ulubione. Przytem w przestankach muzyki śpiewano, w końcu odegrano capstrzyk i wszystko się ucieszyło. W istocie, czas zeszedł przyjemnie, ale mnie uderzyła zmiana w organizacyi muzyki na lepsze, i o to się kolegów pytałem. Powiedziano mi, że w powrocie z pod Ostrołki, kapelmistrz nasz umarł dotknięty cholera, której uległo także kilku żołnierzy. Kiedy zaś pułk stał około Marymontu pod Warszawą,

zgłosił się na teraz będący kapelmistrz, mówiąc, że jest rodem z Czech, i został przyjęty, a pokazało się wkrótce, że posiada w swym zawodzie uzdolnienie. Muzykę pułkową uorganizował on dobrze, sam zaś, nie tylko że dobrze gra, ale niezłe śpiewa. Zebrał kilku młodych podoficerów, cokolwiek poduczył śpiewu i prawie codziennie przed capstrzykiem bawi pułk muzyką i śpiewami, a pomimo brzydoty (był bowiem przez ospę bardzo zeszpecony), jest jednakże w pułku lubionym. Pokazało się później, że ta jego szpetna fizyognomia dawała mu prawdziwe świadectwo, bo był szpetnym nie tylko na ciele.

W parę dni po mojem przybyciu do pułku, rozeszła się wiadomość w obozie, że generał Dembiński ze znacznym oddziałem wojska powrócił z Litwy. O ile ta wiadomość ucieszyła wszystkich, o tyle więcej utyskiwano na bezczynność, że się nią żołnierz zdemoralizuje. Zdaje się, że powrót Dembińskiego przebudził z ospałości sztab główny, gdyż zaraz na drugi dzień nakazano gotowość do marszu, czem się wszyscy nadzwyczajnie ucieszyli.

Równy ze dniem zrobił się ruch wielki w obozie. Pułki przed nami stojące ustępowały, ale przecie naprzód. Przyszła kolej i na nas. Coraz dalej postępując, wchodziliśmy w okolicę więcej lesistą, a same nazwy wsi wskazywały, że to są karczowiska. W dniu tym powietrze było parne, cisza zupełna, zatem marsz nużący, a na przyczynę robactwo dokuczliwe. Ku wieczorowi stanęliśmy obozem na kraju lasu pod Kampinosem. Przed nami stały już szwadrony Legii Nadwiślańskiej, które pierwszy raz ujrzyliśmy, na prawem zaś skrzydle karabinierzy. Za ledwie rozłożyliśmy się do obozowania, dał się słyszeć w oddaleniu grzmot, a cisza zupełna zdawała się zapowiadać wkrótce burzę. Jakoż niedługo dała ona na siebie czekać: zerwał się wielki wichur, napędził chmury i zaczęła się ulewa z piorunami, ale tak gwałtowna, że wkrótce staliśmy w wodzie. Chociaż burza z nawałnicą przeszła, deszcz jednakże bardzo rześisty nie ustawał, z drzew

się lalo, nie było się gdzie schronić, a chociaż staliśmy w lesie, ognie palić było niepodobieństwem. I taka słota trwała całą dobę, każdy był przemoczony do nitki. Sądziłem, że po tej kąpieli jeszcze nie bardzo silny, będąc się musiał wrócić do Warszawy, gdy się jednakże słońce pokazało i twarze się jakoś rozjaśniły. Jeszcze nie mieliśmy czasu się obsuszyć, a już nakazano dalszy pochód.

Okolica, którą teraz przechodziliśmy, była także leśną, lecz po za wsią, zwaną Grabina, ku Trojanowu widok się rozszerzył. Stanęliśmy na spoczynek pod Sochaczewem, już późnym wieczorem. Furgony nas odszukać nie mogły i dopiero późno w nocy nadeszły, a to się często zdarzało, ponieważ źle bywały zawiadamiane. Rano wyruszyliśmy w dalszy pochód i przechodziliśmy przez Skotniki, Daryszów, a przed wieczorem stanęliśmy pod Bolimowem, gdzie już znaczne siły naszego wojska różnej broni były rozłożone. Tu zajęliśmy przeznaczone dla pułku stanowisko do obozowania.

Teraz zdawało się, że przecie po długiej a tak dla wojska wstrętnej nieczynności, rozpoczną się jakieś kroki zaczepne przeciw skoncentrowanej armii nieprzyjacielskiej, stojącej pod Łowiczem, pod dowództwem Paszkiewicza, który po śmierci Dybicza objął naczelne dowództwo wojska moskiewskiego.

Wojsko słuszne miało przyczyny oburzania się na naczelnego wodza; raz z powodu, że nie stawiał żadnej przeszkody przeprowadzeniu armii nieprzyjacielskiej przez Wisłę; powtóre, że dozwolono jej zająć silną pozycją pod Łowiczem i wzmocnić Arkadyą szancami, przez co przy ataku wojsko nasze na znaczne straty narażone być musi. Wzmagala się więc niechęć z każdym dniem, a nie brakło jeszcze, jak się zdawało, pod tym względem podmuchu agitacyi, o czem, będąc w Warszawie, mogłem się przekonać.

W parę dni po naszym przybyciu pod Bolimów, zapowiedziano Mszę połową, na którą zebrać się miało wojsko, a po niej miał nastąpić atak. Msza odbyła się z wielką

paradą, po niej zaś przemówił wódz naczelny, że ufa w Bogu, iż się atak powiedzie, bo zawsze rachuje na męstwo żołnierzy. Na co wojsko z zapalem odpowiedziało, że pragnie tylko iść do boju! Ale na tem się wszystko skończyło, a w dniu następnym, tak samo jak w poprzednim, wojsko stało beczynnie.

Teraz już nietylko z każdym dniem, ale z każdą godziną wzmagała się niechęć w wojsku. Obwiniano naczelnego wodza, że zamiast się bić, bawi się w dyplomacyą i wdaje się w jakieś układy, które nas tylko zgubić mogą; słowem, rozchodziły się teżsame wieści, które, będąc w Warszawie, słyszałem, że po klubach były ciągle głoszone.

Mówiono przecie w Warszawie już wówczas, że zmiana naczelnego wodza wkrótce nastąpić musi. Te i tym podobne złe wiadomości nie mogły dobrze usposabiać wojska. Czułoby, że jakaś katastrofa wkrótce nastąpi, obawiano się kontr-rewolucyi, z której armia nieprzyjacielska, przed nami skoncentrowana, z pewnością skorzystać zechce.

Więści poniekąd sprawdziły się. Rozkazem dziennym ogłoszono, że generał Skrzynecki z woli rządu złożył naczelną dowództwo wojska, które ma objąć generał Dembiński. Wiadomość ta sprawiła wogóle wielkie zdziwienie, ale powiedziałbym, mniej korzystne dla przyszłego wodza, w naszym zaś pułku dosyć przychylne, bo w wielu potyczkach bywaliśmy pod jego dowództwem, i znaliśmy go z energii nateraz bardzo potrzebnej, lecz w wielu pułkach, które go mało, albo wcale nie znały, mniej chętnie.

Wyżsi oficerowie, po większej części z przymieszką zazdrości, przyznawali mu energią, zdolność na organizatora powstania, słowem, na partyzanta, lub na dowódcę najwyższej korpusu, nie zaś na naczelnego wodza, sądząc, że całkiem wojskiem władać nie potrafi. Przebijająca się wszędzie źle tajona zawiść, bądź jak bądź zawsze na szkodę sprawy ogólnej wychodząca, bo ufność w wodza podnosi zapal żołnierza, a w ogólnem zniechęceniu była tego zapalu wielka potrzeba.

Wszyscy jednakże byli zdania, że przy tej zmianie beczynnie, jak dotąd, gnuśnieć przecie nie będziemy. W obozie panowało jakieś ożywienie, zdania się ścięrały za i przeciw przyszlemu naczelnemu wodzowi, chociaż tenże jeszcze dowództwa nie objął. Wkrótce jednakże pogłoska się sprawdziła. Przybył generał Dembiński i nastąpiła formalność zdania komendy w obecności członków Rządu Narodowego. Jak przewidzieć było można, przyjęcie przez wojsko nowo-mianowanego wodza dość było chłodne, a to zależało głównie od dowódców dobrze lub źle względem niego usposobionych, bo tu już partye znacznie się uwidoczniły, a pojawienie się cywilnych w obozie, których o różne wicherzenia słusznie czy niesłusznie posądzano, bardzo źle przez wojsko było widziane.

Zaraz na drugi dzień po objęciu dowództwa przez generała Dembińskiego, nakazano gotowość do marszu, który miał nastąpić w nocy. Rozkaz ten wszystkich dobrze usposobił, gdyż nieczynność pomimo partyj, dla wszystkich nad wszelki wyraz była wstrętną; a że mieliśmy zapowiedziany marsz w nocy, wszyscy byli bardzo ożywieni. Muzyka, jak zwykle, stanęła przed pułkiem i grała, to naprzemian śpiewano. Po capstrzyku wszystko się uciszyło i zbierano się do marszu. Z północy zatrąbiono na koń i ruszaliśmy w pochód, ale bardzo zdziwieni, że ku Warszawie, zatem się cofamy. Maszerując za Umin, rozeszła się pogłoska w pułku, że nasz kapelmistrz uciekł w nocy z pod Bolimowa do nieprzyjaciela; a kiedyśmy stanęli po za wsią Czerwonką dla popasu, ze smutkiem dowiedzieliśmy się, że owa pogłoska jest prawdziwą; był to więc agent i pospieszył, by nieprzyjacielowi o naszym ruchu nocnym donieść.

Dywizya jazdy generała Skarżyńskiego była w tym odwoście na naszym lewym skrzydle, a naszą brygadę, do tejże dywizyi należąca, stanowiły pułki: 3-ci i 5-ty ulanów pod dowództwem brygadiera Gawrońskiego. Ponieważ nasz pułk był w arygardzie, więc przechodziło około nas wojsko nasze różnej broni, spiesząc ku Szymanowu. Kazano i nam

w tymże kierunku postępować. Dochodząc do Szymanowa, zatrzymano pułk. Piechota nasza z dywizji generała Ramorino spiesźnie przechodziła za wsią groble i mosty, pozostał tylko jeden batalion z 5-go liniowego pułku piechoty, łącznie z którym nasz pułk stanowić miał aryergardę. Różne jeszcze wozy, do parków artylerji należące, przechodziły groble i mosty, a bardzo je nagłono do pośpiechu, bo już w oddaleniu zaczęły się ukazywać zmasowane kolumny wojska nieprzyjacielskiego, które szybko się zbliżały, a przeważnie widoczną była wielka siła kawaleryi. My, rozwinięci szwadronami przed Szymanowem, staliśmy zwróceniem do nieprzyjaciela, a batalion pozostawiony posunął się ku mostom, by popchnąć tabory do pośpiechu w przeprawie. Nieprzyjaciel, zbliżywszy się pospiesznie, wysunął artylerją i zwrócił ogień na wieś, która wkrótce stanęła w płomieniach, a szczególnie rozwinął silny ogień przy drodze, by nam odwrót utrudnić. Odpowiadały wprawdzie nasze działa z za rzeki, nie przeskodziło to jednakże szerzeniu się pożaru, a skoro tylko batalion przeszedł groblę, my, odłamami trójkami, pędem koni przechodziliśmy między palące się po obu stronach drogi budynki i przez groble, gdzie na nas zwrócony był gwałtowny ogień działowy. Straciliśmy przy tej przeprawie kilku żołnierzy, a porucznik Rola miał zabitego konia i sam otrzymał mocną kontuzję. Z wielką trudnością został on z placu bitwy uprowadzonym, by się nie dostał do niewoli. Mosty zaraz za nami zrzucono.

Przy przebyciu grobli, uformowani szwadronami, cofaliśmy się w porządku. Bój na całej rozległej linii rozszerzył się, piechota nasza zacięty opór stawiała posuwającemu się nieprzyjacielowi, a nasz pułk stanowił w odwrocie lewą flankę. Naciskały nas masy kozactwa, a byli to kozacy gwardyi, tak zwani atamańscy, co wskazywało, że główne siły za nami postępują. Kozacy, jak zwykle rozsypani, w ślad za nami się posuwali, nie atakując jednakże ustępujących szwadronów. Nasłuchaliśmy się jedynie pisku i różnych epitetów moskiew-

skich; kule tylko działowe robiły nam szczyrby w szeregach, a po każdym wypadku, kozactwo jak stado kruków na tę krwawą zdobycz się rzucało. Przechodziliśmy przez wsie Gole i Bojowice. Wszędzie ludność z przerażeniem przed zbliżającym się nieprzyjacielem uciekała, ujrawszy go po raz pierwszy, a to nam ruchy utrudniało. Pod wieczór uciechły działa, zwolniał znacznie ogień artylerji i ogień ręcznej broni, wojsko nasze cofało się już późnym wieczorem. Pułk nasz zwinął szwadrony, i rotami przeszedłszy miasteczko Blonie, stanęliśmy pod wsią Rokitne do obozowania. Dzień był pogodny, ale wieczorem zaczął deszcz padać, który się coraz bardziej wzmagał, odpoczynek zatem niebardzo będzie wygodny, a że przeszła noc maszerowaliśmy z pod Bolimowa, w dzień brali udział w boju, zatem byliśmy znużeni i głodni, tu zaś nadmiar złego, dopiero późno w nocy nadeszły nasze furgony. Rozbierano furaz i żywność, przyczem rozchodzić się zaczęły głuche wieści, że w Warszawie, kiedy ją furgony opuszczały, rozpoczęto kontr-rewolucyę.

Bardzo te wieści zaniepokoiły nas, jako stojących przed nieprzyjacielem, który zapewne dnia następnego zechce skorzystać z tej okazji. Chociaż byliśmy bardzo znużeni, nikt już o spoczynku nie myślał. Z wielką niecierpliwością oczekiwano dokładniejszych wiadomości, bo różne niepokojące wieści lotem błyskawicy po całym obozie rozchodziły się, a jedne z drugimi sprzeczne. Nad ranem nadszedł rozkaz do marszu. Musieliśmy bardzo wolno postępować, gdyż gościniec ku Warszawie literalnie był zapehany tak wojskiem różnej broni, jak przeróżnymi taborami i niejednym raz musiano się zatrzymywać, by się jakoś przewidniało. Już z południa zbliżyliśmy się ku Warszawie, a przechodząc wśród szańców, zajęliśmy oznaczone dla pułku stanowisko, około Mokotowskich rogatek, między szańcami.

Tu dowiedziano się dokładnie o wypadkach nocy 15-go sierpnia. Nie da się opisać zgrozy, jaką te wiadomości wywarły, ogólnie w wojsku, jak również i w naszym pułku.

Oburzenie było wielkie na niedołęstwo Rządu, że nie ukrócił samowoli, a ogólny był głos, by ówczesnego gubernatora Warszawy pociągnięto do surowej odpowiedzialności; by dalej pseudo-patryotyczne Towarzystwo, nienawidzone w wojsku, któremu wszystko złe przypisywano, rozpędzono; wreszcie by winnych kanibalizmu pod sąd wojenny oddano i doraźnie ukarano, a przytem, by się domagano, ażeby ogłoszono odezwę, iż wojsko ten czyn niekzemny samowoli potępia.

Wszystko coraz bardziej zwiększało nieukontentowanie w wojsku. Nieustannie obiegające wieści o zmianach w naczelnem dowództwie ani na chwilę nie ustawały, a to tak dalece, że nie wiadano, kto istotnie wojskiem dowodzi; a kiedy się rozeszła pogłoska, że generał Krukowiecki został prezesem Rządu, wzmogła się niechęć, bo posadzano o różne intrygi. Przytem niepowodzenie doznane na linii bojowej, utrzymywało wojsko w wielkiem rozdrażnieniu, a przyczyniała się jeszcze do tego jakaś jakby z pod ziemi agitacya, i to tak dalece silna, że i żołnierze, dotąd tak karni, zaczęli się w służbie opuszczać, szemrać i widocznem było zniechęcenie.

To ogólne niezadowolenie w wojsku z wypadków w Warszawie przedstawiono Rządowi, bo wkrótce przysłano i do naszego pułku odezwę drukowaną, która, jak mówiono, w mieście miała być ogłoszoną, a opiewała ona, że wojsko bardzo potępia morderstwa w nocy 15-go sierpnia popełnione i żąda ukarania winnych. Jakkolwiek ta manifestacya ówczesnego Rządu nie była wystarczającą, bo tu potrzeba było nie słów, ale ukarania winnych, zlagodziła jednakże oburzenie. Co do ukarania winnych, nibyto szukano ich, ale tak, by znaleźć nie było można, chociaż o nich dobrze nawet i w obozie wiadano. Wszystko to razem wzięte demoralizowało wojsko, a ludziom szczerze kochającym kraj niewypowiedzianą boleść sprawiało, bo koniec tego krwawego dramatu łatwym był do przewidzenia — wypadki wielkie, a ludzie mali — mali zawiścią i próżnością.

Cała nasza armia, skoncentrowana pod Warszawą, zaczęła wkrótce uczuć dotkliwy brak wszystkiego. Uszczuplono furaz dla koni, chociaż i dotąd nieobfity; o słomie, czyli materacach, jak ją zwaliśmy, ani mowy już nie było; brak drzewa do gotowania czuć się dawał, a przyszłość z każdym już dniem coraz czarniej się jeszcze przedstawiała, bo z jednej strony Warszawy stała cała armia Paszkiewicza, a z drugiej do samych okopów Pragi docierały patrole z korpusu Rozena. Byliśmy więc zupełnie oblężeni! I w takiej to, nad wszelki wyraz krytycznej chwili, tak w Rządzie, jak również między dowódcami wojska tłała niezgoda. Z każdą godziną rozchodziły się pod tym względem jaknajgorsze wiadomości.

Zwiększyło się jeszcze, o ile to już być mogło, oburzenie, w tem naprężeniu, gdy się rozeszła wiadomość, że znaczny oddział wojska naszego i dwa działa, wysłane na rekonesans, z powodu braku przezorności komenderującego, zabrane zostały przez nieprzyjaciela. Dawały się już słyszeć głośnie złorzeczenia na niedołężny rząd i na dowódców, słowem, na wszystko i na wszystkich. Jeden i ogólny był głos w obozie, by iść do boju, i że w tem położeniu wojsko ani chce, ani może dłużej pozostać, bo musiałoby głodową śmiercią wyginąć.

W naszym pułku wielkie zaszły zmiany. Bardzo się przeredzili starzy żołnierze, podoficerów starszych zostało także bardzo mało, co zaś do oficerów, to jedni wyszli z awansem do innych pułków, inni wyginęli, słowem, z dawnego pułku została tylko nazwa, bo nas nie oszczędzano. Szwadron 3-ci pod komendą Janowicza wysłany do Litwy, chociaż z generałem Dembińskim powrócił, stracony był dla pułku, a stanowił na teraz kadre 13-go pułku ułanów. Pułk nasz więc obecnie składał się tylko z trzech szwadronów, a dowodził nim podpułkownik Żółkiewicz, bo Pawłowski jako pułkownik, zastępował brygadiera. Major Kleszczyński, chociaż awansował na podpułkownika, pozostał w pułku.

Podezas teraźniejszego obozowania pułku pod Warszawą, weszło doń kilkunastu młodzieży Litewskiej, przybyłej z Janowiczem, a odróżniali się oni tem od naszych, że mieli płaszcz z zielonego komiśnego sukna, którego używają na mundury żołnierzy moskiewskich, i dlatego w szwadronach zwano ich „Zieleniakami.“

Że wojsko nasze nie mogło nadal pozostać w krytycznem położeniu, w jakim się obecnie znajdowało, zwolano więc radę wojenną, na której uradzono, by odeprzeć korpus generała Rozena, który patrolami docierał aż pod okopy Pragi. W tym celu przeznaczono znaczny korpus pod dowództwem generała Ramorino, do niego przydzieloną została także nasza brygada, którą naówczas składać miały pułki 3-ci i 5-ty ułanów, oraz szwadrony Legii Nadwiślańskiej. Pod wieczór zapowiedziano gotowość do marszu, jednakże nie było wiadomo, dokąd się udamy. Sądziliśmy, że to będzie jakiś silny rekonesans.

Nadeszły nasze furgony, rozdano żywność i furaz, a żołnierze rozbiegli się za wodą i drzewem, o które to artykuły było bardzo trudno. Znajdował się w szwadronie naszym żołnierz wielkiej siły, nazwiskiem Nabor, i on właśnie został wysłany z trójki, bo tylko trójka miała kociołek do gotowania, by wyszukał gdzie drzewa na paliwo. Wówczas kończono bardzo pospiesznie szańce, ciosano palisady, tam więc udał się Nabor w nadziei, że może uda mu się trzasek uzbierać. Oficerowie dozorujący roboty, siedzieli na niewbitych jeszcze palisadach, a widząc zwijającego się żołnierza, pytają go: Czego ty ulanie szukasz?

— Chcąc się pożywić, szukam drzewa do gotowania — odpowiada Nabor.

Na co jeden z oficerów, żartując mówi: Chodzisz około drzewa, a drzewa szukasz...

— A, — bo tego wziąć nie wolno — rzekł Nabor.

— A wziąłbyś? — żartuje oficer dalej — no, jak weźmiesz, to ci pozwolimy.

— E, pan porucznik żartuje — śmiejąc się, powiada Nabor.

— Ale nie żartuję, jeżeli tylko weźmiesz, to ci pozwolimy.

Żołnierz przypatrzył się palowi, podniósł go za ociosany koniec, podsunął się, by go zrównoważył na ramieniu — i pomaszzerował. Oficerowie zdumieni się, a widząc to robotnicy przy szańcu, wykrzyknęli: Zuch ulan! Ale kiedy żołnierz przyszedł przed szwadron i zrzucił palisad, kapitan Zieliński ujrzawszy to, bardzo go zestrofował, jak się mógł poważyć brać materyał fortyfikacyjny. Chociaż się żołnierz tłumaczył, że mu oficerowie pozwolili, uwierzyć nie chciał i rąbać zakazał.

Gdy zaś do szańców nadszedł trzeci oficer, opowiedziano mu, co się stało. W żaden sposób uwierzyć on nie chciał, ażeby taki palisad mógł udźwignąć jeden człowiek. Jakoż wkrótce nadeszli ku nam owi trzej oficerowie i zatrzymali się przy owym palisadzie. Kapitan, domyślając się o co chodzi, chciał się tłumaczyć, gdy ciż powiadają, że chcieli zażartować sobie z ulana, ale on z nich lepiej zażartował. Zeszło się nas więcej, bo to dość było zabawne. Zawołano tedy żołnierza, któremu niby za karę kazano palisad napowrót odnieść. Wziął on go, jak poprzednio, na ramię i pomaszzerował, wrócił jednakże bardzo ucieszony, bo za ten żart dostał kilka złotych.

Podezas noey w cichości przeszliśmy Warszawę. Nikomu wówczas na myśl nie przyszło, że ją widzimy po raz ostatni. Za Pragę stanęliśmy w okopach, zwróceniem frontem ku gościńcowi, prowadzącemu ku Siedlcem. Przechodząc przez Pragę, widzieliśmy także zbite kolumny piechoty i znaczne parki artylerji. Cieszył nas ten widok i myśl, że się przecież jakaś akcja rozpocznie. Skoro się tylko cokolwiek rozwidniło, wyruszyliśmy z pomiędzy okopów. Odkomenderowano z naszego pułku pierwszy dywizyon, to jest szwadrony 1-szy i 2-gi pod komendą majora Wierzchlejskiego będące, dodano

jedną kompanię piechoty z garnizonu Pragi — i tym oddziałem dowodzić miał podpułkownik Kleszczyński.

Oddział ten udał się w pochód na naszą prawą flankę, postępując brzegami Wisły do miasteczka Karczewa. Gdyśmy się już doń zbliżali, zatrzymano nasz szwadron 2-gi i z nim po pewnym umówionym czasie miał major Wierzchlejski z frontu na Karczew uderzyć, zaś jeden szwadron i kompanię piechoty pod dowództwem podpułkownika Kleszczyńskiego podprowadzić miał lasem przewodnik znający miejscowość, by wziąć tył nieprzyjacielowi. My, sformowani plutonami, po jakimś czasie ruszyliśmy naprzód, a kiedyśmy przeszli przez mały lasek zasłaniający nas, dały się widzieć przed nami widety i placówka. Gdy nas widety dostrzegły, dawszy parę strzałów na alarm, pędem wraz z placówką posunęły się do miasteczka, lecz my siedzieliśmy im na karkach; a kiedy i z przeciwnej strony od naszych dały się słyszeć strzały karabinowe, co mogło, w zupełnej rozsypce uciekało w lasy. W miasteczku wzięliśmy majora od ulanów, komenderującego posterunkiem, do niewoli; kapitan od kozaków został zabity, kilku żołnierzy także zabitych, kilkunastu znów wraz z końmi dostało się do niewoli. My mieliśmy dwóch żołnierzy ranionych. Posterunek w Karczewie składać się miał z dwóch szwadronów ulanów na karych koniach, podobnych do naszego 4-go pułku ulanów, i sotni kozaków, lecz zastaliśmy tylko jeden szwadron ulanów, 2-gi zaś wyszedł dniem pierwiej do Włodawy czy do Żelechowa, dokładnie nie wiedziano.

Po tej dość korzystnej potyczce, zatrzymano się pod miasteczkiem, by pożywić konie i żołnierzy. A że tu stali poprzednio Moskale, furaż więc dla koni był przygotowany, jak również i żywność, z czego skorzystano. Żołnierze ochoczo wzięli się do popasu, zadowoleni z pierwszego powodzenia. Że tu nad Wisłą zastaliśmy znaczną ilość drzewa nagromadzoną, zapewne na zbudowanie mostu, więc piechota

z nami będąca, zajęła się spiesznie spaleniem tegoż — i w tym celu zapewne z nami była odkomenderowana. Zwijało się kozaństwo po drugiej stronie Wisły, widząc, co się tu działo, ale zaradzić temu nie mogli.

Po odpoczynku i spaleniu drzewa, piechota, zabrawszy rannych i jeńców, udała się do Pragi, my zaś późnym wieczorem w dalszy pochód ku Żelechowu, na które to miasto mieliśmy zrobić podobną wyprawę. Zachodziła wątpliwość, czyli nam się ten zamiar powiedzie, bo jeżeli rozprószone posterunek z Karczewa udał się do Żelechowa, będzie tam niezawodnie wielka czujność i posterunek będzie przez przybyłych wzmocniony. A tu właśnie chodziło o to, by go niespodzianie obejść. Szwadron 1-szy z podpułkownikiem Kleszczyńskim, poprowadzony przez przewodnika, miał tego dopełnić, nasz zaś szwadron 2-gi, przy którym był major Wierzchlejski, miał z frontu na miasto uderzyć. Stać się to miało równo ze dniem. Ponieważ szwadron 1-szy obchodzić miał dalszą drogę, więc my postępowaliśmy zwolna, by przybyciem weześniejszem nie spłoszyć nieprzyjaciela. Stósownie do ułożonego planu, równo ze dniem zbliżaliśmy się do Żelechowa, sformowani plutonami, z których półszwadron miał postępować traktem wprost do miasta, po jednym zaś plutonie na prawo i lewo celem oskrzydlenia miasta. Zaledwie rozpoczęliśmy te ruchy, dały się słyszeć z przeciwnej strony wystrzały, co było dla nas hasłem do napadu. Ruszyliśmy galopem naprzód. Przed miastem około cmentarza stała placówka, zaalarmowana już strzałami z przeciwnej strony, a kiedy w dodatku nas z frontu spostrzegła, poszła w zupełną rozsypkę, oskrzydłona jednakże, prawie całkowicie dostała się do niewoli. Około miasta nastąpiła pogoń za pojedynczo rozpierzeniętymi kilkunastoma ludźmi, po większej części rannymi, między którymi był podoficer nazwiskiem Gersz. Jak mówił, był on rodem z Warszawy; wzięliśmy go do niewoli. Zdobyto także kilkanaście koni.

Mnie prawem zdobyczy dostał się koń Gersza, lecz że był kary, dlatego mój stary, bardzo przesądny, ordynans, pomimo że koń był okazały, niechętnie nań spoglądał.

Rozpędziwszy ów szwadron ulanów, oczyściliśmy tym sposobem prawą naszą flankę z posterunków, przez które komunikowały się korpusy Rozena i Rydygera. Czego dopełniwszy, mieliśmy się złączyć z głównym korpusem.

Mając konie pospiesznymi marszami i gonitwą dwudniową zmęczone, pozostaliśmy pod miastem na wypoczynek. Żołnierze byli z tej pomyślnej wyprawy bardzo zadowoleni.

Furażu i żywności było w mieście pod dostatkiem, pozwolono nam kilka godzin zasłużonego spoczynku. Nakazano podwoły pod rannych, zaopatrzone się furażem, o który zwykle bywało trudno, i ku wieczorowi wyruszyliśmy w pochód, który furmanki z rannymi i powodowe konie utrudniały.

Dnia następnego przed południem stanęliśmy pod Łukowem.

Tu zastaliśmy już znaczne nasze siły skoncentrowane, a był tu także i nasz jeden szwadron ze sztabem pułku. Nakazano pospiesznie żywić konie, bo się spodziewano, że wkrótce może nadejść rozkaz posunięcia się naprzód. Wyszowano nam powodzenia w tej wyprawie, z której ze zdobyczą powracamy, konie zdobyte po szwadronach rozebrano, a co najważniejsza, mówiono, że nieprzyjaciel w znacznej sile ma znajdować się przed nami i że tu zapewne nastąpi starcie. Jak się spodziewano, zaraz z południa ruszyły wojska nasze naprzód, a wysłane rekonesanse doniosły, że wojsko nieprzyjacielskie stoi w pobliżu, zupełnie uszykowane i zdaje się być gotowem do przyjęcia bitwy. Po tej wiadomości rozwijać się zaczęły także nasze siły i już w szyku bojowym posuwano się naprzód. Kiedyśmy weszli na wzgórze wsi, jak mi się zdaje, Maciejowice, ukazały się rozwinięte do boju wojska nieprzyjacielskie. Teraz rozpoczęła się walka na całej linii; bój zacięty trwał dość długo, szczególnie na polach wsi Poniaty, na których były małe, rozrzucone tu

i owdzie drobne laski jakby remizy, a za nimi chroniły się kolumny piechoty albo działa, i trzeba je było wypierać. Jednakże widocznem było, że nieprzyjaciel ustępuje, a w ślad za nim postępują nasi i ogień obustronnie ani na chwilę nie ustaje.

Najzaciętszy opór stawil nieprzyjaciel na polach wsi Krymka, szczególnie w samej wsi, z której w końcu nasza piechota wyparła go bagnetem już samym wieczorem. Ponieważ pułk nasz w tym dniu był na pierwszej linii, więc postępowaliśmy za łańcuchem tyralierów naszej piechoty, który się znacznie po za wieś posunął, ale gdy bój stopniowo wolniał, a w końcu ustał zupełnie i coraz więcej się mroczyło, zaczęto ściągać tyralierów, którzy szli przed nami, a pomimo to my rozwiniętymi szwadronami postępowaliśmy naprzód, dość już oddaleni od wsi Krymki, gdzie się wojsko nasze zatrzymało do obozowania. Obecnie szwadron nasz 2-gi był na przodzie, a przed nim na teraz podpułkownik Kleszczyński, a to dla tego, ponieważ podczas bitwy wypadło niejedną raz zmienić front, by spędzić z pozycyi działa ku wieczorowi. Było pochmurno i raptownie się mroczyło, więc zatrzymano szwadrony, ale ich nie zwinięto, czekając zapewne dalszego rozkazu.

Dla dokładnego ocenienia następstw nieściągnięcia szwadronów, muszę skreślić położenie miejscowości, w której się zatrzymaliśmy.

— Po lewej naszej stronie były bagna; środkiem szedł gościniec, a na nim dalej grobla i mosty; na prawo zaś niskie krzaki, nieopodal których właśnie przystaliśmy. Po jakimś czasie widocznem było, że jakaś kolumna bardzo pospiesznie ku nam się zbliża, zasłonięta owemi krzakami. Dostrzegłszy to podpułkownik, wysłał skrzydłowego podoficera, by się dowiedział, co to za kolumna? Tenże dojeżdżając do krzaków, pyta, co to za wojsko? Z kolumny była odpowiedź: „piechota!“ — którą i my słyszeliśmy. Kiedy podoficer z tą odpowiedzią chciał wrócić, krzyknął na niego

w gniewie podpułkownik, by się dowiedział, jaka piechota? Nie czekaliśmy jednakże długo na powtórna odpowiedź. Batalion dał do nas ognia, wskutek czego konie, po większej części nie dość ostrzelane, zwróciły się na zadzie i popchnęły inne w owe bagna na lewo będące, a popędzał je nieustający ogień rotowy. Pomimo nawoływania: stój! nasi! — stój! nasi! — w pierwszej chwili sądziliśmy, że to jakaś pomyłka, wśród ciemności przecież porządku utrzymać w tem nadzwyczajnem zamieszaniu nie było podobna. Mój pluton czwarty, stojący na lewym skrzydle szwadronu, został wtłoczony w bagno, z którego z wielką trudnością mogliśmy się wydobyć, szczęściem bez straty — zasłaniały nas bowiem inne plutony od strzałów. Batalion nieprzyjacielski po tej suchej łaźni, jaką nam sprawił, cofnął się właśnie w porę, nie czekając odwetu, bo na huk strzałów nadbiegł wkrótce batalion naszej piechoty, ale już wszystko uciechło. Zbieraliśmy się w zupełnej ciemności i kierowali na łuny naszych ognisk obozowych.

A kiedyśmy stanęli do obozowania, pokazały się dość znaczne braki w szeregach naszego szwadronu, chociaż była nadzieja, że jeszcze zblakani wśród ciemnej nocy, którzy stracili konie, nadejdą pieszo, kierując się na łuny ognia. Podpułkownik Kleszczyński stracił konia, kask miał zestrzelany na strzępy i cudem tylko uszedł śmierci, a podoficera Głowińskiego, który jeździł z zapytaniem, brakowało. Szwadron 1-szy, jako więcej oddalony, nie wiele skorzystał z tego traktamentu, chociaż i jemu się co-nieco dostało, ale najwięcej ucierpiał nasz szwadron, szczególnież pluton 1-szy prawoskrzydłowy.

Wielkie panowało oburzenie w pułku na Starzyńskiego, pułkownika Legii Nadwiślańskiej, który w dniu tym zastępował brygadiera, ponieważ on, kiedy korpus pod wsią Krymką stanął celem obozowania i piechota ściągnęła tyralierów, nie zatrzymał także szwadronów, które w szyku bojowym tak daleko naprzód się wysunęły, i dlatego to batalion

nieprzyjacielski, złożony także z tyralierów i spieszący ku gościńcowi, którym się jego korpus cofał, spotkawszy na swej drodze szwadron tak natarczywie legitymacyi żądający, dał do nas ognia, czego najmniej spodziewać się mogliśmy, i tym sposobem drogę sobie otworzył.

Całą zatem winę tej straty, jaką pułk poniósł, przypisywano pułkownikowi Starzyńskiemu i gdyby nie wypadki nagle po sobie następujące, byłby się musiał z tego tłumaczyć, gdyż podpułkownik Kleszczyński byłby tej sprawy nie zaniedbał. W dniu następnym bardzo rano wysłano oddział na pobojo-wisko, by ranionych z placu zabrać, a między nimi był podoficer Głowiński, zaś kilka koni było zranionych i uwiązniętych w bagnie z osłabienia. Zdjęto z nich okulbaczenie, a braki koni zastąpiono zdobytymi w poprzednich utarczках, jak się wyżej powiedziało, chociaż były innej maści. Różna już była mieszanina koni w pułku, z każdym dniem prawie był ubytek, jednym słowem pułk topniał, a jak to z przedstawienia widzieć można, nie oszczędzano nas bynajmniej; nie mogło zatem być inaczej, gdzie ciągle drzewo rąbia, tam i trzaski lecieć muszą.

Równy ze dniem wojska nasze obozowiska, posuwając się w tym kierunku, w którym dnia wczorajszego nieprzyjacieli ustępował. Pułk nasz miał trzymać aryergardę, nie bardzo się więc spieszył, a naglono tylko do pośpiechu te oddziały, które przed nami ustępować miały. Przyszła i na nas kolej. Przechodząc przez wczorajsze nocne pobojo-wisko, gdzie nas ów batalion na bagno wpędził strzałami, bardzo przykry mieliśmy widok: kilka naszych koni leżało na bagnach, a jeszcze tu i owdzie bielił się papier z wystrzelonych ładunków, któremi nas poczęstowano. Rozpatrzywszy się za dnia w miejscowości, uznać było potrzeba, że tylko przez brak należytej ostrożności narażono pułk na dotkliwą stratę, a tem przykrzejszą, że nieprzyjacieli nie poniósł żadnej.

Zbliżając się ku Międzyrzeczowi, doniesiono, że nieprzyjaciel uszykowany do boju, zdaje się stawiać tu będzie silny opór. Tu także skoncentrowany był prawie cały nasz korpus.

Zbliżając się ku miastu, rozwijać się zaczęły i nasze siły, a nasz pułk posunięto na naszą prawą flankę, jak to mogliśmy zauważyć, gdyż miejscowość była nam dobrze znana. Międzyrzecz stanowił tylolewny garnizon sztabu naszego pułku, a wszystkie miasteczka wraz z okolicami do Brześcia Litewskiego, w których stawały szwadrony, były nam bardzo dokładnie znane i dlatego zapewne wysłano pułk na prawą flankę, że jemu, jako znającemu miejscowość, łatwo będzie ominąć wszelkie przeszkody w posuwaniu się naprzód, gdyż znajomość terenu w czasie akcji jest nadzwyczaj ważną.

Uważaliśmy i jak ustawienie wojska wskazywało, że główny atak będzie zwrócony na miasto i nasze lewe skrzydło; prawe zaś niekorzystnym było do akcji tak dla jednej, jak i drugiej strony walczących, ponieważ rzecznica bagnista nie dawała przystępu dla artylerji, a trudna przez nią przeprawa i dla piechoty, jeżeli z miejscowością nieobeznana.

Skoro się tylko wojska ku sobie zbliżyły, rozpoczął się zaraz ogień tyralierski bardzo rześisty, wkrótce potem batalionowy, a dalej tu i owdzie na linii odezwały się działa, najsilniej jednak około gościńca prowadzącego do miasta. I na naszym lewym skrzydle bój był bardzo zacięty, piechota nasza szła kilkakrotnie na bagnety, bo sygnały bębnowe słyszeć się dawały, nieprzyjaciel wszakże stawiał silny opór. Na prawem naszym skrzydle tylko, ogień tyralierski trwał nieustannie, coraz bardziej się wzmagając.

W niewielkiem od nas oddaleniu, ku prawemu skrzydłu, stały nasze działa (lekkokonna bateria) kapitana Antoniego Fröhlicha, dotąd jeszcze milczące, a przy nich w asekuracji były szwadrony Legji Nadwiślańskiej. Mówiliśmy, że zdadzą tu one egzamin wojskowy pierwszej klasy, drugi stanowiąc będzie szarża na działa, albo na *carré* piechoty. Uważaliśmy, kiedy się rozpoczął ogień działowy i to bardzo silny także

na naszym skrzydle, a bój zawrzał gwałtowny na całej linii, przeważnie piechoty — asekuracja pomimo strat stała spokojnie. Osądzono, że będzie można z czasem dać im świadectwo dojrzałości, bo tu wcale dobrze zdają egzamin, a trwała ta próba dość długo, bo bitwa pod Międzyrzeczem była zaciętą.

Po bardzo silnym oporze, nieprzyjaciel spychany z pozycyi na pozycyę, już dobrze z południa wypartym został z Międzyrzecza i na całej linii ustępował. W ślad za nim postępowało nasze wojsko, bo ustępując w szyku bojowym, stawiał on ciągle opór. Skoro tylko nieprzyjaciel rozpoczął odwrót, kazano pułkowi naszemu posunąć się naprzód. Przeszliśmy jedną rzeczynę około wsi Stołpno w bród, a następnie drugą pomiędzy wsiami Stołpno i Dolsko. Druga rzeka jest znaczniejsza i tu właśnie znajomość miejscowości wielce nam pomogła. Tym sposobem znaleźliśmy się na naszej prawej flance znacznie wysunięci, właśnie wówczas, kiedy nieprzyjaciel zajął pozycyę pod wsią Rogoźnicą i chciał się w niej utrzymać. Tu wznowił się bój bardzo zacięty na całej linii. Nasz pułk z prawej flanki starał się oskrzydlać nieprzyjaciela i tym sposobem ruchy jego utrudniać. Gdy nas spostrzeżono, cofnęły się działa nieprzyjacielskie, które naszej piechocie w posuwaniu się naprzód szkodziły. Stało jeszcze dwa bataliony piechoty nieprzyjacielskiej, na które teraz nasze działa, uwolniwszy się od strzałów z przeciwnej strony, zwróciły gwałtowny ogień. Bataliony te, będąc rażone ogniem działowym i widząc się zagrożone z flanki, cofnęły się ku gościńcowi, a w ślad za nimi postępowała nasza piechota. Dochodząc do Rogoźnicy, w której najzaciętszą walkę prowadzono, weszły w największy war bitwy. Tu poprzednio batalion piechoty nieprzyjacielskiej, zrobiwszy zasadzkę po lewej stronie gościńca w budynkach, jak się zdawało, owczarni i w karczmie murowanej, kiedy się wewnątrz owczarnia od granata zapaliła, ustępując z płonącego budynku, został przez batalion 5-go pułku piechoty w części wykłuty, w reszcie wzięty w niewolę. Tych, co zrobili zasadzkę w karczmic,

ten sam los spotkał. Właśnie to po owym pogromie nadeszły owe bataliony, naciskane przez naszą piechotę. Wtedy dwa bataliony 5-go liniowego pułku, które tu właśnie już się zatłuszczyły, rzuciły się na nie z bagnietem w rękę. Walka była zacięta, o czem plac bitwy świadczył, ale waleczności tego pułku w dniu tym oprzeć się nie było podobna. Co niewykluczone, wzięto do niewoli. Wojsko nieprzyjacielskie cofało się bardzo pospiesznie na całej linii. Rozen w dniu tym poniósł bardzo dotkliwą klęskę w zabitych, rannych i wziętych do niewoli, a między ostatnimi była znaczna liczba oficerów różnych stopni. Jeneral Werpachowski, polak, w moskiewskiej służbie będący, został także jeńcem.

Po tej zupełnej porażce, wojsko moskiewskie cofało się bardzo pospiesznie ku Brześciowi Litewskiemu. O stawianiu oporu ani myślało, a nasza kawalerya, jak to mówią, deptała im po piętach. Chodziło nam o to, by nie dać zniszczyć mostu na Bugu pod Brześciem. Pod wieczór stanęliśmy pod miastem Białą do obozowania, a ludność wyległa, by nas jako znajomych powitać, ale bardzo wielu brakło. Straty w tych dniach mieliśmy dość znaczne: zginął oficer Prokopowicz, stary napoleoński żołnierz, podoficer i kilku żołnierzy, ale wzięliśmy za to sowity odwet za Krymkę. Jak to zwykle bywa, kiedy się wiedzie, wszystko było wesołe; opowiadano różne przygody dzienne, szczególnie przy przeprawie w bród przez rzeczki, gdzie się nie obeszło bez małej kąpieli. Projekta na przyszłość sypały się bez liku, a między innymi już najpóźniej za dwa dni mieliśmy zdobyć Brześć i układać niezawodny plan jego zdobycia, mianowicie, kiedy piechota pójdzie do szturm na most, wtedy kawalerya upatrzonym brodem przejdzie Bug w pław, by tył wzięty nieprzyjacielowi. Takie i tym podobne snuły się projekta, a to tylko pewna, że duch żołnierzy był wyborny i niezłomność jego przeczyła już sama owym z dowódców, którzy zniechęceni, lub mając niecne osobiste widoki, utrzymywali, że na wojsko rachować wiele nie można, ponieważ

ono bić się nie chce. Tym to niedowiarkom potrzebaby było pokazać plac bitwy pod Rogoźnicą, zasłany trupami, gdzie już nie pojedynczo, ale szyciami zabici leżeli, przytem ten nieporządny odwrót nieprzyjaciela, w ślad za którym gościnniec zarzucony był bronią, tornistrami, kaszkietami! A owe wysokie kity grenadyerskie, któremi cały gościnniec był zasłany! Każdy z oddziałów, który później tędy po aferze przechodził i na własne oczy owo pobojowisko widział, przyzna, że w powyższym opisie, jeżeli nie za skromnym, niema zupełnie przesady.

Zaledwie zrobiliśmy jeszcze jeden marsz ku Brześciowi w pościgu nieprzyjaciela, gdy nas powstrzymano, co mocno zdziwiło wojsko, że nieprzyjaciela pobitego nie ścigano, a następnie zakomenderowano zwrot. Z wielkiem naszym zdumieniem wykonywaliśmy bardzo pospieszny odwrót. Zawiadomiono wojsko, że przyczyną tego odwrotu, jest atakowanie Warszawy, więc spieszymy, by jej przyjść w pomoc. Ta więc fatalność, jakby przywiązana do naszej sprawy, ocala pobitego nieprzyjaciela, nie pozwalając nam korzystać z odniesionego zwycięstwa.

W ponurem milczeniu, z trwogą o stolicę, robiliśmy forsowne marsze. Niestety, gdyśmy dochodzili do Kałuszy, a inne oddziały zbliżały się już ku Mińskowi, nadjechał kuryer z wiadomością, że Warszawa kapitulowała, a cała załoga nasza wychodzi na Pragę. Nie byłbym w stanie opisać, jakie przerażenie wiadomość ta wywarła na wojsko. Niewysłowiona boleść rozpięła piersi, posiwiali w bojach nasi dowódcy ze łzami w oczach starali się nas młodszych uspokajać i wzniecać otuchę, że skoro jeszcze mamy broń w rękę, to sprawa niezupełnie stracona. I rzeczywiście mogłoby tak być, gdyby można było na czyjąś zdolność rachować, ale jak się już dostatecznie okazało, wypadki były wielkie, ale ludzie do nich nie dorosli. Uspokoić żołnierzy była rzecz trudniejsza, gdyż skłonni do podejrzeń, po tej przerażającej wieści, zlorzeczyli tak rządowi ówczesnemu, jakoteż dowódcz-

com, przypisując z małym wyjątkiem wszystko, jak zwykle w takich razach, zdradzie. I nie dziw, ludzie ci szli z bohaterską śmiałością w ogień, bez żadnych osobistych widoków, jedynie tylko z przywiązania do kraju, czego o niektórych dowódcach powiedzieć nie było można. A nie było to wojsku tajem, bo dowódcy, jedni drugich oczerniając, podejrzenie w żołnierzach może rozmyślnie dla własnych widoków szerzyli. Niebaczni! osłabiali zaufanie względem drugich, a sami go także nie zyskiwali i w końcu przyszło do tego, że żadnemu z wyższych dowódców nie wierzone. Bezczyminie zostać tu nie mogliśmy, nie będąc pewni, jaki obrót weźmie wojsko, które ustąpiło z Warszawy, a o czym nas z braku, jak się zdaje, stanowczej decyzji nie uwiadomiono. Jeżeliby ustąpiło ono ku Modlinowi i odsłoniło gościniec Siedlecki, przy którym rozłożeni staliśmy, to z Warszawy mógł być wysłany jakiś oddział znaczniejszy nieprzyjacielski, a tym sposobem moglibyśmy się znaleźć w trudnem położeniu i być wziętymi we dwa ognie, gdyż generał Rozen po naszym cofnięciu się, chociaż nieśmiało, przecież za nami postępował, domyślając się zapewne, że coś bardzo ważnego zajść musiało, skoro korpus po odniesionem zwycięztwie tak pospiesznie się cofa.

Jak tylko w nocy cały nasz korpus się zatrzymał, zwołano radę wojenną, na której jedni doradzali złączenie się z załogą Warszawy, by całemi wspólnemi siłami działać; inni znów byli za projektem a raczej go podstępnie podsuwali, by trzymając się Wisły, starać się przez nią przeprawić i uwiadomić o tém generała Różyckiego, by przyłożył się do tej wyprawy, o ile można; zaś po złączeniu się wspólnemi siłami pobić korpus Rydygiera, a tym sposobem oczyściwszy kraj po lewym brzegu Wisły, podstąpić pod Warszawę. Projekt był niezły, ależ łatwiej o projekt niż o jego wykonanie, tem więcej, że podejrzewano Ramorina i jego otoczenie o inne zamiary, i nie zupełnie mu ufano; projekt ten jednakże silnie ze sztabu popierany, chociaż nie jedno-

myślnie, został przyjęty, i wysłano kuryera, by o tem postanowieniu wojsko, które opuściło Warszawę, zawiadomić. O tej uchwale zebranej rady wojennej i nasz pułk uwiadomiono, umysły cokolwiek się uspokoiły, bo się o to w sztabie usilnie starano, by zyskać zaufanie; jednakże owego dawniejszego zapалу obudzić nie było można, bo tak po większej części dowódcy, jakoteż żołnierze, byli bardzo zniechęceni.

Zbierały się oddziały z różnych stanowisk, by siły całego korpusu razem skoncentrować. Wszyscy jednakże terazniejszą sytuacją byli bardzo przygnębieni, a to tem więcej, że nie wiedziano dokładnie o postanowieniu wojska, które Warszawę opuściło, a i tu nie obeszło się bez złych wieści, a w sztabie uporeczywie milezano, co wyzyskiwali niechętni.

Ponieważ robiliśmy bardzo forsowne marsze, spiesząc na odsiecz Warszawy, a to było napróżno, bo jak ogólnie sądzono, że to z planu, tak nasz korpus ze starych pułków prawie złożony od Warszawy oddalono, byśmy jej obrony w czasie ataku wzmocnić nie mogli. Ta zwłoka, jaka była na teraz potrzebną do zebrania się całego korpusu, posłużyła nam będącym ciągle w awangardzie, że konie chociaż cokolwiek wypoczęły, jednakże że nie było czasu do stracenia, zeszło wojsko nasze z gościńca prowadzącego z Brzeska ku Warszawie, na lewo, stosownie do planu ułożonego na radzie wojennej, jak to wyżej powiedziano.

Zaszły na teraz niektóre zmiany w dowództwie: podpułkownik nasz Kleszczyński objął dowództwo tymczasowo 5-go pułku ułanów, ponieważ pułkownik Kruszewski został brygadyrem; z żalem go pułk żegnał. Brygadę naszą stanowiły na teraz pułki 3-ci i 5-ty ułanów, lecz dowódcy brygady w tym zamęcie i wobec ciągłych zmian stanowczo oznaczyć mi trudno, prawdopodobnie będzie nim generał Sznajde, albo Gawroński. W obranym już stanowczo kierunku ruszyliśmy naprzód. Idący w awangardzie pułk 5-ty ułanów, zdobył w Lysobykach i Kurowie znaczne zapasy żywności i kilkadziesiąt wołów, dla korpusu Rydygiera przeznaczonych, a kon-

wój tychże w znacznej części dostał się do niewoli. Czuć tam już było Kleszczyńskiego, który ten konwój zdobył.

Jeneral Rozen pościagał po swojej porażce małe oddziały rozrzucone po małych miasteczkach i wzmocniwszy tym sposobem swój korpus, chociaż zwolna i w oddaleniu, jednakże ciągle za nami postępował. A kiedy zwróciliśmy się nagle na lewo z gościńca, wtedy on, dowiedziawszy się o wzięciu Warszawy, coraz silniej na nas następował. Z naszej strony dowiedziano się również, że jeneral Rydygier ma most rzucony przez Wisłę pod Kazimierzem i że tamże stoi jakaś załoga w mieście i ma szaniec wysypyany dla strzeżenia mostu powyżej miasta Kazimierza, i tu nie chcąc się dostać pomiędzy dwa korpusy, dotarliśmy pospiesznymi marszami na linię Kazimierza.

Tu korpus nasz zatrzymał się do obozowania przy gościńcu prowadzącym do Opola. Już późnym wieczorem wydano rozkaz, by dwa szwadrony z naszego pułku były wkrótce gotowe do marszu. Jakoż po krótkim popasie koni stanął przewodnik, który nas miał prowadzić wśród ciemnej nocy do miasteczka Kazimierza. Zboczyliśmy z gościńca, przy którym rozbity mieliśmy obóz; na prawo przed nami postępowała piechota i działa. Po jakimś czasie zatrzymał nas przewodnik i zboczyliśmy znowu z tej drogi, którą oddział poprzednio postępował. Wprowadzono szwadrony jakąś wąską drożyną w las. Wyszedł rozkaz wiaść lance do flanku, by się o gałęzie nie wadziły, zachować odstęp i zalecano ostrożność, by nie najeżdżano jeden na drugiego. Był to pochód dla nas bardzo trudny, wśród nadzwyczajnie ciemnej nocy.

Już ku dniowi zatrzymano szwadrony na gołoborzu. Widocznie las się kończył, bo jakoś widniej się zrobiło, chociaż to jeszcze dnia nie było. Kazano szwadrony sformować i zachować jak największą cichość, co i w marszu zalecano. To już wskazywało, że jesteśmy zbliżeni do nieprzyjaciela. Objechał szwadrony major Wierzeblewski i powiedział, że równo ze dniem uderzyć mamy na szaniec przedmostowy,

żeby więc żołnierzy do tego przygotować. Oficerowie zapowiedzieli, że gdy dotrzemy do szanieca, pierwsze i trzecie numera z trójki zsiądą spieszenie z koni; drugie zaś numera, jako środkowe, mają trzymać konie, a spieszeni z lancami mają uderzyć na szaniec.

To rozporządzenie użycia kawaleryi eokolwiek niestosownem się zdawało, taki był przecież wyższy rozkaz i wykonać go potrzeba było. Stosowniejsem zdawało się tutaj użycie piechoty, której w tej wyprawie było dwa bataliony, jeżeli nie więcej, a nas mogła spotkać bardzo gorąca kąpiel. Żartowaliśmy, że już czuć, że jesteśmy pod dowództwem jenerała z piechoty, któremu się zdaje, że kawalerya jakby na skrzydłach przestrzeń do szanieca przeleci. Skoro tylko zaczęło się eokolwiek rozwidniać, szwadron 1-szy wysunął się z lasu na łąkę i galopem posunął się naprzód, a szwadron nasz 2-gi w odstępnie postępował za nim. Spodziewaliśmy się, że za lada chwilę będziemy powitani kartaczami na pierwsze danie, a po niem nastąpi ogień ręcznej broni. Cisza jednakże była zupełna, gdy szwadron dotarł do szanieca i stosownie do rozkazu żołnierze spieszeni weszli do niego; zastali w nim tylko kilku chorych maroderów, którzy mówili, że w nocy został szaniec opuszczony. A kiedy nasz szwadron, jako niespieszony, naprzód przed szaniec się posunął, ujrzeliśmy Wisłę, a na niej rozerwany most, którego większa część była na przeciwnej stronie. Kilka tylko galarów z naszej strony pozostało. Ogarnął nas smutek, niedający się wysłowić, znikła bowiem cała nadzieja ocalenia korpusu, a z nią i wszelkie marzone projekta. Wysłano raport do jenerała Zawadzkiego, który tą wyprawą dowodził, donoszący, że most zniszczony, i mała tylko ilość galarów po tej stronie pozostała, a szwadrony czekają dalszego rozkazu.

Miasto Kazimierz, gdzie stał jeneral, było dość odległym od szanieca przedmostowego, do którego prowadziła droga ponad samą Wisłą. Oczekując dalszego rozkazu, szwadrony stały przed szaniecem, zwrócone frontem ku rzece. Na prze-

ciwnym zaś brzegu, widać było na wysokim wzgórzu, zdaje się mi Janów, gdzie stało wojsko nieprzyjacielskie, które ztąd w nocy ustąpiło, a mogło ono z tego wywyższonego punktu obserwować nasze ruchy.

Gdy tak w zadumie pogrążeni, wpatrujemy się w nurty Wisły, stającej na przeszkodzie wszelkim naszym projektom, dały się słyszeć strzały karabinowe i hałas, który zwrócił naszą uwagę. Wtem wysunął się od miasta na drogę ku nam wiodącą jakiś oddział kawaleryi i w pędzie koni zmierza ku szanćcowi. Z największym pośpiechem zrobiliśmy zmianę frontu ku niemu i wzięto broń do ataku. Widząc ten ruch zbliżający się oddział, zatrzymał się w miejscu i wyjechał z niego komenderujący oficer. Do niego podjechał major Wierzchlejski. Oficer ów oświadczył, że widząc się otoczonym, a nie chcąc ludzi narażać na stratę, zmuszonym jest poddać się. Był to szwadron dragonów na gniadych koniach, a wysłanym został na rekonesans w nocy z Kazimierza, który z powrotem został już przez nas zajęty. Ponieważ kompania piechoty w ślad za nim postępowała, więc oddano ich pod jej nadzór. Nasi żołnierze byli z tego niekontenci, mówiąc, że skoro nam się poddali, do nas należą. Uspokoił się jednakże, gdy się im przedstawiło, że niewolnik jest dla jazdy w odwrocie tylko ciężarem, bo nie tylko, iż trzeba go pilnować, ale żywić także konie, jak i ludzi, a częstokroć nam samym żywności i furazu brakuje. Uznali to za słuszne i już o tem nie było mowy.

Nadjechał wysłany z raportem do generała i przywiózł rozkaz, ażeby bardzo spiesźnie wzięto się do pożywienia koni, bo wkrótce dalszy marsz nastąpi. Przywieziony z Kazimierza furaz w mgnieniu oka rozerwano, a cofnąwszy się na ową łakę, którąśmy rano przebyli i otworzywszy szeregi, wzięto się do żywienia koni. Ludziom bardzo skromnie wydzielano żywności, a na taki sposób przy codziennym zwiększających się trudach, tak konie, jak żołnierze byli głodzeni. Skutkiem tego konie mieliśmy zupełnie zniszczone; tu cokol-

wiek lepiej nas opatrzone. Żołnierze nocną wyprawą znużeni, o gotowaniu nie myśleli, tem więcej, że dalszy pochód miał wkrótce nastąpić, co się jednakże nie stało.

Nadeszło kilku saperów, i oni owe galary, które zostały z mostu przy naszym brzegu, mocno uszkodzili, by już do żadnego użytku nie były zdadne, a następnie z wodą je puścili. Musiały one wkrótce zatonać.

Kilka zaledwie godzin mieliśmy wypoczynku, gdy wojsko nasze zaczęło przechodzić około szanćca drogą, brzegiem Wisły prowadzącą ku Opolu. Przechodziły działa, wozy amunicyjne, bataliony piechoty, był to więc znaczny oddział do tej wyprawy użyty. Za tym oddziałem szwadrony nasze, jako aryergarda, postępowały. Zaledwie uszliśmy z milę drogi, dały się słyszeć z lewej strony kierunku, w którym postępowaliśmy, strzały armatnie. Nagłono do pośpiechu w obawie, byśmy nie zostali odcięci od głównego korpusu, który, ażeby nas uratować i naciskającego nieprzyjaciela powstrzymać, przed Opolem się rozwinął.

Kiedyśmy dochodzili do Opolu, wrzał zacięty bój na całej linii. Oddział nasz, wchodząc na linię bojową, po zlączeniu się z korpusem, wzmocnił lewą jego flankę, silnie naówczas atakowaną, wskutek czego nieprzyjaciel odparty zwolnił wkrótce ogień. Jednakże korpus nasz rozwinięty a ciągle naciskany przeważnymi siłami, rozpoczął odwrót i już późnym wieczorem stanęliśmy po za Józefowem do obozowania. Nasz kapitan Zieliński, który poprzednio awansował na majora, był jeszcze przy szwadronie, w braku oficerów; przy Opolu był raniony, a że przy szwadronie dwóch już tylko pozostało oficerów Konstantynowskich, Wroński i ja, reszta była z podoficerów teraz awansowana, Wroński więc objął komendę szwadronu.

Mieliśmy konie nadzwyczajnie pospiesznymi marszami zmęczone i prawie o głodzie, a żołnierze w wysokim stopniu strudzeni, widocznie byli bardzo zniechęceni, bo ciągle się

rozchodziły zatrważające wieści, a takowym w ciągłym niepowodzeniu łatwo się daje wiarę.

Mówiono, i może nie bez podstawy, że korpus rosyjski dość silny posuwa się ponad granicą austriacką, by nam wzięść tył i łącznie z korpusem Rozena, znacznie wzmocnionym, zmusić do złożenia broni, a w razie oporu zepchnąć nas do Wisły. Te i tym podobne wieści nie mogły korzystnie usposobić żołnierzy. Odzywały się też głośnie złośliwe wieści na niesumienność dowódców, że im ciągle obiecywano jakieś mosty na Wiśle, a których nie było i niema, gdyż o budowie ich nikt nie myślał, ani nie myśli. Muszę tu nadmienić, że obiecywano most pod Zawichostem, który dla nas miał być przygotowany, a którego ani śladu nie było. Od wziętych do niewoli w Kazimierzu jeńców dowiedziano się, że dowodzący załogą był ostrzeżony, by się miał na baczność, bo korpus nasz w tym kierunku się posuwa. Nie sądził on jednakże, by niebezpieczeństwo było tak bliskiem i wysłał szwadron na rekonesans. Gdy jednakże w nocy otrzymał powtórne ostrzeżenie, że jest zagrożonym, nakazał natychmiast opuścić miasto jaknajspieszniej, wyprowadzić działa z szańca, a po przeprowieniu załogi, nie czekając na powrót wysłanego szwadronu, most za sobą rozerwać. Tak opowiadali ci, co byli wzięci w szańcu, że gdybyśmy o dwie godziny wcześniej nadeszli, most i znaczna część załogi byłyby wzięte.

Chociaż byliśmy znużeni bezsennością, bo całą noc przeszłą odbywaliśmy marsz w ciemnej nocy po bezdrożach do Kazimierza, jednak sen powiek nie kleił. Każdy pogrążał się w zadumie, w niepewności, co jutro przyniesie, bo widocznym już było, że zdążamy do granicy austriackiej.

Jak tylko cokolwiek rozwidniać się zaczęło, dały się słyszeć strzały na widetach, a za nimi rozpoczął się wkrótce ogień tyralierski na obu liniach. Szwadronem komenderował Wroński. Nasi zwolna ustępowali ku Rachowu, a nieprzyjaciel z wielką natężennością na nas następował. Dopiero na polach Rachowa rozwinął się bój zacięty przez kilka godzin.

Okolo południa nasze wojsko zwolna ustępować zaczęło, prowadząc żywy ogień w odwrocie.

Działa, przy których nasz szwadron był w asekuracji, zajęły wyniosłą pozycję przy wiatrakach i rozpoczęły bardzo żywy ogień przeciw postępującym kolumnom, a na ogień ten działa nieprzyjacielskie w przeważnej liczbie ogień swój także zwróciły. Szwadron asekuracyjny zaczęły pociski dotkliwie razić, w krótkim czasie straciliśmy kilku żołnierzy i kilka koni, ale najdotkliwszą stratą była, kiedy porucznik Wroński, pod którym kula armatnia zabiła konia, stracił także prawą nogę. Skoro go żołnierze z pod zabitego konia wydobyli, słabe już dawał znaki życia. Złożono go przy wiatraku, bo my z pozycyi cofać się musieliśmy, gdyż nieprzyjaciel silnie na nas następował. Zbliżająca się kolumna kawaleryi zdawała się działom zagrażać. Smutek był wielki w szwadronie z powodu straty Wrońskiego, który tak od kolegów, jak i żołnierzy, był bardzo lubiony. Mnie strata Wrońskiego tak dotknęła, że na wszelkie niebezpieczeństwa zobojętniał i cała myśl moja tem tylko była zajęta, czy może on jeszcze być uratowanym, jak również, czy nieprzyjaciel uratować go zechce, bo w tym stanie, w jakim go zostawiono, ratunek jaknajspieszniejszy był potrzebnym. Ciągłe mi stało w pamięci owo szczere zaopiekowanie się moją własnością, kiedym leżał ranny przez dłuższy czas w Warszawie, a każde jego odwiedzenie wówczas i widoczne na twarzy jego współczucie, serdecznie mię do niego przywiązało, tem więcej boleśnie mi było, że mu w złej doli odwzajemnić się nie mogę. Wojsko nasze wciąż ucierając się, ale w ustawicznym odwrocie będące, już dobrze z południa zbliżyło się do wsi Borów czy Borowa, tego dobrze nie wiem, okolo której zajęto ważniejsze pozycje, na których nasza kawalerya ustawiła się. Nasz pułk przeszedł wieś i wkrótce ze zdumieniem ujrzeliśmy słupy graniczne. Wielka rozpacz oładnęła wszystkich. To więc był cel, do którego tak spiesźnie zdążaliśmy! — zawołali wszyscy prawie jednogłośnie.

Tu więc ów most, który nam obiecywano! — po za owemi słupami, które wkrótce, jak się zdaje, przechodzić będziemy. Tu już zlorzeczenia żołnierzy na dowódców przeszły wszelkie granice. Żaden z jenerałów nie mógł się zbliżyć, by go przekleństwem nie obrzucono. Chociaż między nimi byli niewinni, żal przecież nie ma granicy, bo nie o wszystkich można było powiedzieć, że są bez winy.

Przy samych słupach granicznych stanął nasz pułk w rozwiniętych szwadronach. Nadchodzące nasze wojsko zajmowało wskazane stanowiska.

Na lewo od nas ku Wiśle stanęły szwadrony Legii Nadwiślańskiej, która wówczas w tej samej z nami była, jak się zdaje, brygadzie.

A kiedy się także nieprzyjaciel zbliżył do wsi, bój wszczął się na całej linii bardzo zacięty. Pociski działowe nietylko że nas dosięgały, ale nawet przenosiły. Staliśmy spokojnie, bo za mur graniczny cofnąć się nie było można. Niejeden, nie wiedząc, co go czeka, w tulaćwie wołałby na swojej ziemi skończyć.

Na granicy naówczas były zbudowane tak zwane czartaki, służące za schronienie dla straży granicznej, trzymającej kordon. Był to czas grasującej cholery, którą hordy azyatyckie ściągnięte na pogrom Polski ze sobą przyniosły, straż więc ta stała tu jakby dla względów sanitarnych — a przytem, by stawić przeszkodę dla udających się do powstania polskiego. Taki czartak mieliśmy po za sobą, a było w nim naówczas czterech landwerzystów, którzy przypatrywali nam się ciekawie, ale na nas ich widok nie bardzo korzystne robił wrażenie, przewidując, że nas wkrótce strzedz będą jako niewolników. Nieprzyjaciel ciągle posuwał się za nami ku granicy, a kiedy kule działowe zaczęły nas dosięgać, a jedna z nich uderzyła w ów czartak z desek sklecony i przewierciwszy obydwie ściany, dalej chociaż bez paszportu pojechała, wówczas landwerzyści widząc, że się im ciekawość nie opłaci, a w strażnicy nie mogą być życia

pewni, spiesznie się wynosili, nie zważając, że ich nasi żołnierze żartując zapraszali, by się nie spieszyli i jeszcze zatrzymali, gdyż wkrótce jeszcze coś ciekawszego zobaczą, bo niezadługo się zaczną sztuki lamane, jak konie z ludźmi będą wywracać koziołki.

Wkrótce z powodu wznoszącego się huku dział, zaczęły się w oddaleniu ukazywać wojska austriackie. Dwa szwadrony, zdaje się dragonów lub kirasyerów, których hełmy w oddaleniu połyskiwały, zbliżyły się ku nam przez ciekawość lub przez brawurę, lecz kule armatnie z dział ciężkich, które nas przenosiły, zaczęły ich przez rykoszet dochodzić. Sami też uznali, że ciekawość nie opłaciłaby się; unikając niepotrzebnych strat, zaraz się cofnęli.

Artylerya nasza, chcąc powstrzymać naciskającego nas nieprzyjaciela, rozpoczęła gwałtowny ogień na całej linii. Strzelała pół-bateriami i trwało to aż ku wieczorowi. Moskale przy tym koncercie ponieść musieli dotkliwie straty, gdyż się już naprzód nie posunęli, pozostając na zajętem stanowisku — i z wolna bój obustronnie się uciszył. Wojska na zajętych stanowiskach, w rozwiniętych szykach, naprzeciwno siebie pozostały, rozciągając tylko na liniach obustronnie silne forpoczty.

W dniu tym pułk nasz poniósł, jak mówiono, dość znaczne straty w rannych i zabitych. W naszym szwadronie, prócz żołnierzy rannych zaraz zrana przy ucieraniu się na flankierach z kozactwem, kapitan Zieliński otrzymał ranę w prawe ramię kulą z janczarki. Jak się wyżej powiedziało, porucznik Wroński stracił nogę i został na placu, a po innych szwadronach były także dość znaczne straty. Na teraz ja jeden zostałem w szwadronie ze starych oficerów, i przy mnie została komenda szwadronu.

W czasie cofania się z pod Rachowa, widziałem także szefa sztabu naszego korpusu, Władysława hr. Zamojskiego, z obandażowaną twarzą, był bowiem także rannym, lecz czy poprzednio, czy w tym dniu, tego nie wiem. Dla wyjaśnienia

w tym dniu dalszych wypadków, winienem opisać miejscowość, którą pułk nasz zajmował. Staliśmy zwróceniem frontem ku nieprzyjacielowi, a po za nami, jak się wyżej powiedziało, była granica austriacka, zaś na lewo od nas stały szwadrony Legii Nadwiślańskiej, wreszcie poniżej ku Wiśle, zdaje mi się, pułk 5-ty ułanów, a była to nasza naówczas brygada.

Przed nami, pomiędzy liniami forpoczt naszych i nieprzyjacielskich, ciągnęła się aż ku Wiśle łąka miejscami olszyną niską zarosła, na której stało pięć stogów siana. Być może, że dalej po za olszyną ku Wiśle było ich więcej, a że konie mieliśmy nadzwyczajnie zmęczone i głodne, więc owe stogi siana wiodły na pokuszenie, chociaż ten fasunek przed linią nieprzyjacielską nie był zupełnie bezpiecznym. Ponieważ po nieszczęśliwej stracie Wrońskiego furazowanie z kolei na mnie wypadło, trzeba zatem było próbować szczęścia, tem więcej, że byłem najstarszym na teraz oficerem w szwadronie — inni z podoficerów podczas kampanii awansowani. Kiedy się już zmoczyło, wybrałem z każdego plutonu po dziesięciu żołnierzy starszych, zatem radniejszych, oraz jednego podoficera i z tym oddziałem ruszyłem ku owym stogom. Po odrachowaniu się do trzech, zapowiedziałem, żeby pierwsze i trzecie numera, zsiadłszy z koni, udały się na stóg siano wiązać, a drugie numera, jako środkowe w trójce, miały trzymać powodowe konie. Zaleciłem cichość i jak największy pośpiech.

Przechodząc około placówki naszej piechoty, powiedziałem oficerowi dowodzącemu nią, że idziemy do owych stogów siano fasować. Oficer ów żartował, mówiąc, że mu się zdaje, iż to będzie fałszywy apetyt, bo i kozacy jakoś się ciekawie sianu przypatrywali, ale zdaleka, gdyż się obawiają — a przecież spróbować warto, może się uda, zresztą wy nas od kozactwa opędzicie.

Po podstąpieniu pod pierwszy stóg siana, wzięto się pospiesznie do dzieła. Kazałem mojemu ordynansowi, by mi podał na konia uwiązanego siana, które, jako przezemnie przywiezione, nie szłoby do podziału w szwadronie. Kiedy

już znaczna ilość wiązek była na koniach i przedemnie także ordynans włożył już wiązki, a żołnierze z największym pośpiechem wywiązywali resztę, tymczasem oddział piechoty moskiewskiej w ciemności od strony Wisły owymi zarosłami się podsunął i dał do nas ognia. Ci, co byli na stogu, spadali jak gruszki z drzewa, kiedy niem kto dobrze zatrząśnie. Kto był żyw, robił odwrót, popędzany rotowym ogniem, trzymane konie popuszczano, więc się one rozbiegły. Inne oddziały, które także ze szwadronów dalej stojących za furazem wysłano, przekonawszy się o tem, co nas spotkało, z drogi się zwrócili. Nadbiegła jednakże nasza piechota i po kilku strzałach wszystko ucichło, bo ciemność była wielka.

Koń mój zaraz po pierwszym strzale wzniósł się i stanął dęba. Sądziłem, że to blask od strzałów zbliżka go nastraszył, bom go jeszcze dobrze nie znał, był to ów koń zdobyty pod Żelechowem; szczęściem wyjąłem nogi ze strzemion i podałem mu się na kark, zaraz się jednakże ze mną przewrócił. W tym wypadku było tyle dla mnie szczęścia, że miał przed sobą owe wiązki siana i one mi życie uratowały, bom nie został zgnieciony. Poczciwi żołnierze moi, pomimo niebezpieczeństwa, wydobyli mię z trudnością prawie bezprzytomnego z pod zabitego konia. Złożono mnie następnie pod owym czartakiem na granicy, jako miejscu spokojnem, ażebym przy jakim ruchu pułku wśród ciemnej nocy nie był stratowanym, bo tej właśnie nocy wojsko nasze przechodzić miało granicę — czekano tylko rozkazu.

Kiedym cokolwiek odzyskał przytomność, byłem zupełnie bezwładny i czułem nadzwyczajny ból w lewym biodrze. Jak się później pokazało, otworzyła się rana dawniejsza, bo koń zabity na lewym boku mnie przylegl.

Pułk nasz każdej chwili za nadejściem rozkazu mógł opuścić zajmowane stanowisko, a zachodziła trudność, jak mnie zabrać w tem nadzwyczajnem zamieszaniu, jeszcze wśród ciemnej nocy. Ambulanse już były przepelnione ranymi i tylko za usilnem staraniem kolegów ułożono mnie

w furazerskim furgonie, zapehanym różnemi rupieciami. Choć mi parę koców podłożono, jednakże dla tak cierpiącego, jakim ja wówczas byłem, było to twarde łożo na deskach bez garści słomy, a furgon po złej drodze tak się trząsał, że mógłby zdrowego do choroby przyprowadzić. A jednakże w takim krytycznym położeniu i to trzeba było jeszcze uznać za wielkie szczęście, bo los nas nie pieścił, a pozostawiony, dostałbym się do niewoli.

Zaczął się ruch. Wojsko nasze przechodziło granicę wśród ciemnej nocy. Uczulem, że i furgon się posuwa, bo mi to wielką sprawiało boleść. Nad ranem pułk się zatrzymał, zatrzymano i pociągi pułkowe. Było to już w kraju austriackim, zasłyszalem komendę obcą. Już zaraz od granicy byliśmy pod konwojem, a jak się tylko dzień zrobił, ruszono w dalszy pochód — i zostaliśmy zatrzymani pod Chwałowicami, gdzie pułkowi wskazano zająć oznaczone stanowisko. Tu był kres naszych usiłowań. Straciliśmy naszą wolność, słowem, byliśmy w niewoli. Każdy z kolegów, który mnie przyszedł odwiedzić, z zalawionemi oczyma, boleścią zgnębiony, zlorzeczył przeznaczeniu, że nas taki los spotkał po tylu ciężkich trudach. A jaka przyszłość? — tułactwo! — wołali pomsty Bożej na tych, na których wina ciążyła. W tem ogólnem zamięszaniu trudno mi było pomyśleć o lepszym umieszczeniu — pozostałem w furgonie. Nadszedł z mojego plutonu podoficer Jaczyński, który mi całą duszą był oddany i on jeden w tem ogólnem zniechęceniu, o ile było w jego możności, mną się zajmował, — widocznie z wielką przykrością, widząc mnie dość już cierpiącego, ociągał się z wiadomością, którą mi zmuszony jest powiedzieć, wiedząc, że ona mnie zmartwi. Zmusilem go jednakże do wyjawienia jej zapytaniem: że mię to dziwi, dlaczego mi mój ordynans się nie pokazuje? — Na co mi odpowiedział: że „jego służba już się skończyła, bo przy owym stogu siana został zabity. On szczęśliwszy od nas i niejeden mu tej śmierci zazdrości w dzisiejszem naszym położeniu.“ Teraz uczulem się zupełnie

opuszczonym, a nigdy bardziej jak właśnie teraz, potrzebowalem jego opieki, będąc tak bardzo cierpiącym, bo był to człowiek uczciwy, a tak do mnie szczerze przywiązany, że mógłbym mu zupełnie zaufać i że onby mnie już nie odstąpił, a w tem nadzwyczajnem zamięszaniu, gdzie już tylko każdy o sobie myślał, jakby się ratować, sam bezsilny, na nikogo już rachować nie mogłem. Dawny nasz kapitan, wskutek otrzymanej rany sam cierpiący, nie mi pomódz nie mógł; poleciłem więc Jaczyńskiemu, by mi mego prywatnego ordynansa przysłał z końmi. Wkrótce mi go przysłano. Był to poczciwy żołnierz, który z powodu ciężkiej rany otrzymanej pod Grochowem był kulawym i nie mógł już służyć w szeregach. Ale ten, pomimo dobrych chęci, był nieporadny. Nakazałem mu, by mnie już nie odstępował, a konie żywił przy furgonie.

Nadszedł oficer ze szwadronu, który na teraz został bez komendy — Grabowski. Boleść na jego twarzy dała poznać na pierwszy rzut oka, co się w jego duszy działo. Powiedział mi, że wkrótce mają złożyć broń i że są jacyś agenci, którzy kupują oficerskie konie, jakie sprzedać wolno i że on już swoje sprzedał — jeżeli to sprzedażą nazwać można, bo za bezcen, a jeżeli sobie życzę, to mi ich przyśle. Po jego odejściu wkrótce nadeszli, przyszedł z nimi podoficer Jaczyński. Konie były młode, pochodzące ze zdobyczy, ale zagłodzone, poleciłem Jaczyńskiemu sprzedać jak będzie można. Agenci zaofiarowali kwotę 30 złr. monetą austriacką. Przyjąłem i byłem kontent, że się pozbyłem kłopotu.

Przysłano rozkaz, by furgon przy nastąpić mającym rozbrojeniu stanął na oznaczonym miejscu. Dlatego zniesiono mnie i ułożono na ziemi tymczasowo, zanim przyjdzie podwoda, której zażądano. Ranni, znajdujący się w ambulansach, także na podwozy byli przeniesieni.

Chociaż chorobą znękanym mój umysł nie mógł w pierwszej chwili objąć całego ogromu nieszczęścia, jakie nas obecnie dotknęło, to mimowoli nasuwała się myśl, co za okropna

czeka nas przyszłość! Dlatego to zapewne rozprężyły się stosunki koleżeńskie, bo tu już każdy myślał o sobie. Jedni, jakby się ratować, — inni, ambitniejsi, by coś utargować.

Przy złożeniu broni miały się dziać serce rozdzierające sceny — tak dalece, że niemi nawet nieprzyjaciele mieli być wzruszeni. Jak mi to później opowiadano, zaraz po złożeniu broni ruszono w dalszy pochód, pod konwojem wojska austriackiego. Ja, złożony na podwodzie, należałem do transportowanych. Zatrzymano pułk, jeżeli go jeszcze nazwać tak było można, jeżeli mnie pamięć nie myli — pod Rudnikiem, po lewej stronie Sanu, nad samą rzeką, do obozowania. Zostawieni tu byli żołnierze i podoficerowie, otoczeni przez wojsko austriackie, które także obozowało i rozstawiony był łańcuch wart, by się nikt z obozu nie wydalał.

Oficerowie zaś naszego pułku mieli przeznaczone miasteczko Rudnik, które leży po prawej stronie rzeki Sanu, zatem od żołnierzy oddzieleni byliśmy Sanem. Wydalać się z miasta nie było nam wolno, nadzór jednakże nie był bardzo ścisły — ciągle się też liczba więźniów obniżała. Niestety ja, jako chory, pozostać w miejscu musiałem. Miałem wynajęty pokój i jakieś w miejscu pożywienie, za co wszystko dość umiarkowaną cenę płaciłem. Obsługiwał mnie jeszcze mój ordynans, którego z wielką trudnością utrzymać mogłem w czasie mej słabości — był on rodem z Sandomierskiego, a mając blisko do miejsca rodzinnego, chciał tamże powrócić.

Jedno tu jeszcze nadmienić muszę, mianowicie, że nas agenci pewnej firmy z Krakowa nasłani, niemiłosiernie wyzyskiwali, płacąc za 100 złp., chociaż te miały zupełną pewność, po jedenaście reńskich monetą austriacką, zatem mniej, niż połowę wartości, co w tak przykrem, jak nasze naówczas położeniu, czyniło to położenie jeszcze trudniejszym.

Dla podoficerów i żołnierzy ogłoszono amnestję, a skutkiem owej łaski, wydano ich z kraju austriackiego i oddano władzom moskiewskim. Ulaskawionym, dozwolono „naj-

laskawiej“ po powrocie do kraju dosłużyć lat, a raczej służyć na nowo, kasując im dosłużone stopnie, w szeregach wojska moskiewskiego i to w korpusach na Kaukazie, w wyprawie do Chiwy pod generałem Perowskim, która wyłącznie z samych Polaków była złożoną i tam grób znalazła, jak również w garnizonach sybirskich. Taka to łaska moskiewska! Oficerowie zaś z korpusu generała Ramorino, jako z pod amnestyi wyjęci, udać się musieli za granicę przymusowo.

Tu jest kres wspomnień o pułku 3-cim ułanów byłego wojska Polskiego od wyjścia onegoż z garnizonu dnia 2-go grudnia 1830 roku po dzień rozbrojenia w Galicyi cesarsko-austriackiej.

Jak się wyżej i najsumienniej, chociaż nieudolnie opisało, w czasie wojny nie oszczędzano tego pułku, od początku aż do końca. Przewinęło się też kilku dowódców, co dla pułku nie było z korzyścią, bo się nim szczerze żaden z nich nie zajmował i nie mógł poznać swoich podkomendnych — przez co pomijano często zasłużonych — a mieli żniwo błagierzy, których nigdy i nigdzie po wszystkie czasy nie brakło — oni zaś jak zwykle, są skrzętni i umieją około siebie chodzić, by się dało coś dla siebie uszczknąć. Oblegali z uniżonością wyższych wojskowych, jak to opowiadano ze zgrozą, by coś wyżebrać, czy to niezasłużony stopień, lub honorową oznakę, z którymi dopiero kiedyś, kiedyś mieli się odślonić, jak już braknie tych starszych, co byli naoczniemi tego świadkami. Była dla tego wyjątku utartą nazwa wówczas, której przez cześć dla pułku nie użyję.

Z całego tego pułku pozostała mała liczba oficerów i podoficerów, jak również mała tylko garstka żołnierzy starych, którzy wyszli z garnizonu, powołani do obrony kraju; niechże przynajmniej w tem wspomnieniu jakaś pamięć po tym pułku zostanie. To był jedyny cel niniejszego pisma.

Bardzo znaczna ilość pamiętników wyszła z druku w ostatnich czasach o kampanii w r. 1831. Mam tu szczególnie na uwadze opisy przez wyższych wojskowych, a mianowicie jenerałów Dembińskiego i Wybranowskiego, którzy, chociaż wielce zasłużeni krajowi, jednakże po największej części, nietylko w opisach poszczególnych jednych i tych samych bitew się nie zgadzają, ale co jeszcze ważniejsza, że z faktami te opisy po największej części są niezgodne, a zdaje się, iż to jest główną przyczyną, że każdy z opisujących nie poprzestaje na tem, co sam ze swą komendą zdziałał i widział, ale chce być wszystko wiedzącym i wszystko widzącym, chociaż sam w tej bitwie nie brał udziału, co się na całej linii bojowej chociażby rozległej działo, podczas akcyi, a to przecież jest niepodobieństwem; i dlatego niektóre bitwy przez nich opisywane mylnie są podane, bo czerpane z opowieści, i to często niedokładnej, albo stronnej, a i to także byłoby mogło ze strony im opowiadających, jak to ongi powiedział Krasicki:

Był celnik, który nie kradł,
Szewe, który nie pijał,
Żołnierz, co się nie chwalił,
Lotr, co nie rozbijał i t. d.

a w konkluzyi:

Wszystko to być może,
Jednakże ja to między bajki włożę.

Że chodzi tu właściwie o jak największą dokładność w opisach bitew, byłoby do życzenia, by starzy wojskowi, pozostali jeszcze przy życiu, a biorący czynny udział w bitwach opisywanych niedokładnie, starali się te niedokładności prostować bezstronnie, by tym sposobem umożliwić opisującemu kiedyś tę krwawą wojnę, w której było poświęcenie

wojska ogólne, nie dające się wysławić, a w mylnych opisach, by jednym nie dodano zanadto, a drugiem zamało zasługi, bo wszelkie uboczne względy, miejsca tu mieć nie mogą, i ze szkodą drugich nie powinny — a że pisałem wspomnienia o pułku 3-cim ułanów, bronić go wszędzie winieniem i prostować fakta.

Mam tu na uwadze na teraz wyszły pamiętnik jenerała Wybranowskiego, już po wydaniu mojego pamiętnika poprzednio. Znakomity i pełen zasługi ten oficer, który odznaczając się osobiście, doszedł w tej wojnie do stopnia pułkownika, w opisanu jednakże tej wojny przez niego wiele jest niedokładności, a właśnie z owej wyż rzeczonyj chęci, być wszędzie, wszystko wiedzącym i widzącym, a co, jak powiedziałem, jest niemożliwe.

A naprzód, w opisanu bitwy pod Grochowem dnia 25 Lutego, będąc ze swą komendą na naszym lewym skrzydle pod Białoleką, nie mógł widzieć z tego oddalenia co się działo w środku i na drugim skrzydle około Saskiej Kępy, a głównie w Olszynie. Że zaś tak było, pamiętnik przez niego spisany na karcie 188 potwierdza.

Nie wdając się w krytykę ani kombinacye, jakie ruchy armia nasza w dniu 25 Lutego zrobiła lub zrobić mogła i powinna była, i na kim za to ciąży wina, chodzi mi tu głównie o sprostowanie faktu co do ustawienia kawalerii nieprzyjacielskiej do szturmowania na szaniec przedmostowy na Pradze: że w tym dniu po ukończonym rozejmie, nieprzyjaciel silnie wzmocniony nadeszł mi posilkami, uderzył bardzo natargliwie na nasze skrzydła, a szczególnie na prawe, na Olszynkę, by tam nasze siły zatrudnić, na gościńcu zaś idącym od Miłosny ku Pradze, zatem w naszym środku, ustawił kolumnę szturmową kawalerii, złożoną z kilkudziesięciu szwadronów, pod osłoną lasu Wawerskiego i popchnął się ku Pradze gościńcem, w pełnym galopie. A kiedy ten ruch z naszej strony spostrzeżono, rozesłano po najbliższej rozstawioną kawalerię, by go powstrzymała. Nadeszły szwa-

drony 2-go pułku ułanów i 3-go pułku jeden szwadron 2-gi, która to kawaleria nasza, chociaż tak nieliczna, pułk kirasyerów na czele tej kolumny szturmowej idący, a około żelaznego słupa już będący, zniosła do szczytu i tym sposobem gościnniec dla dalszej kolumny szturmowej zabarykadowała, a po tym nieudalym początku cofnięta została.

Gdyby ta kawaleria szturmowa rozwinać się była mogła, do czego grunt na polach Grochowa z natury mokry i dlatego wielu fosami głębokimi poprzerzynany, był w owym czasie niesposobny, bo chociaż w dniu tym i poprzednich była odwilż, wskutek czego był lód kruchy, ale był, tak na polach w głębokich bródach, jakoteż i w rowach głębokich, dlatego jazda po większej części ciężka rozwinać się nie mogła. Bo gdyby to nastąpić było mogło, nie byłaby z nią tak łatwa sprawa, jak to pułkownik Wybranowski w swym pamiętniku przedstawia, że pułk 2-gi ułanów po zniesieniu kirasyerów, tę całą kawalerię co była, a raczej nie była, rozpedził; a zaprawdę nie jednegoby było potrzeba na to pułku, by tę nawałę kilkudziesięciu szwadronów, chociażby tylko powstrzymać. Kolumna kawalerii na szturm idąca, szła gościńcem szóstkami, bo taki tylko w tej miejscowości i naówczas ruch był możebny, a twierdzą to stanowczo, bom to widział naocznie, biorąc udział w tem starciu, z pułkiem kirasyerów na czele idącym.

A że wówczas pułkownik Wybranowski, jak to sam powiada, był ze swą komendą pod Białoleką, zatem z takiego oddalenia nie mógł tego widzieć. Pisał więc z niedokładnej opowieści a bezwzględnie, że tem może innym krzywdę wyrządzić, i wyrządził ją pułkowi 3-mu ułanów, którego jeden szwadron brał czynny udział w tej bitwie i do zniesienia pułku kirasyerów znacznie się przyczynił, przyczem poniósł znaczne straty w zabitych i rannych, miałem zatem obowiązek sumienia tę niedokładność sprostować.

O wiele jeszcze mniej dokładnie opisane są inne bardzo krwawe bitwy, w których pułkownik Wybranowski oso-

biście nie brał udziału, jak pod Mińskiem, z głównymi siłami feldmarszałka Dybieza, a o której wspomina, jak żęby o starciu się dwóch rekonesansów, a w której to bitwie nasz pułk 3-ci ułanów poniósł straty największe w tej wojnie, w szarży na piechotę. Mylną jest również wzmianka w tem miejscu, jakoby generał Dembiński w bitwie pod Mińskiem dowodził jazdą. Nie brał on w tej bitwie żadnego udziału; dowodził tu generał Kicki. Że w tej opowieści są fakta zupełnie zmacone, winienem opisać jako naoczny świadek, jak się rzecz miała.

Dybiez po ubezpieczeniu Siedlec, z całymi siłami posunął się w Lubelskie, z zamiarem, by nas z flanki prawej zaatakować, wiedząc, że siły nasze są rozrzucone. Były w ten sposób: Naczelnny wódz ze swą komendą stał pod Jędrzejowem, przed nim ku Siedlecom aż po za Kałuszyn, były wysunięte dywizye generałów Lubińskiego i Rybińskiego; na prawej naszej flance, pod Kuflewem, stał pułkownik Dembiński ze swym oddziałem, by strzedz przeprawy na rzece bagnistej Kostryniu. Generał Gielgud ze swą dywizją piechoty, któremu dodana była nasza brygada jazdy pod dowództwem generała Kickiego, stała pod Ceglówem i miała zwrócić największą bacność na komunikacyą od Wielkolas i Siemicy. Gdy zaś pułkownik Dembiński został przeważnymi siłami wyparty z Kuflewa i pomaszerował pospiesznie do Jędrzejowa, by naczelnemu wodzowi donieść, że siły feldmarszałka Dybieza są przed nami, natychmiast rozesłano rozkazy, by dywizye naprzód wysunięte ku Siedlecom, pospiesznie się cofnęły, jak również, by dywizya Gielguda opuściła Cegłów i zatrzymała się przed Mińskiem, i tej pozycyi jak najdłużej bronila, by się rzeczzone wyżej dywizye wycofać mogły. Naczelnny wódz ze swą komendą pomaszerował pod Wielkie Dembe a z nim także Dembiński i tu się obozem rozłożył, z zamiarem przyjęcia tu bitwy. Dywizya generała Gielguda cofnąwszy się w nocy z Ceglowa, zajęła pozycyę pod Mińskiem; brygada nasza pod dowództwem Kickiego

stanęła w pierwszej linii. Pułkownik Dembiński chociaż nie brał udziału w tej bitwie, wspomina o niej w swym pamiętniku na stronnicy 172 o stratach naszego pułku.

Więcej jeszcze niedokładnie opisane są wszelkie ruchy na gwardye, których pułkownik Wybranowski, będąc w oddzielnym korpusie generała Łubińskiego, zajmującego stanowisko pod Nurem, zatem bardzo oddalony, widzieć nie mógł, i dlatego cały ten opis na gwardye przez niego, z faktami zupełnie nie jest zgodny, a przez to tym co w tej wyprawie brali udział i dotkliwie ponieśli straty, ciężką wyrządza krzywdę. Bo pułkownik Wybranowski, jako wyższy oficer, jest powagą, zatem opis jego winien być dokładny, a takim nie jest; a przecież krew przelana na polach bitew, bezwzględnie wszystkich zarówno winna być cenioną i każdemu służy prawo o to się upomnieć, bo tu ani fantazyja, ani stronność miejsca mieć nie mogą. A dośbey było porównać te dwa pamiętniki generałów Dembińskiego i Wybranowskiego, jak są w opisach jednych i tych samych bitwach niezgodne, a to jest przyczyną, że spisane z niedokładnych opowieści.

W opisanu wyprawy korpusu Ramorino przeciw Rozenowi są także pewne niedokładności co do poruszeń niektórych oddziałów, czerpanych z opowieści; a że nasz pułk 3-ci ulanów był w tym korpusie, wieleby się dało sprostować o ruchach tegoż pułku, a szczególnie w bitwie pod Międzyrzeczem i Rogoźnicą, jak również i pod Kazimierzem — słowem, w całej tej wyprawie był ciągle prawie w pierwszej linii aż do wejścia korpusu do Galicji.



102593

Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej

w Krakowie

posiada na składzie kazania i mowy następujących kaznodziej:

	Złr. et.
Chotłowski St. ks. Kazania, 2 tomy. Kraków, 1888	4—
Chotkowski Wł. ks. Mowa na nabożeństwie żałobnem za duszę ś. p. Seweryna i Franciszki hr. Mielżyńskich. Poznań, 1874.	—60
— Mowa powiedziana na pogrzebie ś. p. Heleny z hr. Kwileckich Turno. Poznań, 1874	—45
Golian Zygmunt ks. Kazania niedzielne i świąteczne, wydanie pośmiertne staraniem ks. Zdzisława Bartkiewicza, tom I. Kraków, 1888	2—
Jabczyński ks. Mowa miana przy pochowaniu zwłok ś. p. JW. Marcina Dunina, Arcybiskupa gnieźnieńsk. i poznańsk. Poznań, 1843	—30
Janiszewski J. hr. ks. Mowa pogrzebowa na cześć ś. p. Antoniny z Grudzińskich generałowej Chłapowskiej. Poznań, 1857.	—30
— Mowa podczas nabożeństwa żałobnego za duszę ś. p. Dra Karola Marcinkowskiego. Poznań, 1846	—15
Kajsiewicz H. ks. Kazanie o siedmiu boleściach Matki Najświętszej. Poznań, 1855	—40
— Mowa pogrzebowa na cześć ś. p. Michała Lewickiego, Kardynała. Poznań, 1858	—25
Likowski E. ks. Mowa żałobna na cześć ś. p. ks. Jana Koźmiana. Poznań, 1877	—20
Ostrowicz L. ks. Kazanie w dzień Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi. Poznań, 1870	—30
— Mowa żałobna na pogrzebie Tadeusza Radońskiego. Poznań, 1873	—30
Perraud A. ks. Mowa żałobna na cześć generała Władysława Zamojskiego. Poznań, 1868.	—15
Prusinowski ks. Mowa na nabożeństwie za duszę ś. p. ks. Arcybiskupa Antoniego Fijałkowskiego. Grodzisk, 1861	—40
— Kazanie przy otwarciu Sejmu W. Ks. Poznańskiego. Poznań, 1851	—20
— Mowa żałobna na nabożeństwie za duszę ś. p. ks. Karola Antoniewicza. Poznań, 1852	—30
— Mowa żałobna na pogrzebie Antoniny z Grudzińskich generałowej Chłapowskiej. Poznań, 1857	—30
— Mowa żałobna na pogrzebie ks. Jana Kantego Dąbrowskiego. Poznań, 1853	—15
— Mowa żałobna na nabożeństwie za duszę ś. p. Joachima Lelewela. Grodzisk, 1861	—20
— Mowa żałobna na pogrzebie ś. p. ks. Leona Przyłuskiego, Arcybiskupa gnieźn. i poznań. Poznań, 1865	—60
Smoczyński Wincenty ks. Mowa żałobna w czasie nabożeństwa za duszę ś. p. Seweryna Paszkowskiego, z portretem. Kraków, 1891	—50
Stablewski F. ks. Mowa żałobna na pogrzebie ś. p. S. hr. Mielżyńskiej. Poznań, 1874	—40

Najnowsze wydawnictwa nakładowe i komisowe

Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej

Rynek, Pałac Spiski w Krakowie.

	Zir. et.
Balzer Oswald, prof. Uniw. lwow. Reformy społeczne i polityczne Konstytucyi 3-go Maja	1—
Czajkowski Michał. Stefan Czarniecki, powieść historyczna, wydanie nowe	1:50
Gadon L. Książę Adam Czartoryski podczas powstania listopadowego, przyczynek do charakterystyki, oparty na własnych jego pismach, z trzema portretami	1:80
Jelowicki Aleksander. Moje wspomnienia, wydanie trzecie	1:80
Kalinka Waleryan ks. Dzieła, tom I i II: Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta, wyd. drugie w dwóch tomach	3:60
Dalsze tomy w druku.	
Kartka z dziejów Kościoła katolickiego w Polsce rosyjskiej, tom III. Arcybiskupstwo Warszawskie	2—
Korzeniowski J. Katalog rękopisów Muzeum XX. Czartoryskich, zeszyt I, II, III (opis 728 rękopisów). Cena każdego zeszytu	1:50
Krasiński Z. Pisma, wydanie zupełne, zaopatrzone przedmową i uporządkowane przez St. hr. Tarnowskiego, 4 tomy	3—
W ozdobnej oprawie płóciennej	3:60
Lichocki Filip. Pamiętnik prezydenta miasta Krakowa z r. 1794, wydanie drugie	—50
Popiel Paweł. Powstanie i upadek Konstytucyi 3-go Maja, według dokumentów oryginalnych, z podobizną pisma Stanisława Augusta do Szczęsnego Potockiego	1—
Siarczyński Fr. Dzień trzeci Maja 1791 r., zebranie wszystkich mów na sejmie, z dodatkiem Ustawy rządowej, wydanie drugie, z podobizną tytułu sztychowanego	—75
Smolikowski Paweł ks. Historia Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego, podług źródeł rękopiśmiennych, tom pierwszy, z portretem Bohdana Jańskiego	2:50
Szajnocha Karol. O królach i bohaterach polskich, opowiadania z dzieł Szajnochy	1—
W oprawie trwałej płóciennej	1:10
TRESĆ: Bolesław Chrobry. — Św. Kinga. — Władysław Lokietek. — Jadwiga i Jagiello. — Barbara Radziwiłłówna. — Jan Sobieski.	
Tarnowski St. hr. Z doświadczeń i rozmyślań, wyd. drugie	—50
Wodzicka Teresa hr. Historia Polski dla dorastającej młodzieży część I (do r. 1506)	2:40
Zaleski Bohdan. Dzieła pośmiertne, z przedmową St. hr. Tarnowskiego, dwa tomy w ozdobnem wydaniu obejmują nigdy przedtem nieogłoszone drukiem dzieła poety	4—
— W ozdobnej oprawie	5—

